Nr. 41. Poznań, dnia 14 Października 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 41-go.

Garstka.

„W krwawych zorzach wstaje słońce
„Idzie garstka na tysiące!" (Sawa)

Rok po roku, ile razy wspomnień echo przynosi nam datę śmierci ukochanego Hetmana, tyle razy odzywa się wołanie z piersi narodu, iż myśl, uczucie i idea *Kościuszki* *) nie zgasła, nie zmarła ani nie zanikła, trwa i działa, bo przeszła w życie i w nowe życie prowadzi.

Rok po roku, gdy ku uczczeniu pamięci Tadeusza Kościuszki urządzane bywają wieczorki narodowe, wszyscy ci, którzy o życiu i działaniach Bohatera mówią, powtarzają z zapałem, iż dalsza praca Tadeusza trwa, działa i budzi ducha w narodzie, bo imię Naczelnika nigdy nie będzie zapomniane, a serca Polaków nigdy nie przestaną kochać Kościuszki.

Jednakże — po zatem co mówią usta — ręce nie wszystkie podnoszą się do pracy i serca nie wszystkich umieją trwać w gorącym zapale.

Garstka, garstwa idzie do pracy na tysiące ciemnych, zimnych, obojętnych i samolubnych!..

Garstka jest tych, którzy trwają w rozpoczętej pracy , którzy nie liczą ofiar niesionych, nie żałują trudów, mozołów, nie skarzą się na zmęczone czoła i na pochylone ramiona.

Gdy Kościuszko wzywał i wołał do służby narodowej i walki obronnej, wtedy stało się, jak powiada pieśń:

W krwawych zorzach wstało słońce
Poszła garstka za tysiące...

A garstka ta szła z zapałem tysiąców i z męstwem tysięcy; ale garstka ta zaopatrzona w Wodza, Bohatera, zdobywała armaty na wrogach i zwyciężała na polach racławickich.

Dziś— teraz — w cichej i smutnej walce Polaków o ich prawa, o język, o wiarę, o to, by ziemi każdą piędź ratować od zatraty — czyż nie tak samo garstka tylko staje oko w oko tysiącom?

W krwawych chmurach wschodzi nam prawie każdy dzień dzisiejszego bytu, a garstka ledwie wie, iż biernie i obojętnie poddawać się sile wrogom nie wolno, iż w trwaniu jest także obrona silna, a w poszanowaniu swojej godności jest moc odporna.

Nie zmieni nazwiska polskiego na obce nazwisko, kto rozumie, co znaczy być Polakiem godnym pamięci Kościuszki.

Takich garstka — pokona moc tysiąców usiłujących Polskę zatracić.

Nie sprzeda ojcowizny w ręce obce ten, kto wie, co znaczy kochać tak Ojczyznę jak kochał Kościuszko.

Takich garstka — powstrzyma falę huczącą, która usiłuje za pieniądze wydzierać nam ziemię z rąk.

Nie wychowa swych dzieci na obcych Polsce ludzi ten, kto rozumie, iż każde serce polskie jest skarbem Ojczyzny i okradać kraju z skarbów jego nie wolno.

Takich garstka rozgrzeje i rozpali tysiące zimnych, a wróg darmo czekać będzie na śmierć Polski.

Lecz każdy kto w garstce owych zacnych i szlachetnych obrońców narodu znajduje się — niech też czuwa i baczy, ażeby nie ustawał w pracy wytrwałej i odpierając nawałę nieprzyjacielską równocześnie napierał na tysiące obojętnych i ich ku obronie narodu zachęcał.

Garstka szlachetnych, nieokutych w pancerz samolubstwa Polaków musi uderzać na tysiące w lewo i w prawo — odpierać zakusy wrogów i na tysiące uderzać rodaków i ich podźwigać, rozbudzać, rozgrzewać.

Nic innego nie czynił Kościuszko i dla tego imię Polski uczynił symbolem bohaterstwa i wytrwałości.

Garstkę miał Kościuszko przy sobie, gdy na rynku w Krakowie wzywał naród do powstania, a z garstką tą szedł równocześnie na sprzymierzone potęgi i na ciemnego ludu zastępy.

Jednych chciał zgnieść i upokorzyć, drugich dźwignąć i oswobodzić.

Taka praca testamentem Kościuszki jest nam przekazana i taką pracą iść będziemy ku rozświcie słońca wolności.

Garstka pracowników w *„Pracy"* idzie na tysiące serc i myśli ludu polskiego, z tą samą myślą i tem samem pragnieniem, jakie miał Naczelnik i Hetman ludu...

Na tysiące chcemy rozrzucić słowa nadziei i odwagi. Na tysiące rozsiać ziarna wiedzy i zamiłowania do prawd nieomylnych.

A każdy kto zrozumie nas i uszanuje zamiary wzniosłe i wesprze p...

*) Kościuszko umarł 15 października 1817 r. w Solurze w Szwajcaryi.

tę mozolną, każdy stawać będzie w szeregu garstki obrońców Polski i spełniać to, co Kościuszko najwznioślejszym przykładem nam do spełnienia przekazał.

W krwawych zorzach świta słońce...
Idźmy wszyscy na tysiące!

Iskra.

Doniosłość chwili obecnej.

Wiadomości ostatnich dni dają się streścić w następującem zdaniu. Z jednej strony rząd, odbywszy rewizye u różnych osób i w różnych pismach, usiłuje dotrzeć do właściwej przyczyny i źródła, z którego opór dzieci przeciwko niemieckiej nauce religii wychodzi, z drugiej społeczeństwo nasze, nasza opinia publiczna zaczyna poważnie rozważać sobie znaczenie obecnej chwili.

Odbyte rewizye, a zwłaszcza znalezienie kilku set odezw podszczuwacze hakatystyczni wytłómaczyli sobie na swój sposób. To wielkopolska agitacya — opór dzieci jest sztuczny, powstał skutkiem agitacyi. Podszczuwacze ci wysnuwają ztąd ten wniosek, że opór dzieci wkrótce ustanie, byle tylko władze postępowały sobie energicznie.

Wydaje nam się, że takie tłómaczenie drobnego wypadku znalezienia kilku tysięcy odezw, to zła przysługa dla rządu. Odezwy te, to nie źródło strajku, to raczej — powiedzmy to sobie szczerze — zła przysługa, jakiej społeczeństwo nasze sobie ani życzyło, ani się jej spodziewało. Faktem bowiem jest, że nikt z poważniejszych ludzi w naszem społeczństwie ani tej odezwy nie znał, ani jej aprobował. Na dowód tego niech posłuży chociaż ta okoliczność, że do pism polskich owa odezwa przedostała się z pism niemieckich — i to w tłomaczeniu, które nawet trzeba było poprawiać.

Więc nie odezwa ta ani inne jest przyczyną strajku. Kto zaś odezwę tę za taką podaje, ten uwagę czynników rządowych w fałszywym zwraca kierunku.

Uwaga rządu, który z całym aparatem policyjnym, odbył kilkanaście rewizyi, kilkanaście osób przesłuchiwał, ta uwaga raczej powinna być skierowana w innym kierunku, a mianowicie ku zbadaniu szczegółów wśród dzieci. Rząd powinienby się przynajmniej chcieć przekonać, co te dzieci o oporze myślą, jak długo chcą się opierać — a od tego powinien rząd uzależnić swoje postępowanie i kroki.

My wprawdzie wiemy, że rząd głosów prasy polskiej nie słucha, woli hakatystów i „Tageblaty", my pomimo tego uważamy sobie za nasz obowiązek zwrócić uwagę na dwa znamienne wypadki, jakie do naszej wiadomoci o oporze bezpośrednio się przedostały.

Odebraliśmy z pewnej miejscowości list od chłopca szkolnego, który jest tak znamienny, że go tutaj dosłownie podajemy:

. . . . . . .8. 10. 1906.

Kochana Praco.

„Mam lat 11. Wyczytałem w Pracy, że już wszędzie dzieci nie odpowiadają po niemiecku na religią.. Tylko u nas w N . . . . . wszystko śpi. Jest u nas 10 klas i 8 nauczycieli. W tych dziesięciu klasach nie odpowiadają na religię po niemiecku tylko piętnaście dzieci. Ja chodzę do trzeciej klasy. Było nas dwóch, co nie chcielim odpowiadać na niemieckie pytania w religii. Ale mój kolega zląkł się, gdy go pan nauczyciel zapytał: dein Vater ist bei der Bahn? — Ist schon gut, setz dich hin. Na drugi dzień, gdy go pan nauczyciel zapytał: willst du antworten? — odpowiedział: ja, ja! — Teraz pozostałem sam jeden, biedny; ja się nie boję, bo mój ojciec jest siodlarzem, to mu nic nie mogą zrobić, ale myślę, że jeżeli więcej nas się nie znajdzie, to i tak w . . . . . nic nie zrobimy. Pan nauczyciel nas za to nie bije, tylko każe nam odsiadywać areszt. Możeby kochana Praca obudziła naszych . . ., toby może po wakacyach się poprawili, a byłby największy czas"......

Tak brzmi list jedenastoletniego chłopca szkolnego, ale tak się też wszędzie opór rozpoczyna, najpierw jeden, potem dwóch — dziesięciu, piętnastu — aż ogarnie wszystkie klasy, całą szkołę.

Czy rząd by nie powinien sobie powiedzieć, że z takim naturalnym ruchem walczyć jest niepodobieństwem?

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

24) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Kościuszko bowiem na wiadomość o Legionach powrócił już z Ameryki[1]) i jako naczelnik Narodu działać dalej począł używając swej władzy i swego wpływu[2]). Przy owem wręczeniu sztandarów mówił uroczyście do zebranych minister wojny:

[1]) Kościuszko w Ameryce nie wiedział, że jego oficerowie i urzędnicy powzięli plan odbudowania Polski z pomocą republikańskiej Francyi, która nie uznawszy 2 ostatnich rozbiorów Polski, dała Polakom schronienie w Paryżu, z opieką w Wenecyi i Konstantynopolu. Nie wiedział o Legionach i o tem wszystkiem, co działa Dąbrowski przez niego awansowany na generał-majora i na generał-lejtnanta. Otrzymawszy listy Legionistów (w marcu 1798 r.) pałające nadzieją wywalczenia utraconej niepodległości narodowej, nagle ozdrowiał i z Filadelfii przybył spiesznie do Paryża. Stąd zaraz (22 lipca 1798 r.) odezwał się do dawnych towarzyszy broni, na których jego powrót z Ameryki ogromne wywarł wrażenie. Już 6 września 1798 r. stanął przed nim Eljasz Tremo i zdał mu dokładnie sprawę o Legionach. Kościuszko za pośrednictwem Barsa napisał listy do Dąbrowskiego i do Wybickiego. Pisał też list do „ministra Cisalpińskiego" w sprawie polskiej do Dyrektoryatu Cisalpińskiego. Na ten drugi otrzymał następującą urzędową odpowiedź: — Obywatelu Generale! Imię twoje, list twój, waleczny Generale, wzbudził w sercach naszych takie wzruszenie, że go wypowiedzieć nie można. Polecasz nam rodaków, towarzyszów twoich nieszczęść przesławnych. A więc dowiedz się, że wszyscy oni dotychczas godni są Ciebie mieć na czele. Stąd poznasz tkliwe uczucia, jakie nas względem nich ożywiają. Bądź też pewnym, że broniąc naszej wolności, utrzymują się oni w gotowości bronić kiedyś wolności polskiej, ponieważ ojczyzna ich, Obywatelu Generale, nie jest martwą: ona oddycha przez Kościuszkę, ona ma ucieczkę w Tobie, ona jest wszędzie tam, gdzie jesteś. Tymczasem będą oni zawsze naszemi dziećmi i naszymi braćmi, bo ich otacza w oczach naszych majestat twych nieszczęść, a cnót twoich nie skompromitowało ich dobre sprawowanie się. Przyjm Obywatelu Generale, szczere zapewnienia naszego czułego szacunku z nadzieją, że Cię ujrzymy wkrótce, zajmującego swoje miejsce wśród gotujących się w Europie wielkich wypadków. — Prezydent: Adelaisio. Sekretarz: Araucos. — T. Korzon. Uzdr. Kość. i spr. Legion. Tyg. ill. Warsz. 1906. Nr. 9—11. str. 166—205.

[2]) Kościuszko w Ameryce po otrzymaniu listów z Europy (26 marca 1798 r.) „doznał tak silnego wzruszenia, że zeskoczył ze swego łoża na środek pokoju, chociaż nie ruszał się bez podtrzymywania", a czując się otrzymanemi wiadomościami uzdrowionym, wystarał się zaraz o paszport na imię Niemca Kanberga i nie uwiadomiwszy nawet przyjaciela swego Niemcewicza, nagle opuścił Amerykę. Dnia 28 czerwca 1798 r. był już w Bayonnie, skąd bezzwłocznie podążył do Paryża, gdzie przyjmowany był owacyjnie. Aby nie być krępowanym względem Rosyi, odesłał (4. VIII) carowi Pawłowi owe 12,000 rubli, które od niego otrzymał w podarunku w zamian za nadany majątek ziemski. — A przecież rozważając w mądrym, jasnym i przenikliwym swym umyśle bieg wypadków, uznał Kościuszko potrzebę wstrzemięźliwego zachowania się wobec Europy. Więc nie pojechał do Medyolanu, nie przyjął nawet naczelnego dowództwa nad Legionami publicznie i urzędowo, chociaż był Najwyższym Naczelnikiem Narodu i tego tytułu nikt mu dotąd nie odebrał. Ale on

Drugi wypadek jeszcze jaskrawiej dowodzi istotnej dojrzałości i świadomości, z jaką opierają się dzieci nasze niemieckiej nauce.

W małem miasteczku na prowincyi rozpoczął się opór. Dzieci jednakże, którym nie łatwo wyzwolić się z pod wpływu nauczycieli zwłaszcza z początku, ulękły się z wyjątkiem jednej dziewczynki. Nuże rektor ją straszyć i namawiać: nie będziesz posłuszną, musisz odsiadywać areszt, będziesz chodzić do szkoły do 16 roku — ale gdy będziesz posłuszną, to na Wielkanoc zwolnimy się ze szkoły. A dziewczę na to: niech mi pan rektor da to na piśmie. — Jak to nie wierzysz mi? — pyta zdziwiony rektor.

„Niemcy już tyle razy nam różne rzeczy przyrzekali, a nigdy nie dotrzymali" — była krótka ale dosadnia odpowiedź dziewczynki.

A więc — te dwa wypadki jasno jak na dłoni dowodzą, — że nie w odezwach takich lub owakich należy szukać źródła t. zw. strajku szkolnego, lecz należy go szukać w świadomości narodowej dzieci. Toż na odpowiedź owej dziewczynki niejeden ojciec nie odważyłby się nawet — wobec żandarma.

Tyle w sprawie odezwy i rewizyi. Odstąpiliśmy tym razem od naszej zasady nie zwracania rządowi uwagi na to, co robić powinien, a odstąpiliśmy dla tego, że to sprawa zbyt ważna. Niech rząd nie szuka „wielkopolskiej agitacyi" tam gdzie jej niema, niech rząd wie, że choćby tej agitacyi zdołał położyć kres, to jeszcze to mu nie da pewności, czy położy kres oporowi — takich dzieci, o których powyżej pisaliśmy.

A teraz uwag parę w stronę nas samych. Z powodu znalezionych odezw, z powodu rewizyi odbytych w różnych redakcyach i u różnych osób, powstało pewne zaniepokojenie, nerwowość, która poczęła już przyćmiewać świadomość tego, co nam wolno a czego nie wolno.

Przypominamy tutaj nasze zasadnicze stanowisko, że nam wolno w obronie najświętszych dóbr naszych ryzykować nie tylko mienie nasze — ale nawet i życie. Pytanie tylko, czy z tej ofiary społeczeństwa wyrośnie jaka korzyść.

Tymczasem obecne położenie ofiar takich od nas nie wymaga.

O co bowiem w obecnej chwili chodzi?

Zdajmy sobie naprzód sprawę z jednej rzeczy, że chwila ta dla nas jest wielkiej wagi, chodzi bowiem o złożenie świadectwa wobec całej Europy, i to świadectwa, do jakiego stopnia nasza świadomość narodowa przeniknęła społeczeństwo w głąb i szerz.

Jaki będzie skutek oporu, czy się rząd cofnie, czy opór ustanie, te pytania naszem zdaniem na razie nawet w przybliżeniu rozstrzygnąć się nie dają. Toż opór ten lata całe trwać może — a ktoby się łudził, że ustanie dziś albo jutro, za miesiąc, za kwartał lub rok, ten albo przecenia nasze i dzieci siły, albo łudzi się co do pochopności w ustępstwach ze strony rządu.

Naszem zdaniem, my dopiero jesteśmy u początku sprawy — o koniec powinniśmy się byli zapytać wówczas, gdy pierwsza wieść oporu się pojawiła, dziś pytanie to nas nie obchodzi, bo z pola tej walki *ani my ani rząd cofnąć się nie możemy.*

My nie możemy się cofnąć, bo naszego zawołania do porzucenia oporu niktby nie usłuchał, a rząd nie może, bo zbytnio zaangażował się w dotychczasowej walce. Rząd chce bronić swojej powagi (!) wobec polskiej ludności.

Walkę tę według naszego zdania rozstrzygnie inne ważniejsze pytanie, a mianowicie: *kto, rząd pruski czy społeczeństwo polskie, w tej walce ma więcej do stracenia?* Pytanie to bowiem decyduje o tem, kto silniej interesów swoich bronić będzie.

Pytania te są tak ważne, że jednem słowem rozstrzygnąć ich nie można, odkładamy je przeto do następnego numeru, poruczając je uwadze i rozwadze naszych Czytelników i zwolenników. Pragnęlibyśmy ażeby jak najszersze warstwy społeczeństwa naszego z powodu oporu szkolnego zajrzały sobie w głąb duszy i serca, i zapytały się, ile tam ciepła polskiego, ile myśli polskich, ile ofiarności na rzecz interesów polskich. Od szczerości tego rozstrząśnięcia własnego sumienia zależeć będzie — nasze zwycięstwo.

— Czyny Polaków dowodzą, że do utrzymania własnej niepodległości nie brakowało im ani talentów ani męstwa...

Godni, aby znaleźli między nami ojczyznę i wolność!

Wśród hucznych oklasków ludności Kniaziewicz podziękował głośno, wołając:

— Nie tracę nadziei, którą Polacy pokładali w Wielkim Narodzie Francuskim![3]).

W uznaniu zasług polskich przysłał Dyrektoryat Kniaziewiczowi broń honorową, „co było wówczas jedynym sposobem wyższego wynagrodzenia i oznaką zadowolenia rządu"[4]).

Do Kniaziewicza cisnęła się teraz pełna zapału młodzież, między którą byli wsławieni później Sokolnicki, Suchorzewski, Sierawski, Jeczmanowski, Żdzitowiecki.

Z tej młodzieży a także z jeńców austryackich rozpoczął we Falzburgu tworzyć nową legię Kniaziewicz, który do pomocy przybrał sobie pułkownika Gawrońskiego, towarzysza swego Drzewieckiego i przybyłego niedawno z kra-

---

chciał piastować tę godność tak, ażeby majestat wskrzeszonego narodu nie poniósł szwanku ani skazy. — Bo też powrotem jego zaniepokoiły się mocno dwory zaborcze. Z Petersburga rozesłano do wszystkich gubernatorów w prowincyach polskich rozkazy, których treścią było:

— Szukajcie i chwytajcie Kościuszkę!

— Niebezpieczeństwo grozi monarchii austryackiej! — wołali ministrowie wiedeńscy i rozsyłali wszędzie rysopisy Kościuszki z rozkazem chwytania go.

A król pruski pisał do Drezna:

— Kościuszko wrócił i my strzeżemy go pilnie, władze saskie niechaj też baczne oko mają na tego zuchwałego wichrzyciela!

Najbardziej jednak byli przestraszeni czynownicy moskiewscy w Litwie i szukali pilnie groźnego „awanturnika".

— Jej Bohu, eto Kostiuszko! — krzyczała uradowana straż, gdy jej się udało, jak mniemała pochwycić Naczelnika. Odwieziony został spiesznie do Petersburga i postawiony przed najwyższą władzę:

— Tyś Tadeusz Kościuszko, naczelnik powstania polskiego?! — pytano go niecierpliwie.

— Ja, panowie?... Gdzież mnie do Naczelnika Kościuszki? Jam prosty chłop z Borun!... — mówił kłaniając się zmęczony chłopek, odznaczający się rzeczywiście wielkiem podobieństwem rysów i postaci do Tadeusza Kościuszki. — Sokołowski, IV, 1279, 1281, 1282; Korzon j. w. Tyg. ill. 1906, nr. 10, str. 186.

[3]) Kniaziewicz przybywszy do Paryża, oddał przedewszystkiem Kościuszce w imieniu Legionów miecz Sobieskiego z kościoła Loretańskiego jak „najgodniej mogącemu nim władać", za co otrzymał w darze pałasz, który Naczelnikowi dał w Sztokholmie król szwedzki. (Sokołowski, IV, 1285). Morawski pisze, iż Kościuszko odesłał ten miecz Dąbrowskiemu z temi słowy:

— Obyśmy obadwaj złożyli go rychło w świątyni pokoju, uwieńczonego wolnością i szczęściem współrodaków naszych!

Od Dąbrowskiego przeszedł ten miecz do rąk Napoleona I, po jego śmierci miał go otrzymać syn jego, obecnie (r. 1872) jest złożony w muzeum paryskiem. — Mor. VI, 33.

[4]) Limanowski str. 32 według Drzewieckiego; Morawski, VI, 34.

Rozdział Kościoła od Państwa we Francyi.

Dnia 9-go grudnia 1905 ogłosił rząd francuski nową ustawę o stosunku kościoła do państwa. Ustawa ta posiada dwie strony: pierwsza negatywna — to zerwanie wszelkiej łączności pomiędzy kościołem a państwem, jaka istniała na podstawie zawartego przez Napoleona I z papieżem Piusem VII w r. 1801 konkordatu. Na mocy tego konkordatu Pius VII otrzymał z powrotem państwo kościelne, które mu był Napoleon zabrał, a w zamian przyznał rządowi prawo do obsadzania, a raczej zatwierdzania biskupów, czyli pewną zależność władz kościelnych od władzy państwowej. Prócz tego zgodził się papież na zatrzymanie przez rząd francuski zabranych dóbr kościelnych z tem zastrzeżeniem, że państwo będzie płaciło księżom emerytury oraz pewne dodatki do pensyi. Taki stan rzeczy istniał dotychczas. Z wejściem jednakże w życie nowej ustawy zmieni się to zupełnie, aczkolwiek ustawa sama o zerwaniu konkordatu nic nie opiewa.

Pozytywna strona ustawy zawiera warunki, na jakich dozwolone będą katolikom publiczne praktyki religijne. Warunek ten — to zrzeszenie się katolików w stowarzyszenia religijne na podstawie prawno-państwowej. O tychto stowarzyszeniach religijnych ustawa szeroko się rozpisuje. Zdawaćby się mogło, że położenie zewnętrzne kościoła się nie zmieni, gdyby rzeczywiście zakładano proponowane przez ustawę stowarzyszenia, mające wiernym zabezpieczyć posiadanie kościołów i wolność praktyk religijnych. Długo się wahano w kołach kościelnych, czy ustawę przyjąć lub nie. Istniała nawet bardzo silna partya z jednym z arcybiskupów na czele, która była skłonną poddać się nowej ustawie. Cała prasa również była zdania, że ustawę można i trzeba przyjąć, choćby już z tego względu, aby niepotrzebnie nie wywoływać nowych starć krwawych.

Rzym jednakże uległ innym wpływom. Z nadzwyczajną niecierpliwością oczekiwano ze wszech stron encykliki papieskiej, od której zależeć miało ukształtowanie się stosunków kościelnych we Francyi. Dnia 10-go sierpnia ogłasza papież encyklikę nazwaną od pierwszych słów „Gravissimo officio,“ w której potępia stowarzyszenia religijne i tem samem staje w przeciwieństwie do całej ustawy.

„W sprawie stowarzyszeń religijnych — opiewa encyklika — które prawo ustanawia, oświadczamy stanowczo, że *nie mogą* one być żadną miarą zakładane bez naruszania najświętszych praw kościoła. Pozostawmy więc stowarzyszenia religijne, które nam sumienie zakazuje aprobować.“

Nie dość na tem. Aby zapobiedz jakimkolwiek przypuszczeniom, że papież wprawdzie „stowarzyszenia religijne“ potępia, lecz zgodzi się na ich istotę pod inną nazwą lub w cokolwiek zmienionej formie, opiewa encyklika dalej: „Czy istnieje możliwość, w miejsce stowarzyszeń religijnych spróbować z innemi stowarzyszeniami *prawnie i kanonicznie* dozwolonemi, aby oszczędzić katolikom poważnych grożących im komplikacyi?...... Ponieważ możliwości takiej nie będzie dopóty, dopóki prawo pozostanie takiem jakiem obecnie jest, przeto *zakazujemy wszelkich prób skierowanych do zakładania innych związków.*“ Wreszcie wzywa encyklika wiernych do „użycia wszelkich prawnie dozwolonych środków, aby kult religijny zorganizować.“

Encyklika papiezka stworzyła sytuacyę, z której dotąd nikt drogi wyjścia znaleźć nie może. Z jednej strony ustawa zabezpiecza katolikom własność kościołów i wolność publicznych praktyk religijnych li *tylko pod tym warunkiem*, że zorganizują się w stowarzyszenia religijne — z drugiej zaś strony papież zakazuje kategorycznie zakładania takich stowarzyszeń, a z zakazu tego konsekwentnie wynika, że ci, coby pomimo to zakładali stowarzyszenia religijne, przestają tem samem być wyznawcami kościoła rzymsko-katolickiego. Należy też zaznaczyć, że dotąd wszyscy biskupi i cały kler stanął po stronie papiezkiej, wobec czego przypuszczać można, że i wiernie kościołowi oddani Francuzi pójdą za swą władzą kościelną. Liczba ta jest jednak, bardzo mała, nawet w kołach klerykalnych szacują ją tylko na 3 miliony najwyżej. Reszta zaś narodu, w sprawach religijnych obojętna lub kościołowi katolickiemu wręcz wroga, dotąd nie organizuje stowarzyszeń religijnych na większą skalę. A gdyby nawet z dniem 11-go grudnia stowarzyszenia religijne istniały, to zachodzi jeszcze kwestya,

---

ju Stanisława Fischera, adjutanta Kościuszki z pod Maciejowic. Zebrało się więcej niż dwa tysiące ludzi[5]).

W czasie pobytu Napoleona w Egipcie nie szczególnie powodziło się Francuzom na północy Włoch, gdzie stracili całą Rzeczpospolitą Cisalpińską.

Pod wodzą Scherera walczyli oni z połączonemi siłami Austryaków i Moskali w liczbie 30,000 wojska. Potykał się obok nich chlubnie Polacy, biorąc udział w wielu nieszczęśliwych bitwach i dokazując cudów męstwa[6]).

Pod Legnano (26 marca 1799 r.) drugia Legia pod dowództwem Wielhorskiego zasłaniała odwrót Francuzom z takiem bohaterstwem, że Dyrektoryat paryski osobnym listem dziękował za to Polakom[7]). W krwawej i nieszczęśliwej bitwie pod Magnano (5 kwietnia 1799 r.) zginęło Polaków około tysiąca, padł śmiertelnie raniony zacny i dzielny generał Rymkiewicz[8]) pod Novi wielką sławą okrył się generał Chłopicki.[9])

(Ciąg dalszy nastąpi).

[5]) Ale wskutek niedostatku nie można było przyspieszyć organizacyi Legionu. Nie było ani mundurów, ani butów, ani pieniędzy. I oto przeprowadzając swój bosy i obdarty batalion do Metz, zdjął Drzewiecki dla przykładu buty i boso po grudzie, z zakrwawionemi nogami, odprawił pochód. Do walki takie wojsko nie mogło być sposobne. — Morawski, VI, 35, 36.

[6]) Lewicki, 380.

[7]) W krwawej tej bitwie jako prosty piechur szedł śmiało naprzód z bagnetem w ręku 70 letni bohater.

Patrzcie nań młodzi, — wołali wodzowie — oto jak walczy Darowski, dziś prosty szeregowiec, a był pułkownikiem w powstaniu Kościuszkowskiem!

Legł bohaterską śmiercią dzielny starzec, a obok niego 750 żołnierzy. Padło też 17 oficerów. Odznaczyli się: Rymkiewicz, Kosiński, Zagórski, Regulski, Bogusławski. — Morawski, VI, 36.

[8]) Franciszek Ksawery Rymkiewicz, pierwotnie jezuita, rozpoczął służbę wojskową w armii rosyjskiej, w r. 1792 przeszedł pod sztandar ojczysty, w powstaniu Kościuszkowskiem został jenerałem. Umierając w Medyolanie westchnął z rozpaczą:

— O, czemuż nie na własnej ziemi?! (Limanowski, 33; Morawski, VI, 36).

[9]) W tym czasie zwrócili się Dąbrowski i Kniaziewicz do Kościuszki, który też wysłał notę do Dyrektoryatu (9 września 1799 r.) upominając się o „jakieś obietnice pocieszające dla kraju, obawiając się ciągle „srogich mocarstw, które postarają się ugasić płomienny zapał Polaków do walki, wmawiając im, że nie osiągną żadnego pożytku, bijąc się za obcą sprawę“, że tylko uważani będą za prostych „najemników“. Z przygnębieniem i jakby bez nadziei pisze Kościuszko dalej:

Te względy nakazują mi upraszać Was, abyście raczyli ukazać nam jakiś promyk nadziei co do przywrócenia krajowi naszemu niepodległości! I nie zawiódł się w swem przygnębieniu. Dyrektoryat zbył milczeniem tę jego notę. Legionistów, zaś od samego początku nazywa pogardliwie najemnikami, których wszędzie pełno i z którymi kłopot (des Polonais, dont il y a partout excès et embarras). Legię naddunajską urządzono już teraz najściślej na modłę francuską, nie pozwalając jak dawniej na francuskich blankietach umieszczać polskich symboli, ani pisać na nich po polsku. — T. Korzon j. w. Tyg. ill. 1906, nr. 12, str. 225.

czy byłyby one wedle nowej ustawy uprawnione do objęcia kościołów, gdyż ustawa przyznaje to prawo stowarzyszeniom religijnym rzymsko-katolickim, a przecież, skoro papież stowarzyszenia te potępił, nie mogą one być rzymsko-katolickiemi. Wobec takich i tym podobnych trudności nie ulega wątpliwości, że cała ustawa przyjdzie raz jeszcze pod obrady izby poselskiej, która się w tym miesiącu zbierze, i zostanie zmienioną zapewne w kierunku jeszcze radykalniejszym aniżeli dotychczas; trudno bowiem przypuszczać, aby obecny skład izby miał się cofnąć przed władzą papieża. Prawdopodobnym wynikiem zaś całej tej walki będzie schyzma w kościele francuskim.

W dalszym ciągu zastanówmy się, jakie stanowisko zamierza obecny rząd zająć. Czy będzie przemocą zamykał kościoły i ostro karał tych, co się odważą na publiczne odprawianie nabożeństw? Zdaje się, że nie. Mógłby bowiem w tym wypadku liczyć na poparcie bardzo małej części izby t. j. socyalistów i combesistów, reszta bowiem „bloc'u" dla kościoła wprawdzie wrogo usposobiona, jest jednakże przeciwniczką wszelkich gwałtownych środków. Zresztą obecne ministeryum składa się z zbyt wytrawnych i rozumnych polityków, aby mogło się dać uwieźć za daleko fanatyzmowi. O stanowisku, jakie rząd zamierza zająć, powiedział Clemenceau, najwybitniejsza postać w obecnym ministeryum, korespondentowi New-York Herald'a, co następuje: „Ustawa istnieje — i musi być w życie wprowadzoną. Jeżeli stowarzyszenia religijne nie powstaną, tedy trzeba szukać innego środka, któryby stworzył harmonię pomiędzy praktyką religijną a wymaganiami ustawy. Lecz to jest sprawą kościoła, a nie naszą. Naszym obowiązkiem jest dopatrzeć, aby kościoły zostały zachowane dla celów, jakim służyć mają."

„Mogłoby się stać inaczej, gdyby kościoły zostały gminom oddane, w którym — to wypadku, zależnie od woli burmistrza, użyte by zostały do przedstawień teatralnych, jako hale targowe lub tem podobne. My mamy czuwać nad tem, aby ustawa została zaprowadzoną, jednakże *będziemy się strzegli, dawać broń w rękę tym, którym o nic nie chodzi więcej, jak o to, aby odegrać rolę męczenników.*" W podobny sposób wyraził się i minister oświaty Briand. Widzimy więc, że i po stronie ustawy stoją na czele ludzie, nie dający się popchnąć na drogę, którąby rząd skompromitowała. Wobec tego walka może trwać długo, bardzo długo. Nie ma też o tem mowy, aby w przeciągu przyszłych 4-ch lat rząd zrobił jakieś ustępstwa. Dość przypatrzeć się obecnemu składowi izby poselskiej mającej jeszcze 4 lata obradować: zasiada w niej 90 konserwatystów, monarchistów i nacyonalistów, tworzących niejako prawicę, dalej 100 progresistów i umiarkowanych republikańczyków stanowiących poniekąd centrum.

Te dwie grupy, razem liczące 190 członków, są obecnemu ruchowi polityki przeważnie przeciwne. Reszta zaś „bloc" w liczbie prawie 400 stanowczo nie zmieni dotychczasowej polityki zwłaszcza w sprawach kościelnych, począwszy od „niezawisłych," a skończywszy na „radykalno-socyalistach." Wreszcie nie ma też wielkich widoków, aby w niedalekiej przyszłości izba uległa zmianie na korzyść partyi należących do prawicy. Ostatnie wybory z maja 1906 odbyły się już po inwentaryzacyi klasztorów, przy której dochodziło do krwawych zajść, mogących uświadomić najbierniejsze jednostki z obozu prawicy, a pomimo to przyniosły najzupełniejsze zwycięstwo partyom radykalnym, odbierając prawicy kilkanaście dotychczasowych mandatów.

Wogóle w opinii publicznej narodu francuskiego uwidocznia się od pewnego czasu dążenie ku radykalizmowi.

Ma to swe przyczyny, których tu wyłuszczać nie będziemy, zaznaczymy tylko, że jeszcze w roku 1870-ym zasiadały w ministeryum francuskiem same żywioły monarchistyczne. Krótko potem wszedł do ministeryum po zaciętej walce, reprezentant elementów liberalno-republikańskich t. zw. „oportunistów," Gambetta. Już w roku 1879 „oportuniści" mieli przewagę w rządzie, do którego odtąd od kadencyi do kadencyi wchodziły coraz radykalniejsze żywioły. Jeżeli więc bieg rzeczy pójdzie tym samym torem, co dotychczas, to trudno się łudzić, aby walka pomiędzy kościołem a państwem złagodniała.

Niewątpliwie oddziała walka, jaka się toczy pomiędzy Rzymem a Francyą i na nasz naród niestety w sposób ujemny. Rzym bowiem w walce tej będzie szukał sprzymierzeńca, na którym mógłby się oprzeć. To też w ostatnim czasie aż zbyt widocznem jest zbliżenie się Rzymu ku Niemcom. Że na tej przyjaźni nic nie zyskamy, każdemu jest jasnem. Jesteśmy pozostawieni sami sobie, na nikogo liczyć nie możemy, zatem *„czuj duch."*

M. Gł.

Słów kilka
o dziennikarstwie i stronnictwach politycznych
w Królestwie Polskiem.

(Własna korespondencya „Pracy.")

Warszawa, 9 października 1906.

I.

Życie społeczne i polityczne danego narodu odzwierciedla prasa. Wiadomo powszechnie, w jakich okropnych warunkach istnieć i działać musiała ona w Królestwie za czasów panowania cenzury prewencyjnej.

Można by tomy całe zapełnić wyliczeniami różnych zakazów i ograniczeń, jakie ta ostatnia stawiała dziennikarstwu polskiemu. Posunięte do bezmyślności i głupoty prześladowanie wolnego słowa było jedną z najdotkliwszych krzywd, wyrządzanych narodowi naszemu pod rządem rosyjskim. Obecnie, gdy już cenzura należy do przeszłości, zbytecznem chyba będzie podawać na łamach peryodycznego pisma opis stosunków, panujących w prasie warszawskiej w okresie przedkonstytucyjnym. Ten wdzięczny, obfity, a wielce ciekawy materyał znajdzie napewno swych historyków, którzy z niego stworzą nielada przyczynek do (krwawych) dziejów Polski porozbiorowej. Życie nie czeka, brak miejsca i czasu na zajmowanie się rzeczami przeszłemi wówczas, gdy chwila bieżąca wprost nas przytłacza wielką ilością zjawisk i faktów wartko płynącego życia politycznego.

A więc cenzura należy dziś do przeszłości! prasa w Królestwie poddaną wreszcie została prawom, bardziej przypominającym Zachód europejski; cenzura uprzednia zastąpiona została cenzurą represyjną.

Pomimo bezustannych konfiskat i zawieszań, spadających u nas na pisma jak z rogu obfitości, pomimo więzień redaktorów lub wysyłania ich za granicę, pomimo częstych kar i procesów, ośmielę się twierdzić, że nowy stan rzeczy jest korzystniejszym od dotychczasowego. Przedewszystkiem nie można zapominać, że bardzo w ostatnich czasach liczne represye prasowe idą na kark stanu wojennego, który pozwala poszczególnym gubernatorom wojennym zawieszać lub konfiskować pisma zupełnie samowolnie. Procesy, wytaczane dziennikom przez sądy cywilne, są stosunkowo nieliczne, gdy natomiast Skałon prześladowanie prasy posunął bardzo daleko. Stan taki, oczywiście, jest bardzo przykrym dla wydawców i redaktorów, oraz dla właścicieli drukarń — wszystkich na-

raża na poważne straty materyalne, a redaktorów prócz tego na więzienie lub zesłanie. Lecz to są krzywdy jednostek, natomiast społeczeństwo posiadło prasę, która pod względem śmiałości tonu, odwagi w podawaniu faktów ucisku i gwałtu, o których dawniej pisnąć nie było można — daleko w tyle pozostawia za sobą dawną prasę podcenzuralną, nikłą, jałową, pozbawioną możności pisania o wszystkiem, co stanowi dla czytelnika polskiego najważniejszą wartość. Prasa się stała czynnikiem uświadamiającym, politycznie wychowawczym, a gdy się pojawiły pierwsze przebłyski życia konstytucyjnego, wybory, parlamentaryzm, rola dziennikarstwa polskiego wzrosła w dwójnasób. Z powstaniem jawnie działających partyi politycznych pisma nabrały charakteru nowego: organów partyjnych.

Wbrew nader surowym warunkom stanu wojennego, utrudniającym istnienie i rozwój wolnego słowa, prasa krajowa, zarówno stołeczna, jak i prowincyonalna, rozwinęła się znacznie. Obfitość haseł, kierunków i organów myśli społecznej i politycznej jest u nas wcale poważną, rzekłbym — zbyt wielką, przypominającą Galicyę, w której nadmierna ilość stronnictw i partyi jest bodaj plagą społeczną. Istotnie, w naszych warunkach, zbyt wielkie rozdrabnianie się społeczeństwa na różnorodne, zwalczające się wzajem obozy, osłabia siły nasze wobec naporu zewnętrznego. I co jest zjawiskiem smutnem, dziwnem, a w pruskim zaborze nieznanem, że niema u nas tak zwanej platformy politycznej, zdolnej zjednoczyć w jakimkolwiek punkcie wszystkie stronnictwa krajowe. Wówczas gdy w Księstwie wszystkie stronnictwa polityczne polskie, wszystkie odłamy opinii łączy hasło jedno — samoobrony przed germańskim zalewem, gdy naród jak mąż jeden stanąć jest gotów w obronie polskiej nauki religii, gdy wszystkie, sprzeczne na innych punktach swoich programów stronnictwa szeregują się zgodnie pod jednym sztandarem *Straży*, w Królestwie rozbieżność haseł i dążeń dochodzi do tego stopnia, że instytucya *Polskiej Macierzy Szkolnej*, z natury rzeczy bezpartyjna, ogólno narodowa, jest jawnie lub skrycie zwalczaną przez demokratów postępowych oraz socyalistów „polskich". Towarzystwo gimnastyczne *Sokół* nie cieszy się przychylnością sfer pewnych społeczeństwa polskiego. Nawet hasło autonomii Królestwa, zdawało by się, stanowiące naczelny punkt programu wszystkich stronnictw krajowych, a wysuwane na plan pierwszy również przez Demokracyę Postępową, nie jest — śmiem twierdzić — w jej ustach zupełnie szczerem. Jest mianowicie warunkowanem albo reformą rolną według recepty kadetów, albo uprzednieni zastosowaniem w Królestwie innych ogólno rosyjskich „wolności". Pedecy więc chcą uszczęśliwić wprzód naród przy pomocy obcej, i wtedy dopiero dać mu samorząd. Swój naród uważają za dziecko, niezdolne rządzić się same i są w najlepszej zgodzie z „kadetami" rosyjskimi, którzy się obawiają dać Polsce samorząd, by równocześnie w ten sposób „nie wydać szlachcie na pastwę ludu i robotników". Pomijam niedorzeczność tego twierdzenia, boć przecież autonomiczna Polska rządziła by się sejmem, wybranym przez powszechne, równe i t. d. głosowanie; to nie wystarcza pedekom. Dla uchronienia ludu od ucisku warstw posiadających chcą oni przed autonomią... unarodowienia ziemi, a więc czegoś, najbardziej sprzecznego z naszym charakterem społecznym i narodowym. A wiedzą dobrze, że sejm przyszły, z najbardziej demokratycznych żywiołów złożony, odrzucił by bez rozprawy podobnie fantastyczny projekt, który w dodatku byłby wyrokiem śmierci dla polskiego żywiołu Litwy i Rusi.

I ten doktrynerski charakter Demokracyi postępowej, to nieliczenie się zgoła z interesem narodowym polskim, i ta gotowość do poświęcania na rzecz doktryny najistotniejszych naszych aspiracyi do rozwoju i utrzymania tego, co mamy — to wszystko w znacznym stopniu wytłomaczyć da się żydowskiem obliczem stronnictwa, żydowską jego prasą i żydowskiem pochodzeniem kierowników naczelnych. Brak im ducha polskiego, tradycyi polskiej. W ich miejscu: kosmopolityzm i jawna nienawiść do kościoła katolickiego. Żydzi jednak tu nie są wyłącznymi sprawcami nie polskiego charakteru Pedecyi: w szeregach swoich stronnictwo to liczy bądź co bądź dość znaczną ilość inteligencyi polskiej, jednostek, zasłużonych na polu piśmiennictwa i nauki polskiej. Z tego też ostatniego względu nie mamy prawa brać PD po za nawias stronnictw polskich.

I ten charakter Pedecyi, który podczas wyborów zamanifestował się łączeniem z żydami przeciwko stronnictwu polskiemu, odstrychnął od niej uczciwsze żywioły polskie, które pomimo t. zw. postępowości swojej nie wyparły się przecież ideałów ojczystych. Z PD wyłonił się t. zw. Związek Demokratyczny, który dziś występuje nazewnątrz jako zorganizowana świeżo Polska Partya Postępowa (PPP).

O celach i zadaniach tego najmłodszego stronnictwa polskiego informuje nas pierwszy numer nowego dziennika, wychodzącego w Warszawie od dnia 1-go października p. t. *Przełom*. Jest to organ stronnictwa PPP, redagowany przez p. Antoniego Sygietyńskiego. Z obszernego artykułu programowego dowiadujemy się, że hasłem nowego stronnictwa ma być „Ojczyzna i postęp", celem — „zrzeszenie postępowych żywiołów polskich, szerzenie idei radykalizmu, opartego na współzależności ras i klas". Z załączonego programu PPP przekonywamy się, że stronnictwo to pod względem politycznym nie wiele się różni od Demokracyi Narodowej, pod względem społecznym rozwija szeroki program demokratyczny, nie obcy zresztą i DN, pod względem ekonomicznym — powtarza ogólnie uznane i głoszone na Zachodzie postulaty zabezpieczenia robotnika, obrony pracy przed wyzyskiem i t. p. Natomiast zasadą przymusowego wywłaszczania własności ziemskiej większej (stopniowego, za wynagrodzeniem), różni się PPP od DN, która zresztą też dąży do największego rozwoju własności ziemskiej włościańskiej i do zapewnienia tejże najlepszych warunków bytu, podrzucając jednak zasadę wywłaszczenia przymusowego. Demokracya narodowa, stwierdzając fakt stopniowego zaniku własności wielkiej na rzecz drobnej, uważa za konieczne ułatwiać i przyspieszać ten naturalny proces demokratyzacyi narodu przez wprowadzenie łatwego, długoterminowego kredytu rolnego i stworzenie dla warstwy włościańskiej najlepszych warunków ekonomicznego rozwoju. PPP idzie dalej, wyprzedza nawet Europę Zachodnią, obcą zasadzie przymusowego wywłaszczenia. Został tu wyraźny wpływ niefortunnego przemysłu kadetów, zapoczątkowanego w warunkach zgoła od naszych odrębnych. Naogół biorąc, polska partya postępowa będzie, sądząc z ogłoszonego programu, stronnictwem bezwarunkowo narodowem, zdolnem stanąć w jednym szeregu z innemi narodowemi kierunkami w kraju.

Byleby nie szła zbytnio na lewo, a przy dobrej woli swych kierowników odnajdzie drogi do równoległej pracy z innemi patryotycznemi żywiołami kraju i stronnictwami, nie od dziś posiadającemi wpływ i znaczenie.

Sarmata.

Religia w języku moskiewskim.

Było to w roku 1866...

Było to wówczas, kiedy po ukończeniu walki o niepodległość narodu, rodacy nasi musieli cierpieć jeszcze sroższe męczarnie i dźwigać jeszcze cięższe prześladowanie.

Było to wtedy, kiedy przemoc zwycięzców szła po kraju jako żelazna i gniotąca siła, kiedy deptano dlatego, że to Polska, zabijano dla tego, że żyje, męczono dla tego, ażeby przypominać, iż żyć się nie ma prawa. Więc oto wtedy, w Kamieńcu podolskim był nauczycielem religii rzym.-katolickiej, ksiądz kanonik Michał Ostrowski.

Przysyłają księdzu Ostrowskiemu rozkaz, ażeby uczył religii w języku moskiewskim.

— Nie! odpowiada zacny kapłan, tego nigdy nie uczynię.

— Musisz! gubernator kazał, musisz tak uczyć.

— Nie! odrzeknie jeszcze raz szlachetny Polak. Wolę wcale nie uczyć jak mam uczyć w języku obcym, w języku wroga naszego.

Więc wnosi podanie do odnośnej władzy i prosi, ażeby go uwolniono od obowiązku nauczania religii.

Niedługo czeka na odpowiedź.

Oto wpadają żandarmi, w biały dzień na ulicy, którą on z kościoła do domu wraca, chwytają księdza Ostrowskiego jak złoczyńcę, wiążą i wloką do więzienia.

— Za co mię więzicie? pyta kapłan.

— Za to, że nie chcesz uczyć religii.

— Chcę i będę uczył, ale w ojczystym języku.

— Pójdziesz wnet na Sybir i przekonasz się, że słuchać trzeba...

Na drugi dzień wyprowadzają księdza Ostrowskiego z więzienia i na kibitkę pakują.

— Pozwólcie tylko tyle, bym klucze od kościoła Biskupowi oddał. Tak wymaga przepis, tak powinienem uczynić. Byłem opiekunem i sługą w tej Bożej Świątyni, w której obowiązki kapłańskie spełniałem, godzi mi się przyklęknąć w progu na pożegnanie, godzi mi się te klucze oddać Biskupowi.

Nie pozwolili.

Wywieźli na Sybir i nikt nie wie czy wrócił ztamtąd.

Takie były w Polsce męczeństwa za to, iż się nie uczyło dzieci religii po moskiewsku.

Żałosną tę kartę męczeństwa pisze się i dziś dalej, a to pisanie smutne jest bardzo. *Iskra.*

Położenie chłopów w Rosyi.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Petersburg, dnia 8 października 1906

Mieszkaniec średniej Europy, który nigdy nie podróżował w głębi Rosyi, nie ma najmniejszego pojęcia o tem, jaka ogromna przepaść dzieli chłopa rosyjskiego od jego współzawodnika w Niemczech lub wogóle w średniej Europie.

Państwo rosyjskie liczy 142 miliony mieszkańców, z tych 115 milionów zajmujących się uprawą ziemi, t. j. chłopów i większych właścicieli ziemskich. Liczba ostatnich jest stosunkowo tak małą, że dla następujących wywodów wcale nie wchodzi w rachubę. Jeżeli powyżej wspomniane 115 milionów składa się z chłopów pracowitych, światłych, miłujących swój zawód, to nie masz na całym świecie państwa, któreby co do bogactwa i potęgi choćby tylko w przybliżeniu mogło się porównać z państwem białego cara.

Z powyżej przytoczonych liczb wynika bezpośrednio, że los państwa rosyjskiego najściślej związany jest z losem chłopów, że ich dola lub niedola jest zarazem szczęściem lub nieszczęściem całego kraju. Jak jednakże w rzeczywistości wygląda wieś rosyjska, ten filar całego państwa?

Wszelkie osady wiejskie w całej Rosyi, z wyjątkiem Królestwa polskiego, Finlandyi i kraju nadbałtyckiego dzielą się na dwie wielkie kategorye, t. j. na sioła (siela) i wsie (derewnie). Pierwsze odznaczają się nieco lepszą budową chat i posiadają zawsze cerkiew, drugie składają się tylko z lepianek i nie mają cerkwi.

Przypatrzmy się nieco bliżej typicznej wsi rosyjskiej w jednej z południowych gubernii, w okolicach osławionego czarnoziemu, ziemi daleko żyzniejszej od najlepszych okolic niemieckich. Wieś taka leży zazwyczaj w znacznem oddaleniu od kolei żelaznej. Oddalenie o 30 wiorst uchodzi za bardzo blizkie, a bywają oddalenia na 200 wiorst i więcej. Droga ku takiej wsi prowadząca na tę nazwę ledwie zasługuje. Na wiosnę i jesienią pokrywa drogę taką grzęź bezdenna, w której można utonąć, latem noga wędrowca i konia pogrąża się w kurzu, o którym mieszkaniec stron cywilizowanych nie ma pojęcia; jedynie zimą, gdy głęboki śnieg pokrywa kraj cały, droga staje się rzeczywiście środkiem komunikacyi. Szosy, które bez wyjątku znajdują się w stanie nad wszelki wyraz opłakanym, łączą zwykle tylko miasta gubernialne między sobą. — Całemi godzinami mijamy pola odłogiem leżące, potem znów na całe wiorsty oczom naszym przedstawiają się tylko kołyszące łany żyta. Im bardziej zbliżamy się do wsi, tem gorszą staje się droga. Wieś sama przedstawia widok nad wszelki wyraz smutny i jednostajny. Po dwóch stronach gościńca sterczą niskie, wykrzywione, z gliny ulepione, słomą marnie pokryte chałupy. Okna w nich małe, często jednoszybne, lub tylko papierem zalepione. Nigdzie nie widać murowanego lub choć tylko drewnianego budynku, ponieważ znajdujemy się na południu Rosyi, gdzie lasów mało, a drzewo drogie. Przed lub poza lepiankami oko europejskiego wędrowca na próżno szuka drzew lub ogrodów, oprócz bujnego zielska i chwastów nigdzie ani śladu ręką ludzką pielęgnowanej roślinności.

Zajrzyjmy do wnętrza jednej z lepianek. Na progu wita nas straszliwa atmosfera i z przestrachem pytamy się, jak mogą żyć ludzie w takiem powietrzu. Wnętrze chaty tworzy tak nazw. „izba“, która jest zarazem kuchnią, śpiżarnią, pokojem mieszkalnym i sypialnym. Do dymem napełnionego wnętrza izby przez małe, odwiecznym brudem pokryte okienka pada blady promyk światła. Środek izby zajmuje ogromny, z gliny ulepiony piec, służący zarazem za miejsce sypialne dla starszych członków familii. Naokół całej izby stoją z gruba wyciosane ławki, w pobliżu pieca takiż stół, w kącie niezbędny obraz — ot i wszystko. Oprócz członków familii, składającej się czasem z 15 osób, w zimie pomieszczają się w izbie nowo narodzone prosięta i jagnięta, któreby w stajni niechybnie zmarzły.

Odżywianie rosyjskiego chłopa odpowiada zupełnie jego marnemu pomieszkaniu. Zwyczajny pokarm tworzą kartofle i czarny chleb, który powinien być ciężkim i wilgotnym jak glina, żeby go „można czuć w żywocie“. Mięso jest przedmiotem zbytku, zjawiającym się na stół chłopski tylko we wielkie święta. Herbata i cukier uważane są za wielkie delikatesy. Za napój służy woda, a w niedzielę i święta wódka, bez której chłop rosyjski istnieć nie może. Oświetlenia w lecie chłop rosyjski wogóle nie używa i udaje się na spoczynek z zachodem słońca. W zimie służy za oświetlenie łojówka, lub gdzie na nią nie starczy, smolne łuczywo. Często zaś w zimie cała familia już o zmroku zasypia, nie chcąc wydawać pieniędzy na oświetlenie.

Jeżeli do powyższego nader smutnego obrazu dodamy niesłychaną ciemnotę i brak zupełny najpierwotniejszych podstaw wykształcenia, to dziwić się temu nie będziemy, że wieś rosyjska tworzy wyszukane źródło zaraźliwych chorób i epidemii. 50 proc.

niemowląt umiera nie dożywszy roku. Śmierć następuje zwykle, gdy wycieńczone piersi matki odmawiają mlecznego pokarmu i gdy zamiast mleka dają dzieciom chleb, dla którego strawienia trzeba zdrowego żołądka dorosłego człowieka.

Seweryn.

Co i jak czytać?

Trudno w pobieżnym artykule dziennikarskim wyliczyć wszystkie zalety powieści *Prusa*, z których każda zasługuje na szczegółową ocenę. Polecamy gorąco rodzicom, prezesom Towarzystw posiadających bibliotekę, aby te ze wszech miar cenne powieści dawali młodzieży dorastającej.

Z pewnością sprzedawczycy, o ile zechcą czytać powieść polską, znaleźliby w niektórych powieściach, a mianowicie w „Placówce" zawstydzający kontrast chłopa gorąco przywiązanego do ojczystego zagona i lekkomyślnego dziedzica z zimną krwią podpisującego kontrakt sprzedaży rodzinnego majątku...

Zupełnie odrębną indywidualność literacką stanowi *Adolf Dygasiński*, przedwcześnie zmarły znakomity pedagog i utalentowany autor. Powieści jego, to raczej studja przyrody, a mianowicie świata zwierzęcego.

Dygasiński, jak żaden przed nim pisarz patrzy w przyrodę nietylko zachwyconem okiem estetycznie wykształconego człowieka, lecz okiem mędrca i poety. Zwierzęta w jego powieściach, to wyraźnie nakreślone indywidualności o najrozmaitszych charakterach, — mają swoje wady i zalety, słabości i błędy, swoje ambicje i namiętności. Szczególną uwagę poświęca autor zwierzętom najwięcej pożytecznym człowiekowi i najwięcej przezeń wyzyskiwanym: psu, koniowi, krowie — z pomiędzy dzikich zaś zającowi. Ludzie i ich losy stanowią w tych powieściach tło, na którem autor w wyrazistych, bo nawet w subtelnych rysach maluje życie zwierząt, ich odwieczną walkę z samolubnym i niewdzięcznym człowiekiem. Powieść „Zając" przedstawia nam rodzinę biednych szaraków pędzących smutny żywot wśród ustawicznego strachu, ucieczki i pogoni z psami.

To znów młynarskie psy Kurta i Burek doznając od panów swych niezliczonych krzywd w zamian za wierne usługi, filozofują trafnie i głęboko na temat niewdzięczności ludzkiej.

Dla młodzieży dorastającej mianowicie chłopców nader pożytecznemi są te powieści, uczące zamiłowania przyrody i litości dla zwierząt. Wiadomo, że szkoły nasze ze swym szablonowym, oschłym systemem mało w tym kierunku oddziałują na młodzież.

Artur Gruszecki, choć talentem nie dorównywa dwom poprzednio wymienionym autorom, zasługuje jednakże na chlubną wzmiankę w szeregu współczesnych pisarzy. Za przedmiot swych powieści obiera Gruszecki stósunki w Królestwie (Tuzy, Nowy obywatel i t. d.) to stósunki fabryczne (Cygarniczka) — to wreszcie epizody historyczne. (Zwycięzcy na tle wojny francusko-polskiej.)

Każdy z tych utworów odznacza się zacną tendencją obywatelską i ta zaleta wynagradza po części niektóre wady techniki: pośpiech i brak wykończenia szczegółów, brak psychologicznego pogłębienia charakterów.

Obietnice.

„Nadto obietnic rzadko się uiści."
(Naruszewicz).

Nic łatwiejszego jak obiecać.

Są ludzie, którzy nie mają odwagi odmówić komuś, gdy ich proszą albo o pomoc w jakiej pracy, albo o przysługę w jakiej sprawie.

— Dobrze! bardzo dobrze! powiadają tacy, zrobię to z pewnością, bez zarzutu, zrobię chętnie. Tak obiecują ci, którzy przyjmują godności prezesów w rozmaitych stowarzyszeniach, sekretarzów, kasyerów i innych stanowisk, które nie są obowiązkami dla bytu i chleba, ale wymagają pracy dobrowolnej i poświęcającej się.

Tak obiecywać jest bardzo łatwo.

A jednak jakże to ogromnie szkodzi pracy narodowo-społecznej, jeżeli ci, którzy obiecywali, nic nie zrobili, a ci którzy tytuły i godności przyjęli, nie zrozumieli, iż uczynili sobie igraszkę i zabawkę z tego, co powinno było być obowiązkiem i powinnością. Jeżeli w ogóle, w wszystkich obowiązkach i pracach, uczciwość żąda, ażeby ludzie zobowiązywali się do tylu przyrzeczeń, ile mogą wykonać — tem więcej wymaga uczciwość i praca narodowa, która tylko wtedy może się rozwijać i plony dodatnie przynosić, jeżeli nic w niej nie będzie zaniedbane — zapomniane, opóźnione i — niewykonane.

Lepiej jest namyśleć się dziesięć razy i rozważyć dwadzieścia razy, czyli się będzie mogło dobrze ten lub ów obowiązek wypełnić, jak obiecać szumnie i hałaśliwie i błyskotliwie, iż się zrobi tyle i tyle, a w istocie, ani chęci, ani czasu, ani zdolności ku temu nie ma, więc i zrobić się nic nie da.

Nadto obietnic, rzadko się uiści — mówi Naruszewicz i słowami tymi wybornie określił naszą lekkomyślność obywatelską. Jesteśmy zapalni jak zapałki i tylko słomianym ogniem świecimy, a żaru i ciepła trwałego nie posiadamy. Za dużo obiecujemy i dlatego za mało działamy.

Robimy sobie karmelkowo-słodką zabawkę z tego, co ma być stalową obrożą obowiązku. Albo się przyjmuje jakiś obowiązek i wykonuje sumiennie, albo się nie bierze na siebie godności żadnej i nie ma na sobie winy nie dotrzymanego przyrzeczenia.

Tak niejeden obiecał pracować w stowarzyszeniu oświatowem:

— Będę miewał odczyty.

— Będę urządzał wieczorki narodowe.

— Będę rozszerzał pracę w czytelni.

— Będę jednoczył w całość całe szeregi robotników, rękodzielników, włościan...

A kiedy potem nic nie było, ani odczytów, ani wieczorków, ani w czytelni żadnego ruchu, wtedy ten, co obiecywał złote góry — woła:

— Nie mogłem wydołać sam jeden, nie mogłem dać rady!

Więc pocóż było obiecywać?.,

Takie obsypywanie ludzi obietnicami uczy lenistwa i lekceważenia.

Ludzie powiadają:

— Po co mamy brać się do roboty, kiedy inni chcą za nas robić.

Inni zaś myślą:

— Nie będziemy zapisywali się do stowarzyszeń, czytelni i t. d., bo tam obiecują dużo, a w istocie nic nie robią.

Jeżeli u nas w obecnej dobie, gdzie tyle jest pola do pracy i tyle nagłych potrzeb do tego wzywa, a przecież stowarzyszenia słabo się rozwijają i postęp jeszcze nie bardzo widoczny, to dzieje się wszystko z tej tylko przyczyny, iż jednostki gorące za wiele chcą przyjmować na siebie obowiązków, za wiele przyrzeczeń dają i zniechęcają drugich i sami jęczą pod ciężarem prac.

Lepiej jest przyjąć na siebie jeden obowiązek w pracy *narodowej* i ten jeden obowiązek wypełniać trwale, jak przyjąć obowiązków 10 i żadnego dobrze nie wykonać.

Obietnice to są bańki mydlane, mają ładne tęczowe barwy, ulatują przed oczyma i — rozpryskują się.

Czyny zaś, jak pługi ostre i głęboko wrzynające się w rolę, idą i prawdziwie pracę ludowi pożyteczną czynią.

Obietnice są często kłamstwem, a jako kłamstwo otwierają drogę dla pochodu rozmaitych win i plam.

Człowiek prawy i sumienny nigdy nie skłamie. Człowiek uczciwy i roztropny nigdy nie obiecuje tego, o czem nie jest przekonany, czy będzie mógł spełnić.

Obietnice są najczęściej piorunami *samolubstwa*, które chce żyć i stroić się w tytuły, ale kropli potu nie wyleje na istotną pracę i z *poświęceniem* się nigdy nie zejdzie na jednej drodze.

My — zawsze obiecujemy i sobie i rodakom i Ojczyźnie wiele dobrego i słonecznego, lecz obietnic nie wykonujemy dlatego, iż ich za wiele dajemy.

Ostrożnie z obietnicami — mniej słowy, więcej pracą obiecujmy naszej przyszłości. *Iskra.*

Gdzie oddać synów do praktycznej nauki.

W niezwykłej sprawę tę poruszamy porze. Nie teraz przecież synowie opuszczają ławy szkolne, nie teraz więc czas, dawać rady, do kogo synów tych oddać w naukę. Ale to też nie jest najważniejsza sprawa, jaką poniższy artykuł porusza. Porusza wiele ujemnych stron naszego stanu średniego, przemysłu i kupiectwa. I to jest powód, dla czego nadesłany nam na powyższy temat artykuł umieściliśmy.

Czytelników naszych prosimy, by zechcieli go przeczytać z uwagą, artykuł tu i owdzie porusza gorzką prawdę — a wiadomo, że takie zajrzenie prawdzie w oczy, to początek naprawy. A czy tej naszemu przemysłowi i kupiectwu nie potrzeba? W myśli, że i ten artykuł przyczyni się do tej naprawy, a choćby tylko do namysłu nad poprawą — oddajemy go pod publiczną dyskusyę.

Jest to sprawa (zwłaszcza w obecnych krytycznych czasach) tak żywo każdego troskliwego ojca o przyszłość swych synów obchodząca, że warto się nad nią bliżej zastanowić.

Wiadomo bowiem, że oprócz wyboru odpowiedniego zawodu dla chłopca wstępującego w praktyczną naukę, głównie wybór mistrza, czy to kupca lub rzemieślnika, któremu dziecko swe powierzamy, najważniejszą w dzisiajszych czasach odgrywa rolę, a nieraz nawet o losach jego decyduje.

Trudno zaprzeczyć, że brak rutynowanego rzemieślnika i inteligentnego kupca u nas jest tak wielki, że każdy kto w tej sprawie dobrze się rozpatrzył przyzna, iż reforma tu jest nie tylko pożądaną, ale wprost konieczną.

Głównie odczuwamy ten brak na prowincyi, gdzie nasz przemysł reprezentuje znaczna część ludzi mało, albo prawie wcale nie znających dobrze swego zawodu. Sami oni ledwie wegetują, lub popadają w niedostatek, zwłaszcza gdy obarczeni są liczną rodziną. Ci przemysłowcy w rozpaczliwem swem położeniu szukają ulgi po części w knajpie, gdzie (głównie podczas dni targowych) odprawiają istne kolędy łowiąc klientelę, która im się opędzić nie może.

Takie postępowanie uwłacza przemysłowi naszemu, a nas upokarza wobec klienteli, która nieraz powiada: niech mi Pan za złe nie bierze, że od X. kupiłem; nachodził mnie niemal codziennie, i nie dał mi spokoju. Wiem, że to partacz i towar od niego podwójnie zapłacony, ale... przepił u mnie wiele, co więc miałem robić? musiałem coś przecież od niego odkupić.

Tacy to majstrowie uczni przyjmują, a przyzwoitej konkurencyi wprost szkodzą.

Rzemieślnik i kupiec ambitny, znający swój zawód gruntownie, jeżeli obsługuje klientelę rzetelnie, nie ma potrzeby szukania odbiorców po wyszynkach. Ci bowiem *sami* go odnajdą.

Znam pewnego rzemieślnika, który po ukończeniu $1^1/_2$ rocznej nauki poszedł do wojska, poczem zamiast się dalej wydoskonalić, objął interes po ojcu i naturalnie przyjął ucznia. Czyż to nie ironia? Otóż tenże uczeń ukończywszy 3 letnią naukę, nie mógł miejsca jako pomocnik zagrzać, poszedł więc drzewo ciosać. Drugi tego „artysty“ uczeń, chłopiec pewnego urzędnika pocztowego był o tyle przezorniejszym, że nie czekał „wyzwolenia,“ lecz zapoznawszy się z uczniami swojego zawodu, dał drapaka.

To samo się dzieje w kupiectwie. Pewien samodzielny kupiec umiejący zaledwie się podpisać szuka ucznia za pomocą następującego ogłoszenia w gazetach: „Chłopiec z lepszem wykształceniem szkólnem może się zgłosić jako uczeń do handlu X.“

Takim nadużyciom trzeba by koniecznie kres położyć!

Naprawa tu jest tem więcej pożądaną, że (o ile stosunki, w jakich żyjemy się nie zmienią), *przyszła generacya na większe bodaj od nas niebezpieczeństwa* będzie narażoną. Mamy do walczenia z wielu żywiołami, wielu przeciwnościami, a więc winniśmy po temu być *uzbrojeni.*

Sądzę, że dobrze zorganizowane lokalne *„Biura informacyjne“* możeby w części choć temu złemu zaradziły.

Przyznać muszę, że i tu trzeba by być bardzo oględnym. Z doświadczenia wiadomo bowiem, że niechęć osobista, zemsta, zazdrość konkurencyjna, zależność e. t. c., a więc *nieszczęsna prywata* wiele złego nabroić by mogły.

Prawdziwem dobrodziejstwem dla naszej młodzieży, garnącej się do praktycznej nauki, byłyby „Towarz. Przemysłowe“ gdyby zechciały urządzić podobne „Biura informacyjne,“ wybierając z łona swego komisyę, która zgłaszającym się osobom służyłaby radą.

Dodać chyba zbyteczne, że komisya ta wyłącznie z ludzi *zupełnie fachowych* składaćby się powinna. Obowiązkiem komisyi tej byłoby przekonać się, czy osoba, która przyjmuje ucznia jest rzeczywiście w całem tego słowa znaczeniu fachowo wykształcona, a więc czy ukończyła 3—4 lat nauki odnośnego zawodu, a po ukończeniu tej że co najmniej lat 5 w różnych warsztatach wzgl. zakładach pracowała.

Niejeden, czytając moją rozprawę powie, że po dziś dzień, gdzie egzamina przymusowe mamy, z moimi zapatrywaniami jestem zbyt wielkim pesymistą.

Otóż wiadomo, że w Niemczech już od lat toczyła się walka o t. zw. „Befähigungs nachweis“ (świadectwa uzdolnienia); że skutkiem tej walki są one egzamina przymusowe w izbie rzemieślniczej, i ograniczenie prawa procederowego co do trzymania uczni, lecz czy prawo to w praktycznem zastosowaniu nie chybia celu, na dowód tego niech posłuży następujące wyjaśnienie.

Rzemieślnik, który od kilku już lat interes samodzielnie prowadzi podlega temu prawu tylko *częściowo.* Ma więc prawo uczni przyjmować, mimo, że sam nietylko egzaminu nie złożył, ale nawet zawodu swego się *nie wyuczył;* wystarczy, że od kilku już lat interes samodzielnie prowadzi. Tam gdzie podobny majster „uzdolnionych pomocników posiada, jeszcze pół biedy, lecz gdy sam lub z uczniami wyłącznie pracuje, a raczej fuszeruje, tam z nauką, uchowaj Boże.!“

Daleko jeszcze gorzej dzieje się w kupiectwie.

N. p. były gospodarz, handlarz bydła, lub zwykły robotnik nawet, kupuje (co się po dziś dzień bardzo często dzieje) gościniec. Oprócz wyszynku posiada on także artykuły spożywcze i inne i szuka uczni „chłopców z lepszem wykształceniem do swego „interesu.“ A więc tu nie tylko bez nauki wolno otwierać składy, na czem cierpi reszta kupiectwa, lecz co gorsza, *tacy kupcy uczą naszą młodzież tego, czego sami się nigdy nie uczyli.*

Przyjmują oni naturalnie chłopców na bardzo dogodnych warunkach, dają im oprócz utrzymania nawet napiwne,

a co najważniejsze, nauka trwa bardzo krótki tylko czas, poczem młodzieniec nie mogąc ostatecznie nigdzie miejsca zagrzać, zostaje agentem, a załatwiając interesa te po części w knajpie, wreszcie przy kieliszku marnieje.

Ważnym czynnikiem jest także *wybór zawodu* dla chłopca. Jak często słyszy się rodziców rozumujących n. p. tak: „Ja chłopaka oddam do kupiectwa, bo to zawód najłatwiejszy. W szkole się nie uczył, do rzemiosła iść nie ma ochoty, więc niech będzie kupcem.“

Również bardzo często rodzice nieświadomie grzeszą, oddając dzieci wątłe i słabowite do zawodów nie odpowiadających ich kompleksyi.

Do jubilerstwa, złotnictwa, zegarmistrzowstwa, rytownictwa, drukarstwa, krawiectwa, szewstwa i t. p. gdzie chłopiec nie ma dostatecznego ruchu i świeżego powietrza, nie należy oddawać chłopców słabowitych. Zawody te wątłe organizmy niszczą, powodując poważne choroby, *po części suchoty* które i tak połowę ludzkości pochłaniają.

Dla chłopców wątłych trzeba wybierać zawsze zawody, których czynności się odbywają przeważnie na świeżem powietrzu. Zresztą trzeba wybierać dla uczni zawsze tylko te zawody, do których okazują pewne zdolności i zamiłowanie.

Wracam jeszcze do warunków przyjmowania uczni.

Są zawody jak rzeźnictwo, mleczarstwo, piekarstwo i t. p. gdzie uczeń już od samego początku nauki, mistrzowi swemu pomocnym być może.

Tam, rozumie się, warunki mogą być przystępniejsze już i z tego względu, że nauka jest łatwiejsza. N. p. nauka sztukatorstwa, malarstwa artystycznego, zegarmistrzowstwa, rytownictwa i t. p. daleko jest trudniejsza, oprócz tego i pryncypał na razie nie tylko nie ma z chłopca pomocy, ale chłopiec taki nawet wprost mu jest ciężarem. Tu swą naukę uczeń jedynie na trudniejszych warunkach prawidłowo odbyć może.

Chłopiec u kupca mającego wyszynk, artykuły spożywcze, kolonialne łokciowe i t. p. już z samego początku nauki posługuje, kręci tytki, zawija paczki, mierzy, waży i t. d., a więc chlebodawca już z *samego początku* ma z niego pomoc. Natomiast tam, gdzie pierwsze czynności od przepisywania manuskryptów (rękopisów) się zwykle rozpoczynają, które możnaby ewentualnie kopiować, tam w dzisiejszych warunkach uczeń swemu pryncypałowi żadnej nie przyniesie korzyści.

Taż sama różnica jest pomiędzy rękodzielnikami. N. p. u mistrza rzeźnickiego chłopiec z rozpoczęciem nauki wykonuje pracę, do której chlebodawca ewentualnie człowieka nająć i dobrze zapłacić by musiał. U zegarmistrza, chcąc się prawidłowo zawodu wyuczyć, chłopiec całemi miesiącami piłuje i toczy, nietylko psuje materyał i narzędzia, ale w dodatku mistrzowi resp. jego drogiemu pomocnikowi czas zabiera.

Nim więc ojcze wybierzesz zawód swemu synowi, zastosuj go do konstytucyi fizycznej, charakteru i zdolności dziecka, oprócz tego dowiedz się, czy mistrz, do którego dziecko oddać pragniesz, ukończył 3—4 letnią naukę, czy jako pomocnik resp. czeladnik dłuższy przeciąg czasu w świecie pracował, gdzie, dalej nie oglądaj się na podpadająco dogodne warunki, a możesz być przekonanym, że wtenczas nie tylko powinność twą względem dziecka wykonałeś, lecz i przyszłość dziecku swemu (jeżeli z drogi prawej nie zboczy) zapewniłeś.

J. Strzelecki z Mogilna.

Czy to hasło do odwrotu?

Ostatnie zakusy hakatyzmu na ziemię polską wywołały w poważnych kołach niemieckich poważną krytykę całej politycznej akcyi hakatystycznej.

Przeciw tej polityce zwrócił się w bardzo poważnym artykule znany ekonomista monachijski, profesor *Brentano*. Artykuł ten zamieścił znany miesięcznik polityczno-ekonomiczny niemiecki „Die Hilfe“.

Artykuł ten dla nas w tej chwili jest bardzo cenny, mianowicie dla tego, że przekonuje on nas o tem, że jeszcze nie wszyscy Niemcy nakręceni są na modłę hakatystyczną, że nadto ludzie i w kołach niemieckich wysoko cenieni przestrzegają przed skutkami takiej polityki, a co ważniejsza wykazują całą jej niedorzeczność i przepowiadają jej bliskie bankructwo.

Profesor Brentano docieka jądra bezskutecznej polityki hakatystycznej i przypisuje to w pierwszym rzędzie *zanikowi poczucia sprawiedliwości* wśród Niemców.

Profesor Brentano utrafił tu w samo sedno. Istotnie trzeba powątpiewać, czy Niemcy, czy szczególnie hakatyści tego uczucia sprawiedliwości nie zatracili już zupełnie, żądając co raz nowych środków ucisku i praw wyjątkowych. Rozumie się, że prawa wyjątkowe naruszają także zasadę *równości wobec prawa.*

Uczony niemiecki przechodzi w swojej rozprawie kolejno walkę kulturną, prawa wyjątkowe przeciwko socjalistom i odrębne traktowanie żydów, których następstwem była tzw. polityka pięści, nie pytając o zasadę: justitia fundamentum regnorum! (sprawiedliwość jest podstawą rządów). I wszystkie te gwałtowne środki stosowano w imię narodowej łączności!

Największe fjasko — pisze Brentano dalej — zrobiła jednak polityka ta wobec Polaków. Etyka panów wyklucza zasadę równouprawnienia, która jedynie „może Niemców z Polakami połączyć w jeden lud“. Zaślepieni hakatyści nie widzą tego i żądają nowego prawa wyjątkowego, polegającego na wywłaszczeniu Polaków z ziemi. Jasnem jest, że broń ta w rękach Komisji kolonizacyjnej może stać się obosieczną.

Profesor Brentano nie wierzy, by prawo to w ogóle przyniosło korzyści niemczyźnie. Bo choćby nawet wykupiono wszystkich większych właścicieli Polaków, to jednak zabierający miejsce ich Niemcy nie obędą się bez — robotnika-Polaka, bez ludu polskiego, a ten lud polski stanowi fundament polskości, bo jest najliczniejszy.

„Zamiast więc — do takiej ostatecznie dochodzi konkluzyi — potęgować bezustannie politykę przemocy, powinni Niemcy zastanowić się nad tem, dlaczego Francuzi pozyskali sobie tak łatwo Alzatczyków i dlaczego pozyskują sobie jeszcze dzisiaj inne narodowości n. p. Włochów, Szwajcarów, Niemców i Belgijczyków, którzy wszyscy w krótkim czasie we Francji stają się Francuzami. Tajemnica polega na tem, że we Francji wszyscy są równi przed prawem. I w Niemczech tylko ta zasada doprowadzić może do znośniejszych stosunków pomiędzy Niemcami a Polakami“.

Nie dziwimy się, że prof. Brentano jako niemiecki patryota, jako uczony pragnie i przekonany jest o tem, że „zasada równouprawnienia może połączyć Niemców z Polakami w jeden lud“. Na to i on sam jest zanadto Niemcem, by módz pojąć, że dwie tak odrębne narodowości, różne kulturą i historyą, różne pochodzeniem, połączyć się nie dają — ale to nawet nadaje jego zdaniu ważności. Prof. Brentano, gdyby umiał się wczuć w duszę polską, pewnie jeszcze inaczej by potępił hakatyzm i ten kurs polityczny, który obecnie przeciwko Polakom panuje.

Ale Polacy i z tego są kontenci, szczególnie w tej chwili, kiedy w sprawie oporu szkolnego hakatyzm doszedł do ostatnich granic swego szowinizmu.

Nie tu jednak koniec potępienia hakatyzmu. Prawie równocześnie pojawiła się wieść, że Niemcy w Austryi i to w Czechach, gdzie przed energią pobratymców naszych coraz bardziej musieli się cofać, wydali hasło: Niemcy, uczcie się po czesku! Do tego doprowadziła ich polityka Wolfów, Schoenerów, znanych wszechniemców, uprawiających w Austryi tę samą politykę, co hakatyści u nas.

Jest to fakt wielkiego znaczenia. Wszechniemcy austryaccy wobec niespożytej energii Czechów cofnąć się musieli, inaczej groziło im niebezpieczeństwo, że wpływy swoje nie tylko ale i w ogóle grunt pod nogami utracą. Ztąd zwrot ku uczeniu się języka czeskiego.

Pisma niemieckie pochwyciły ten fakt, by wykazać zgubność i pruskiej hakatystycznej polityki — i kończą zdaniem: Niemcy, uczcie się po polsku!

Jakże to? — toż Polacy w najśmielszych rachubach swoich pomyśleć nawet nie mogli o podobnym okrzyku.

A jednak — niemieckie pisma jak „B. Z. am Mittag" powiadają, że zupełnie tak samo jak w Czechach z Czechami, tak dzieje się w wschodnich prowincyach z Polakami. Polacy wprost niepowstrzymanie dążą naprzód. Ich własność ziemska wzrasta nieustannie. W miejsce jednego Polaka, który ziemię swoją Niemcowi sprzeda, przychodzą trzy włości niemieckie, które przechodzą w polskie ręce. Coraz większy staje się kapitał w rękach polskich, już to dzięki większej oszczędności, już to dzięki lepszym warunkom zarobkowym, z których korzysta robotnik polski dzięki postępowi przemysłowemu i braku sił roboczych. Rozwija się średni stan polski. Na wszystkich polach zarobkowych, we wszystkich gałęziach zawodów liberalnych Polacy podjęli zwycięzką walkę z Niemcami.

„A co robią Niemcy?... Wszelkimi środkami ustawodawczymi i administracyjnymi pracują nad uciskaniem Polaków. Prześladują polski język ojczysty, nawet w nauce religii. Polskich gimnazyastów pakuje się za naukę polskiej historyi i literatury w małych kółkach za „tajne związki" do więzienia. Polskie widokówki i pieśni wywołują skargi o „podburzanie do nienawiści klasowej". Paragraf o „grubej swawoli" ściga barwy i odznaki polskie. Osoby uczące polskiego języka bezpłatnie wędrują do kozy. Wszelkie szykany prawa o stowarzyszeniach i zebraniach uchodzą względem Polaków za narodowe czyny. Poczta blamuje się bez ustanku ślepą walką przeciwko polskim listom i t. d. i t. d. Łamy całe możnaby zapełnić wyliczaniem wszystkich środków i środeczków w tej wzniosłej (?) walce".

„A skutek? Niemiecka polityka na kresach wschodnich już prawie tak blisko stoi bankructwa jak państwo rosyjskie. Ostatnie wybory do parlamentu przyniosły Polakom przyrost 100 tysięcy głosów, to oznacza zysk, jakiego dotąd nie mieli. Wybory uzupełniające w połączeniu z tryumfami radykałów polskich jak Korfanty i Napieralski każą się jeszcze czegoś więcej przy przyszłych wyborach spodziewać. Górny Śląsk do niedawna nie znał wogóle kandydatów polskich. Teraz grozi mu to, że w połowie co najmniej przepadnie dla najradykalniejszych Polaków. Postępowi ekonomicznemu dorównywują zatem zwycięstwa polityczne".

„Ale hakatyści krzyczą: tem bardziej teraz! Nie staliśmy się panami Polaków środkami wyjątkowemi i wyjątkowemi prawami, tem ostrzejsze muszą pomódz środki — tem więcej musi być praw wyjątkowych. Na ostatnim zjeździe „tow. dla kresów wschodnich" żądano wręcz prawa ogólnego wywłaszczenia Polaków! Tak postępują bankruci w ostatecznej rozpaczy i bezpośrednio przed swym upadkiem".

„Czyżby mądra rada niemieckiej rady w Czechach nie powinna wpłynąć na hakatystów otrzeźwiająco i pouczająco?"

„Okrzyk: Niemcy, uciskajcie Polaków doprowadził niemczyznę na wschodzie do ruiny. Okrzyk: Niemcy, uczcie się po polsku! — może rasie przeważającej przewagę zapewnić!"

Ostrzejszej krytyki hakatyzmu od dawna nawet w polskich pismach nie czytaliśmy. Podajemy ją tutaj w tej myśli, że stanie ona się dla rządu i dla hakatystów — hasłem do odwrotu.

Lichwa ziemią.

Od pół roku prawie niepokoiła naszą opinię publiczną wieść, że *Dalki* pod Gnieznem przejdą na własność komisyi kolonizacyjnej. Wioszczyna to nie bardzo wielka, kilka set morgów — skądże więc ten niepokój?

Otóż Dalki nie ze względu na swój obszar i objętość, rodzaj gleby, albo wreszcie historyczne wspomnienia były dla nas ważne. Ale — Dalki były ważne dla Gniezna — a Gniezno dla całego Księstwa jest ważne.

Dalki ważne były dla Gniezna dlatego, że były one ostatniem *polskiem* oknem, łączącem Gniezno z powiatem i dalszym szeregiem polskich wsi.

Przejście Dalek w ręce niemieckie okno to dla Gniezna na zawsze zamknęło.

Jeżeli teraz według doświadczeń historycznych zdobycze niemieckie, okoliwszy Gniezno niemieckim łańcuchem kolonii i folwarków, zagony swoje coraz bardziej rozszerzać będą w okolice Gniezna — powiat cały się z czasem zniemczy — a przedewszystkiem zniemczy się Gniezno tak jak się zniemczyła Bydgoszcz.

Taki jest plan — hakaty.

To też sprzedaż Dalek komisyi kolonizacyjnej trzeba tem bardziej potępić, z tego szczególnie powodu, że odbywała się prawie pod okiem całego społeczeństwa. Od pół roku „Lech" zwracał uwagę na konszachty jej właściciela p. Radkego to z komisyą kolonizacyjną, to z osobami, które podstawić chciał, by nie brać na siebie zarzutu sprzedawczykowstwa — a regularnie po tych zarzutach następowały ze strony p. R. święte przyrzeczenia, zaklinania się i przysięgi, że on Dalek na komisyą kolonizacyjną nie sprzeda.

A jednak stało się to. Dalki już są jej własnością. Może potem dowiemy się jeszcze od „Lecha" bliższych szczegółów towarzyszących sprzedaży samej.

Na jedną jeszcze należy zwrócić uwagę przy tej sprzedaży okoliczność. Oto Dalki były własnością „Banku Ziemskiego" w Poznaniu. Bank Ziemski, który nie jest spółką, nie potrzebuje się więc obawiać, że go rozwiążą, jeżeli ze sprawami ekonomicznemi łączyć będzie i narodowe, Bank ziemski powinien się teraz wytłomaczyć, *czego zaniechał* przy sprzedaży Dalek, że *mogły* one w ogóle przejść na — komisyę kolonizacyjną.

To samo pytanie należy nam zwrócić także w kierunku innej spółki, a mianowicie „Spółki Rolników Parcelacyjnej" w Poznaniu, której włość dawniejsza, a mianowicie *Piotrkowice* pod Gnieznem również przechodzi na — kolonizacyę.

Oto wzory naszych banków *ratunkowych.*

Wysunęliśmy te dwie wiadomości naprzód, ażeby wykazać, że w tych instytucyach naszych coś jest w nieporządku. W Banku ziemskim, o tem wszyscy głośno mówią oprócz akcyonaryuszów i rady nadzorczej, interesa prowadzą się jak najniedołężniej w świecie. Od lat nie słychać wogóle, żeby Bank ziemski coś kupił, albo choć z dawniejszych włości coś rozparcelował. Zdaje się, że bank ten spoczywa

na niezebranych i niezasłużonych wogóle laurach. Będzie rzeczą konieczną opinię publiczną bankiem tym zainteresować.

Spółka Rolników Parcelacyjna dotąd cieszyła się wcale dobrą opinią. To nakłada na nią tem większy obowiązek, wyjaśnienia publicznie swego współudziału i współwiny w utraceniu Piotrkowic na rzecz obcą.

Sprawa Dalek i Piotrkowic prawie równocześnie przedostała się do wiadomości publicznej z następującem zdarzeniem.

Bank Parcelacyjny w Kościanie (słynny!!) sprzedał Siemianowo gospodarzowi Stachowiakowi z Sierakowa pod Kościanem. W tem niema na pozór nic złego. Istotnie zaś złe mieści się w tem, że Bank kościański nadmierną z nabywcy wybił cenę. Za Siemianowo płacił przed 6 laty p. Wilkoszewski 210 mr., Bank kościański kupił je obecnie za 340 mr. — a Stachowiak zapłacił 390 mr. za morgę.

Podpada tutaj straszna lichwa, jaką obecnie się prowadzi ziemią — banki lichwiarską cenę płacą i jeszcze więcej lichwiarską cenę zdzierają — jakimże cudem w takim razie ta ziemia przepłacona ma nabywcę wyżywić, ma dla niego stanowić podwalinę do *powiększenia* jego majątku i jakimże cudem nie ma przechodzić w obce ręce, to nam trudno pojąć.

Lichwa, lichwa i lichwa! — a co najgorsza, że przez społeczeństwo tolerowana, że nikomu za złe się nie bierze, że sprzedaje swoją ziemię, że ją drogo sprzedaje, bodaj mu się to nawet chwali!

Jest w tem jakieś zaślepienie! jest krótkowidztwo. Nie można się przecież dziś cieszyć z tego, że ktoś osięgnął wysoką cenę za swoją ziemię, jeżeli ta ziemia jutro lub pojutrze z powodu właśnie tej ceny wysokiej pójdzie na — komisyę kolonizacyjną.

My z tej sytuacyi jedną widzimy drogę wyjścia, ażeby cała opinia publiczna zwróciła się bez zastrzeżeń przeciwko handlowi ziemią wogóle. My rozumiemy dobrze, że tego prądu w zupełności powstrzymać się nie da, nie jesteśmy też przechodzeniu tej ziemi z jednych rąk w inne przeciwni, ale musimy zupełnie stanowczo wystąpić przeciwko lichwiarzeniu ziemią, przeciwko kupczeniu i frymarczeniu.

Przyczyniają się do pewnego stopnia do rozgorączkowania społeczeństwa w tym kierunku same te banki czy spółki parcelacyjne. To one płacą nadmierne ceny i nadmierne później ściągają — a koniec tej pieśni jest ten, że biednego Polaczka z toni majątkowej ratuje — komisya kolonizacyjna.

Niestety — tak jest. Niejednokrotnie sami słyszeliśmy już zdania wypowiedziane z całem przekonaniem i tonem wdzięczności prawie: żeby nie komisya kolonizacyjna, ten i ów byłby poszedł z torbami.

A kto winien?...

Znamy następujący fakt. W pobliżu znacznego miasta była wioska, kilka set mórg. Gruchnęła wieść, że wioska ta idzie na komisyę kolonizacyjną. Szybko więc założono spółkę — *uratowano* wioskę, i na parcelacyi *zarobiono* jeszcze 20 tysięcy mk.! Oczywiście spółki nie rozwiązano — istnieje ona do dziś i będzie prawdopodobnie *ratowała* dalej.

W okolicy tej ziemia była nie droga. Gdy jednak gospodarze porozumieli się, że w spółce będą mieli kupca, który im ceny bajeczne płacić będzie — wymagania swoje do tego zastosowali. Oczywiście wysokie ceny powodują *gorączkę sprzedawczą*.

Czyby może lepiej nie było, nie zakładać takiej spółki w owem mieście wcale? Wartoby się nad tą kwestyą głębiej zastanowić. *S.*

Zebrania i wiece.

W Ostrowie:

wiec w sprawie szkolnej odbędzie się w niedzielę dnia 14-go b. m. o godzinie pół do 5-tej po poł. na sali Domu katolickiego.

* * *

W Pleszewie:

walne zebranie wyborcze odbędzie się dnia 14-go b. m. w niedzielę o godzinie 5-tej po poł. na sali hotelu Wiktorya. Sprawozdanie poselskie składać będzie ks. prał. dr. Jażdżewski ze Środy.

* * *

W Mogilnie:

walne zebranie wyborcze odbędzie się w niedzielę dn. 14-go b. m. o godz. pół do 2-giej po poł. na *sali prałackiej*. Sprawozdanie złoży poseł dr. Krzymiński z Inowrocławia.

* * *

W Mogilnie:

wiec parafialny w sprawie nauki religii odbędzie się w niedzielę dn. 14-go b. m. o godz. 5-tej po poł. także na sali prałackiej.

* * *

W Rakoniewicach:

celem założenia *Towarzystwa Przemysłowego* odbędzie się zebranie na sali pana Świeblewskiego o godzinie 4-tej po południu. Współudział okolicy pożądany.

W Gdańsku:

wiec, na którym sprawozdanie zda poseł W. Kulerski z Grudziądza, odbędzie się w niedzielę dn. 14-go b. m. o godz. 5-tej po poł. w lokalu Degenhardta przy Breitegasse 83.

* * *

W Berlinie:

uroczystość Kościuszkowska odbędzie się w niedzielę dnia 14-go b. m. o godz. 2-giej po poł. na wielkiej sali Kellera przy Koppenstr. 29. Udział w uroczystości posła *Bernarda Chrzanowskiego* jest zapewniony. Uroczystość ta odbywa się staraniem „Sokoła“ berlińskiego.

* * *

W Gostyniu

wiec „Straży“ odbędzie się w niedzielę dnia 14-go b. m. o godz. 4-tej po poł. w Strzelnicy. Przemawiać będą pp. Józef Kościelski i poseł dr. Zygmunt Dziembowski.

* * *

W Kostrzynie

odbędzie się w niedzielę dnia 14-go b. m. na sali p. H. Andruszewskiego (Hotel Victoria) zebranie w celu założenia towarzystwa młodzieży (uczni kupieckich i rzemieślniczych). Szanownych panów pryncypałów i majstrów, którym leży dobro młodzieży na sercu, uprasza się o przysłanie swoich uczni i o ile możności przybycie osobiście na zebranie. *Grono obywateli.*

* * *

W Nakle

w sprawie szkolnej drugi wiec dla parafii ślesińskiej odbędzie się na sali p. Grochowskiego w niedzielę, dn. 14 b. m. o godz. $4^1/_2$ po poł.

* * *

W Łabiszynie:

wiec „Straży“ nie odbył się ub. niedzieli. Policya wieca *zakazała* ze względu na publiczne *bezpieczeństwo* (?).

* * *

Wieczornica „Wyzwolenia“

odbędzie się w niedzielę, 14 b. m. na sali Dominikańskiej w Poznaniu o godzinie $^1/_2 8$ wieczorem punktualnie. Program bardzo urozmaicony: przedstawienia, śpiewy, deklamacye itp. Wstęp wedle miejsc: 50, 30 i 15 fen. Bilety nabyć można od 7 przy kasie na sali. Kto chce niedzielny wieczór spędzić przyjemnie i wesoło, niech przybędzie na wieczornicę. O liczny udział członków i gości prosi *Zarząd.*

Towarzystwo wiecowe.

Na zebraniu, które odbyło się dnia 6-go b. m. w hotelu francuskim w Poznaniu, założone zostało „Towarzystwo wiecowe.“ Celem tego towarzystwa jest: ułatwianie i prawidłowe urządzanie wieców, gdzie tego zachodzi potrzeba.

Zarząd „Tow. wiecowego“ składa się z następujących osób: prezesem hr. Maciej Mielżyński z Chobienic, ks. prob. Kościelski, zastępcą, Dr. Szulczewski skarbnikiem, Idzi Świtała sekretarzem, radnymi dr. Roman Szymański, mec. Adam Woliński, Bernard Milski.

„Tow. wiecowe“ postanowiło służyć wszelkiemi informacyami w sprawie urządzania wieców oraz starać się o mówców wiecowych tam, gdzie okaże się brak chętnych osób.

Wszelkie listy z odnośnemi wnioskami prosimy przesyłać pod adresem Idzi Świtała — Poznań — Posen (Rycerska — Ritterstr. 38.)

„Towarzystwo wiecowe“ niema wkraczać w kompetencye, ani krzyżować działalności żadnych istniejących organizacyi społecznych, ani narodowych.

Ruch w Towarzystwach.

* **Przement.** W niedzielę, dnia 14-go b. m. o godz. 4-tej po poł. odbędzie się w Rakoniewicach na sali p. Świetlewskiego zebranie w celu założenia towarzystwa przemysłowego. Współudział okolicy pożądany.

— **Od „Towarzystwa Szkoły Ludowej“** w Galicyi odbieramy następujące pismo: Zarząd Główny „Towarzystwa Szkoły Ludowej“ (T. S. L.) odbył w nowym składzie pierwsze posiedzenie w sobotę i niedzielę, 29 i 30-go września. Konstytuując się wybrał Zarząd prezesem ponownie dr. Ernesta Bandrowskiego, wiceprezesami: dr. Ernesta Adama ze Lwowa i Stefana Natansona, sekretarzami: Antoniego Januszewskiego i Ryszarda Ordyńskiego, skarbnikiem Hipolita Ludwika Maleckiego, zastępcą dr. Michała Geislera, rachmistrzem Szczęsnego Turawskiego, zastępcą dr. Jana Piepesa-Poratyńskiego ze Lwowa. Z powodu rezygnacyi członka Zarządu, dr. Michała Koya, wyraził mu Zarząd Główny uznanie i podziękowanie za wieloletnią działalność, a w miejsce jego kooptował prof. Stanisława Leonharda. Dokonano nadto wyboru członków Wydziału Ścisłego, sekcyi i komisyi i wyznaczono zakres pracy poszczególnych referentów.

Z ważniejszych spraw porządku dziennego, przyjęto po wyczerpującej dyskusyi półroczne sprawozdanie kasowe wykazujące w dochodach 108.479 K. 20 h., w wydatkach 105.916 K. 49 h. Szczegółowej krytyce i rozwadze poddano sprawy szkolne. Referat dr. Masunga o stanie szkół, będących własnością T. S. L., za rok szkolny 1905/6 przedstawił w należytem świetle ich zasługi i wartość, a zarazem wykazał pewne niedomagania, które w najbliższym czasie wymagają środków zaradczych. Obszerną dyskusyę wywołała sprawa szkół kresowych na Śląsku (Biała i Leszczyny) i potrzeba założenia polskiej szkoły średniej w Białej. Sprawą tą niewątpliwie zainteresuje się całe społeczeństwo polskie, czuwające nad ochroną interesów narodowych na kresach zachodnich. Po dokładnem rozważeniu wszystkich okoliczności, towarzyszących stworzeniu nowej instytucyi naukowej, uznał Zarząd Główny *założenie męskiego seminaryum nauczycielskiego w Białej* za najwłaściwsze zaspokojenie tej piekącej potrzeby. Uchwalono też otwarcie kursu przygotowawczego już z początkiem roku szkolnego 1907/8.

Baczność Rodzice!

Wiadomo, że chcąc, aby dziecko uczyło się w szkole religiji po polsku, należy stawić wniosek piśmienny do panów inspektorów szkólnych.

Otóż formularze takie wygotowaliśmy i wydajemy takowe wszystkim zgłaszającym się po nie w Administracyi „Pracy“ (ul. Rycerska w podwórzu na lewo I piętro) od godziny 9—1 przed i od 3—7 po południu.

Wiadomości.

* **Trzeci proces.** W czwartek przesłuchiwano redaktora „Pracy“ p. *Idziego Świtałę* w sprawie artykułu z No 34 „Pracy“ pod tytułem „Co robić“. Prokurator zarzuca artykułowi na zasadzie § 110 nawoływanie do nieposłuszenstwa względem rozporządzeń władz. — Procesy więc sypią się na nas jak z rogu obfitości, ostatni jest trzecim z rzędu.

* **Rewizya w „Pracy.“** W piątek dnia 5-go b. m. zawitali przedstawiciele tutejszej policyi do lokalów, w których mieści się administracya, redakcya, ekspedycya, drukarnia, zecernia i introligatornia „Pracy.“ Lokale wszystkie ubezpieczono posterunkami tak, że o ukryciu albo o wyniesieniu czegośkolwiek nie mogło być mowy. Rewizya odbyła się szczelna, zabrano kilka listów z administracyi, a przeważnie z redakcyi, między innemi listy zawierające wiersze nadesłane do redakcyi, zapytania, doniesienia itp. W żadnym z tych listów oczywiście nie było niczego, coby miało jakikolwiek związek z propagandą obecnego strajku szkólnego. Policya nie znalazła ani manuskryptu, ani też odezwy zabranej u p. Wrzesińskiej, a zaczynającej się od słów: ratuj, kto w Boga wierzy. Rewizya więc spełzła na niczem, a tę tylko sprawiła nam przykrość, że nie będziemy mogli odpowiedzieć na listy, które do nas nadesłano. Szanownych Panów Korespondentów za tę przykrość przepraszamy, choć to nie nasza wina. — Rewizya odbyła się także w prywatnem pomieszkaniu kierownika „Pracy“ p. Karola Rzepeckiego.

Tego samego dnia odbyły się także rewizye — bezskuteczne — w „Kuryerze Poznańskim“, „Postępie“, „Wielkopolaninie“, „Gońcu Wielkopolskim“ i „Dzienniku Poznańskim“ oraz na prowincyi w „Gazecie Ostrowskiej“.

* **Proces** w sprawie zabranych u pp. Wrzesińskich odezw wytoczono pp. St. Kunzowi z Poznania, agentowi „Pracy“, p. Anieli Tułodzieckiej, p. Wrzesińskiemu i jego żonie i p. Zofii Tułodzieckiej. O ile zdołaliśmy się wywiedzieć odezwa ta nigdzie rozdawaną nie była, a ponieważ zabrała ją policya, przeto też rozdawaną nie będzie. — Z powodu przedrukowania tej odezwy przetłomaczonej z pism niemieckich skonfiskowano numer „Kuryera“, „Orędownika“ i „Gazety Ostrowskiej“.

* **Opór dzieci** przeciwko niemieckiej nauce religii przeniósł się już także do „Prus Zachodnich“. Prezes rejencyi w Kwidzynie odebrał mnóstwo pism od rodziców polskich, protestujących przeciwko niemieckiej nauce religii. Pożar się — szerzy, ciekawi jesteśmy, czy rząd tak dalej niezgrabnie gasić go będzie jak w Kościanie, Kiełczewie i Śremie. Naszem zdaniem to tylko oliwa do palącego się ognia. N. B. w Śremie i Kiełczewie także odrzucono wnioski o wydanie opinii o narzuconych nauczycielach i o podwyższenie podatku szkolnego. W Kościanie za nie posyłanie dzieci na areszt, posypały się kary. Rodzice natychmiast powinni odwołać się do sądu.

* **Poznań.** Wskutek sprawozdania o egzaminie w seminaryum przy Długiej ulicy nr. 4, podanego przez osobę niepowołaną i niedobrze poinformowaną, umieszczonego w „Neuste. Nachr.“, a powtórzonego następnie w kilku polskich gazetach, dostajemy jeszcze ciągle zgłoszenia o bonę, tymczasem po św. Michale (1 paźdz.) nie mamy *już nigdy bon do dyspozycyi*, ponieważ chlebodawcy starają się o nie już na kilka tygodni przed 1-szym października. I tym razem zapewniliśmy prócz sześciu wychowawczyniom I. klasy pięciu bonom II. klasy posady w domach prywatnych i przy ochronach. Popyt był tak wielki, zwłaszcza na bony drugiej klasy do najmłodszych dzieci, że można było umieścić ich kilkanaście więcej. Jest to więc zawód zapewniający młodym osobom natychmiastowe i pewne utrzymanie, jeżeli tylko pracują sumiennie podług wskazówek odebranych w zakładzie. Tymczasem wiele panienek ciśnie się chętniej do handlu i do szycia, zawodów, które przy wielkiej konkurencyi nie mają tyle zapotrzebowania. Chcąc uniknąć niepotrzebnej korespondencyi oświadcza zarząd na tej drodze, iż dopiero na 1-go kwietnia będzie znów kilkanaście nauczycielek freblowskich, ochroniarek i bon gotowych do objęcia posady.

*** Spółka Melioracyjna w Poznaniu**, która jest polską, ma inżyniera-Niemca (p. Wandreya). Pan ten według „Lecha" posiada w spółce taką władzę, że odważył się skarcić dwóch techników Polaków za polskie listy do spółki. Nie wiadomo, kogo więcej potępić, czy Spółkę Melioracyjną za to, że trzyma prawdopodobnie gruboopłatnego Niemca na urzędzie, czy też tego Niemca, że mocą danego mu w polskiej spółce urzędu polskich urzędników tej spółki karci za polski język. Niemcowi się nie dziwimy, bo taki już jego i jego narodu charakter — ale spółce polskiej, że takiego Niemca żywi — to bardzo za złe mamy.

* **Prośba:** Rodak z obczyzny z obawy zgermanizowania swych dzieci zapytuje czyby nie znalazł w kraju stałego zatrudnienia. Ekspedycya „Pracy" wskaże adres.

* **Teatr Polski.** W czwartek: „Towarzysz pancerny", komedya oryginalna w 3 aktach M. Wołowskiego, nagrodzona na konkursie lwowskim — komedya kontuszowa, pełna werwy, humoru i amorów rycerskich. Sobota: Występ pani *Jadwigi Turowicz*, artystki z Warszawy w głośnej w całych Niemczech sztuce Wedekinda p. t. „Demon ziemi" (Erdgeist), która w Warszawie, Krakowie i Lwowie miała sensacyjne powodzenie. Zaznaczamy, że „Demon ziemi" jest utworem nieco drastycznym, przedstawia bowiem kobietę uroczo piękną, wychowaną w nieświadomości moralnej. Temu „demonowi" poddają się wszyscy mężczyźni, działający w sztuce i wszyscy padają ofiarą jej przewrotności. — Pani *J. Turowicz* posiada renomę utalentowanej artystki i w tej roli będzie mieć sposobność ujawnienia talentu i wirtuozostwa aktorskiego. Niedziela po południu o 3 godz. „Karykatury" za pół ceny), wieczorem „Towarzysz pancerny". Poniedziałek: „Sprawa w Rosyi" (po cenach do połowy zniżonych). Wtorek: „Towarzysz pancerny" (Ceny abonamentowe).

* **Kościan.** Dozór szkolny na dwóch zebraniach odrzucił nasamprzód wniosek regencyi o wydanie opinii o przeznaczonych do K. nauczycielach a następnie i wniosek o wyznaczenie funduszów na ich utrzymanie. Ponieważ regencya nauczycieli tych którzy urzędowanie swoje mają rozpocząć 16 b. m., narzuciła bezprawnie, przeto uchwalił dozór oprzeć się tej samowoli na drodze prawnej i wytoczyć regencyi proces, który w ostatniej instancyi oprze się o najwyższy sąd administracyjny w Berlinie. Kościaniacy spodziewają się z całą pewnością — wygranej.

— Na walnem zebraniu Tow. kupców i Mł. kup. wybrano do zarządu pp. Fr. Czaplickiego, Stef. Soborskiego, Stan. Wrotkowskiego, Hel. Szafranka, dr. Laurentowskiego i Konst. Gąsowskiego jun.

— Wybory uzupełniające do dozoru i (rady) reprezentacyi szkoły katolickiej odbędą się w *środę, 24 października* rb. na ratuszu. Chodzi o wybór jednego członka dozoru i jednego członka rady. Lista uprawnionych do głosowania wyborców wyłożona będzie jeszcze 19 b.m. w biurze magistratu.

* **Śmigiel.** Koło śpiewackie „Harmonia" w Śmiglu urządza w niedzielę dnia 14-go października r. b. o $^{1}/_{2}8$ wieczorem na sali strzeleckiej wieczór wokalno-teatralny z nowym programem. Dochód przeznacza się na cel dobroczynny. Publiczność śmigielska i z okolicy niewątpliwie w koncercie tym tłumnie weźmie udział. Cześć pieśni.

* **W Czarniejewie** odbył się ub. niedzieli wiec szkolny. Udział był wielki. Wiec zagaił ks. prob. Bąk — przewodniczył ks. prob. Nawrocki z Marzenina. Ks. prob. Bąk wygłosił obszerną mowę o obowiązkach i prawach rodziców, dawał im rady i wskazówki. Mówca nie pominął także obecnej sprawy szkolnej, chwalił dzieci, które w obronie wiary św. tak dzielnie się trzymają i wyraził przekonanie, że wytrwałość dzieci zapewni tej sprawie zwycięstwo. Ks. prob. Nawrocki, zwrócił nadto uwagę na ogromną doniosłość obecnej chwili dla Kościoła, dla księży i dla społeczeństwa, poczem wiec zamknął. Pośród wiecowników widziano także sędziwą postać ks. proboszcza Weidemanna z Pawłowa.

* **Z Kujaw**, dnia 8 paźdz. W dniu dzisiejszym zakończyła się trzechdniowa wystawa pszczelnicza i ogrodowa, która się dosyć pokaźnie przedstawiała, a byłaby jeszcze lepsza, gdyby więcej ogrodowych-Polaków w niej udział wzięło. Zaledwie $^{1}/_{5}$ część wystawców była narodowości polskiej.

Dziwne to zaiste jest, że nasza piękna czarna urodzajna gleba, tak mało ludzi w tym zawodzie posiada; brak ten dawno u nas odczuwać się daje. Na takie miasto Inowrocław i całą okolicę niema jednego ogrodnika artystycznego, któryby z miasta samego miał świetne utrzymanie. Mamy tu wprawdzie kilku ogrodowych, lecz ci niestety prócz pietruszki i cebuli mało co więcej chodują, dla tego też wielka część naszej publiczności jest zmuszoną swój grosz nieść do Niemców, którym się wszystkim bez wyjątku dobrze powodzi; wszyscy oni przyszli do znacznych majątków, chociaż bardzo skromnie zaczęli.

Miasto samo liczy blisko 26 000 mieszkańców, w tem 16 000 Polaków, okolica wielka i zamożna, która daje wszelką rękojmię fachowym ogrodowym, że zdobędą sobie nietylko pewną egzystencyę, lecz i majątek. Jeżeli już musimy iść z czasem i wydawać na kwiaty i wieńce tysiące, czemuż tychże nie mamy Polakowi dać zarobić?

Chcąc lepszy ogród urządzić, trzeba aż do Poznania po ogrodowego technika się udawać, lub Niemca angażować i pieniądz mu nieść, gdyż w mieście samem i okolicy ze świecą takiego fachowca nie znajdzie.

Wracając z wystawy schwyciłem za pióro, aby tę kwestyę poruszyć, a być może, że to niejednego inteligentnego fachowca nakłoni do założenia na Kujawach odpowiedniej kwiaciarni oraz szkółki rozmaitych drzew i krzewów, których brak coraz więcej daje się u nas odczuwać.

Mamy przecież dużo inteligentnych ogrodowych, którzy w świecie u obcych za lichy grosz pracują, zamiast nieść swą wiedzę i siłę w strony ojczyste. Niejednych odstrasza niemiecka konkurencya, niejedni mogli by się osiedlić, lecz nie wiedzą gdzie. Do tych więc właśnie te słowa piszę, aby zachęcić niejednego do osiedlenia się w takich miejscach, gdzie pewny chleb dla swojego jest, a mogą na to liczyć, że polska publiczność chętnie poprze swego rodaka i cieszyć się będzie, gdy naszych zdolnych fachowców coraz większa liczba w stronach ojczystych osiedlać i dorabiać się będzie, a da Bóg że na niejednej wystawie zdobędą pierwsze nagrody i uznania.

Przychylne pisma upraszam o łaskawe umieszczenie tych kilku słów za chęty. *Kujawiak.*

* **Strzałkowo.** Koncert niedzielny tutejszego Koła śpiewackiego udał się znakomicie i wypadł ku zadowoleniu zebranej publiczności. Śpiewy chóru męzkiego i mięszanego były bardzo dobre. Prawdziwy zachwyt wywołał swym występem skrzypek-artysta p. *St. Pawlak* z Gniezna. Tony, wydobyte ze skrzypiec ręką artysty, były wprost cudowne i czarujące. Młodego artystę obrzucono kwiatami a oklaskom końca nie było. Po koncercie odbyła się zabawa z tańcami. Cały koncert i zabawę dozorowało dwóch żandarmów w pełnym rynsztunku. Na koncert przybyło wiele osób z Królestwa.

* **W Inowrocławiu** zwolniony został z urzędu stróż nocny p. Wojciechowski za udział w jednym z wieców szkolnych. — Ani słowa! — system pruski wytacza swe armaty przeciwko najgodniejszym przeciwnikom: dzieciom i stróżom nocnym. Sądzimy, że rząd pruski nie będzie bardzo wdzięczny za ratowanie swej powagi państwowej tym, którzy za udział w wiecach stróżów nocnych zwalniają z urzędów.

* **W Nakle** wiec w sprawie szkolnej został rozwiązany podczas przemówienia ks. Stankowskiego.

* **„Gazeta Polska"** w Kościanie pod względem procesów osięgła rekord z pośród pism polskich. Ma od razu aż 12 procesów!

* **W Bydgoszczy** skazano p. M. G. na sto marek kary za naukę polskiego języka udzielaną kilku dziewczynkom. Dla rodziców takie ofiary w przyszłości ponoszone w sprawie ich dzieci powinny być zachętą do tym gorliwszej pracy nad własnemi dziećmi. Praca bowiem rodzicielska — prosimy dobrze to rozważyć — nie ulega kontroli ani karze!

* **Szczecin.** W niedzielę dnia 14. października odbędzie się w tutajszym kościele farnym polskie nabożeństwo rano o godz. 7 i pół. Od dnia tego począwszy odbywać się będą polskie nabożeństwa regularnie co trzy (3) tygodnie, a więc 4-go i 25-go listopada, 16-go grudnia r. b., 6-go i 27-go stycznia, 17-go lutego, 3-go i 24-go marca r. p. i t. d. Zbytecznem chyba dodawać, ażeby rodacy na te nabożeństwa licznie uczęszczali. Toż — jeżeli chcą zasłużyć na miano dobrych katolików — z własnej woli czynić to be-

dą. To jednakże przypominamy tutaj, ażeby wiadomość o polskich nabożeństwach szerzyli wśród znajomych w jak najszerszych kołach. Nie powinno być w Szczecinie Polaka, któryby o polskich nabożeństwach nie wiedział.

* **Z pod Łabiszyna** donoszą „Kur. Poznańskiemu“, że w sądzie łabiszyńskim sędzia zastraszył dziewczynę szesnastoletnią Stan. Drożniakiewiczównę ze Smerzyny za to, że nie zeznawała po niemiecku tak, że dziewczyna zemdlała. Skutek był ten, że dziewczyna postradała zmysły, bredziła i po kilku dniach zaledwie pacierz mówić była zdolną. Sędzia był oburzony, że dziewczyna po dwóch latach od opuszczenia ław szkolnych zapomniała języka niemieckiego. Wypadek ten bardzo przykre światło rzuca na stosunki sądowe w dzielnicy naszej.

* **Berlin.** „Märkische Volkszeitung“ donosi, że bojkot kościoła Panny Maryi powoli ustaje. Czy to prawda? Na wiadomości tej bardzo nam zależy. Prosimy Szan. Czytelników naszych z Berlina, by nam w tej sprawie donieśli coś wiarogodnego — a jeżeli istotnie bojkot ustaje, jakie są tego przyczyny. Sprawa ta naszem zdaniem bardzo ważna.

* **Hamburg.** Żeńskie Tow. gimn. „Sokół“ urządziło w niedzielę, dnia 23 ub. miesiąca zabawę. Sokolice występujące w wolnych ćwiczeniach witano gromkiemi okrzykami i burzą oklasków, tak samo druhów, którzy popisywali się na prężniku i piramidami. Obecny na zabawie był także ksiądz polski. Przedstawienie teatralne udało się bardzo dobrze przy udziale dzieci p. prezesowej. Czołem.

* **Pan J. W. Maciejewski** poleca w swym nowo otworzonym handlu przy ulicy Nowej 11 — narożnik Starego Rynku, w wielkim wyborze kapelusze, bieliznę, krawatki, parasole, laski, rękawiczki, kamizelki i wszelkie inne artykuły męskie po niskich, rzetelnych cenach.

Zwracamy uwagę Szanownej Publiczności na ogłoszenie młodego rodaka, zasługującego ze wszech miar na poparcie.

Nekrologia.

† Ś. p. *Katarzyna z Pniewskich Dużyńska, babka* ks. Czesława Dużyńskiego, dnia 20 go z. m. w Murzynowie kościelnem. R. i. p.

W ostatnich dwóch latach ks. D. odprowadził na wieczny spoczynek pięć osób z familii, a w tej liczbie także matkę.

† Ś. p. *Teofil Knechtel,* dnia 8-go b. m. w Buku, przeżywszy lat 64. R. i. p.

† Ś. p. *Józefa Stęszewska z domu Lisiecka,* dnia 6-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *z Dziabaszewskich Józefa Zimniewicz,* dnia 7-go b. m. w 23-im roku roku życia w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Elżbieta z Olejniczaków Napierała,* dnia 7-go b. m. w Poznaniu w 47-ym roku życia. R. i. p.

Nasza ofiarność.

Na weterana z roku 1863-go, schorzałego i biednego, zagrożonego wydaleniem z mieszkania złożył w dalszym ciągu: p. Władysław Bratkowski z Dülken 1 mrk. 50 fen.

O dalsze ofiary bardzo prosimy, gdyż na zimę nadchodzącą zostanie biedny weteran bez dachu nad głową.

* * *

Na głodnych Rodaków w Królestwie: zebrano za pośrednictwem p. Jana Rychela z Gelsenkirchen na obchodzie srebrnego wesela p. Michała Wojciecha w Gelsenkirchen-Bulmke 4 mrk. 80 fen.

Od Redakcyi.

Do Wągrówca: Korespondencyi Pańskiej w tej formie przyjąć nie możemy ze względu na znany § 110. Pierwsze niepowodzenie nie powinno Pana odstraszyć. Niech Pan pamięta o tych dwóch przysłowiach: per aspera ad astra (przez trudy — na wyżyny) i finis coronat opus tj. skutek uwieńcza dzieło. A do skutku daleko, a więc wytrwać trzeba w imię Boga i Ojczyzny. Szczęść Boże.

— *Panu Ign. W. w W.* Odezwy nawoływujące do oporu w nauce religii sprzeciwiają się § 110 kodeksu karnego. Żądanej więc odezwy umieścić nie możemy. Prasa o sprawie tej dosyć pisała i pisze, tak, że każdy ojciec i każda matka wiedzieć powinni, jak im w tej sprawie należy postąpić. Zwracamy atoli uwagę na to, że rodzicom wolno, że rodzice mają prawo zakazać dzieciom, uczyć się religii w każdym obcym języku.

— *Pani K. S. w W.* — Tylko te rozwiązania szarady „Matematyka“ uwzględniliśmy, które otrzymaliśmy do włącznie 13-go b. m. (Patrz ostatni numer „Pracy.“) Dotyczy to także tych osób, które nam nadesłały rozwiązania po 13-tym b. m.

— *Panu N. A. ze św. Marcina.* Formularz podany przez „Pracę“ już był poprzednio obszedł całą prasę naszę. Myśmy oprócz tego zasięgali rady, czy formularz ten nie przeciwi się prawu, i czy formularz ten pożądaną przez nas może przynieść korzyść. Odpowiedź była twierdząca. — Co do wieca, to zapewne Sz. Panu wiadomo, że „Praca“ kilkakrotnie w sprawie tej zabierala głos — niestety ogół prasy nas nie poparł. O ile nam wiadomo, to jednak myśl wieca nie zaginęła, kiedy się jednak wiec ten odbędzie, na razie trudno określić. Zależeć to będzie w części od tego, jaki będzie stan oporu dzieci — po obecnych wakacyach. Zasyłamy Panu serdeczne pozdrowienia.

— *Panu L. L. w Poznaniu:* Istotnie Nr. 34 niema. Przepraszamy Pana mocno, ale dostarczyć go nie możemy. — W drugiej sprawie doniesienie Sz. Pana jest zbyt niedokładne, nie wiemy, co to była za młodzież, gimnazyalna czy inna. Bez wątpienia gra w karty zwłaszcza w młodym wieku jest potępienia godną. Chętnie zwrócimy się ze stósownym apelem do rodziców, ale wiedzieć musimy, do których się zwrócić. Przecież nie podobna całej młodzieży w czambuł potępiać. Pozdrawiamy serdecznie Pana. „Wygódki“ już nie będzie.

Książki nadesłane do Redakcyi.

Kalendarz Maryański na r. 1907, wydany jak rok rocznie przez wydawnictwo Karola Miarki z Mikołowa. Cena 60 fen. Kalendarz Maryański cieszy się od szeregu lat zasłużonem uznaniem. Polecamy go łaskawej uwadze Szan. Czytelników.

Kalendarz rolniczy „Poradnika Gospodarskiego“ na r. 1907. Kalendarz ten posiada już ustaloną opinię. Polecamy go szczególnie wszystkim rolnikom i gospodarzom.

„Miesięcznika dla popierania ruchu wstrzemięźliwości“, wychodzącego w Pleszewie (Pleschen, Prov. Posen), ukazał się numer 9/10-ty i zawiera:

Czy abstynencya sprzeciwia się Pismu św.? (Dokończenie). — III. Doroczny zjazd delegatów „Eleuteryi“ w Tarnowie. — Wspomnienia z podróży. — Wpływ alkoholu na ustrój nerwowy. — Kilka uwag o pożytku mleka. — † Sir Wilfrid Lawson. — Z dyecezyi lwowskiej. — Polemika. — Wiadomości ze świata. — Rozmaitości. — Kronika miesięczna. — Z ruchu wstrzemięźliwości. — Z piśmiennictwa. — Wiadomości z towarzystw. — Materyał do odczytów. — Wezwanie.

Rozmaitości.

Egzekucya w Częstochowie. Posępnie było i zimno. Jesienna mgła lepka i gęsta otulała wierzchołki drzew. Zmagał się zmrok ze świtem. Na placu magistrackim świeżo o godzinie 6-tej rano, przed ratuszem gromadzić się zaczęło wojsko; nadchodzili też w gromadkach lub pojedyńczo cywilni...

Tu ktoś płakał, tam szlochał lub zawodził, po za tem oczy wszystkich utkwione były na odwach, przed którym liczny zastęp żołnierzy wartę pełnił.

— Za godzinę wyprowadzą skazańców — przebiegło po tłumie. Płacz zamienił się w lament, szlochanie w jęki; innym widzom zaczęły drżeć nogi. Zajechały dwie bryczki. Przez las bagnetów ujrzano więźniów. Dziesięciu ich było. Najmłodszy liczył lat 19, najstarszy 45. Wśród ciszy głębokiej rozlegał się ich płacz daleko. — Moje dzieci! — jęczał człowiek lat średnich.

Nastąpiła komenda. Skazańców powsadzano po pięciu na bryczki i po-

wiązano ręce z tyłu. Naprzód pojechał wóz z dziesięciu słupami.

— Marsz! — usłyszano rozkaz.

Z pośrodku silnego oddziału wojska ruszył kondukt żywych trupów ku krańcom miasta. Bladzi zrozpaczeni. Oddział skierował się poza miasto, na wzgórza, gdzie przy drodze — w niewielkiej dolinie upatrzono miejsce kaźni. Wysadzono skazanych, plac otoczono silnym kordonem wojska i rozpoczęły się przygotowania.

Na wierzchołkach gór dokoła zgromadziły się kupy ludu; wiorstowa w promieniu odległość dzieliła je od doliny śmierci. Szlochały matki, żony, siostry, w milczeniu leciały łzy ojcom, braciom... Innych przywiodła ciekawość, jak będą straceni bandyci. Dla siedmiu ksiądz-spowiednik chciał starać się o ułaskawienie. Tymczasem udzielił im wiatyku i odmawiał modlitwy przedśmiertne.

Ustawiono szereg czarnych słupów, wykopano tyleż przed niemi dołów. Skazanym założono białe przepaski na oczy i postawiono ich plecami do słupów. Pluton z 80 żołnierzy stanął naprzeciwko. Jeszcze przy słupach kapłan udzielił im Olejami św. namaszczenia i błogosławieństwa na wieczystą dusz wędrówkę. — Żegnajcie, bracia- — odezwało się głośno kilku do żołnierstwa.

Wzruszenie wzrastało. — Broń przed siebie! Zachrzęszczały karabiny w rękach wykonawców wyroku. Cisza grobowa zaległa plac egzekucyi.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus- — uroczyście ozwał się kapłan.

— Na wieki wie...

— Pal!

Grzmot strzałów rozległ się po wzgórzach. Zwisły głowy skazańców... Szybko lekarz wojskowy zaczął śmierć sprawdzać: trzech żyło jeszcze... Nowa, przeciągła salwa karabinów.

Wyrokowi sądu polowego stało się zadość; dziesięciu ludzi, skazanych za bandytyzm, żyć przestało. W dwadzieścia cztery godziny po ogłoszeniu skazania nastąpiła egzekucya. Była godz. 9 m. 45 z rana, pochmurno było i szaro na świecie...

Zwłoki straconych zakopano w ziemi przy słupach, które, gdy wojsko odeszło, obstąpiła chmara ludzi ze wzgórz. Wkrótce po straconych pozostał ślad piasku i słupy w szeregu... Pierwsza ta egzekucya sprawiła w mieście jasnogórskiem straszne, przygnębiające wrażenie.

* * *

Pożar w Nieświeżu. W siedzibie książąt Radziwiłłów w Nieświeżu wybuchła straszna katastrofa. Palił się zamek nieświeski. Poprzeczne skrzydła, środkowe i wieża w ogniu. Duma zamku, słynny orzeł, w popiołach. Zegar, który tyle lat wydzwaniał złą i dobrą dolę, w gruzach.

Akcya ratunkowa — obraz nędzy i rozpaczy! Straż ogniowa okazała się nic nie wartą. System protekcyjny doprowadził ją do zupełnego upadku. W zamku niema żadnych narzędzi ratunkowych. Strach pomyśleć, jakie mogą być straty dla nauki. Przy przenoszeniu biblioteki jakoby dużo książek się zmarnowało. Ogień powstał w pralni. Wezwano straże ogniowe z okolicznych miasteczek.

Zamek w Nieświeżu, położony między dwoma jeziorami Panieńskiem i Płonierskiem jest starą siedzibą książąt Radziwiłłów, ordynatów na Nieświeżu. Zamek to olbrzymi, niegdyś forteca obronna, zbudowany przez księcia Radziwiłła Sierotkę, w r. 1654 za Jana Kazimierza był w popiół obrócony, tego samego losu doznał w r. 1706 ze strony Szwedów, ale znów się podźwignął, ku czemu przyczynił się Michał Radziwiłł, zwany książę Rybeńko, oraz syn jego Karol, zwany Panie Kochanku. W końcu wieku XVIII, za czasów ks. Dominika, zjeżdżała tutaj szlachta z całej Polski, wzbogacając podupadłe miasto, tak że Nieśwież zwano wówczas małą Warszawą. W roku 1812, kiedy ks. Dominik na czele pułku swojego połączył się z Napoleonem, Nieśwież i zamek znowu podupadły. Słynny skarbiec Radziwiłłów spustoszono. Późniejszy ordynat generał pruski, ks. Antoni, odbudował połowę zamku, w której mieszkał w miesiącach letnich. Słynne archiwum zamkowe zachowało się prawie całe i przed r. 1873 uporządkował je Michał Bohusz Szyszko.

Bogatą niegdyś bilioteкę Radziwiłłów, złożoną z 20,000 tomów wywieziono do Petersburga.

Była tu też bogata galerya starych obrazów.

* * *

Ludożerca. W wielu opisach Syberyi czytaliśmy o wypadkach ludożerstwa, jakiego dopuszczają się podobno niejednokrotnie rozmaici włóczędzy, przeważnie zbiegli z robót ciężkich. Niedawno zaszedł fakt potwierdzający opowiadanie o ludożerstwie. We wsi Inie, piszą gazety syberyjskie, leśnej, o cztery wiorsty od miasta Nowo-Nikołajewska, w południe 21-go sierpnia, nieznajomy 50-letni mężczyzna napadł na dwoje dzieci 5-cio i 6-letnie, bawiące się przed domem. Napastnik powalił dzieci na ziemię i począł szarpać je zębami. Przy pomocy innych sąsiadów, zwabionych hałasem, udało się zbrodniarza związać i oddać w ręce władzy. Prowadzony do Nowego Nikołajewska nieznajomy milczał uporczywie; raz się tylko odezwał, że „najsmaczniejsze są dzieci z kołysek,“ że takie, jak te, które mu odebrano, nie są już tak smaczne. Słowa te dowodzą, że zbrodniarz nie pierwszy to już raz napadał na dzieci.

* * *

Trzy tygodnie nic nie jadł. — Nad brzegiem potoku Eagle, w gęstych zaroślach, znaleziono w Indianopolis w Ameryce umierającego starca, gdzie leżał bez pożywienia przez trzy tygodnie. Jest nim 60-cio letni Charles Piar, z tego miasta. W szpitalu mógł chory przełknąć zaledwie trochę mleka. Pokarmu stałego byłby nie strawił jeszcze, tak bardzo osłabł na siłach.

Gdy przyszedł nieco do siebie zaczął opowiadać przykrą historyę. Pracował on przedtem na farmie gdzieś na zachodzie, a stracił pracę, szedł na piechotę do Indianopolis, aby poszukać nowego zajęcia. We wsi Veedersburg zachorował nagle i wydał ostatnie pieniądze, jakie miał przy sobie. Ale ruszył dalej w drogę i doszedł do Clermont koło Indianapolis, do miejsca, gdzie go znaleziono. Tak jednak osłabł, że upadł w krzakach nad strumykiem Eagle i czekał wybawienia lub śmierci. Gdy mijały długie dni i noce — wolał umrzeć, niż się męczyć.

Deszcz pluskał na niego, lecz nie miał się gdzie schronić. W niedalekiej odległości widział różnych ludzi; próbował zwrócić ich uwagę na siebie i wołał o pomoc, lecz głosu jego nie słyszano bo był słaby. Gdy zważono go w szpitalu, ważył tylko 70 funtów, gdy przedtem ważył około 200. Jeden dzień jeszcze głodu, a byłby niechybnie umarł.

* * *

W Rosyi zima już zaczyna panować. O spadłych śniegach donoszą z Moskwy, Kijowa, Elizawetgradu, Charkowa, Humania i t. d. a tymczasem w kilkunastu guberniach rosyjskich głód panuje już dzisiaj. Ludność wiejska powoli bije i zjada inwentarze. Ziarna ma bardzo skąpo, więc korę drzewną miele i mąki domieszuje. We wielu guberniach lud podatku nie płaci — bo wielu nie ma na to. Skutkiem tego kasy próżne. Słowem, klęska niesłychana zagraża temu ogromnemu państwu, które tak słynęło z potęgi, a było kolosem na glinianych nogach. Najcięższą klęską są zgubne wpływy państwa zagranicznego, które z całą świadomością dążyło i dąży do ubezwładnienia Rosyi.

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech! święć się Imię Twoje; przyjdź królestwo Twoje; bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom; i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

Mowa polska.

Polska mowo ma świetlana,
O jedyna ty na ziemi,
Na tle niebios słońc wszystkiemi
Promieniami tęczowana!
Twój jedyny strój natchniony
Wszystkie dźwięki w sobie mieści,
I anielskich luteń tony,
I anielskich chórów treści.
Nie obcegoś szczepu kwiecie,
Nie cudzegoś rodu dziecię,
Nie ze szczątków, nie w odmęcie
Zgasłych plemion tyś zrodzona:
Lecz wprost z niebios twe poczęcie,
Tyś Bożego tchnieniem łona,
Cudem cudów objawiona.

* * *

Wszelki kształt się zmienia, łamie,
Ty trwasz wieki niespożyta;
Wiecznie z ciebie bo wykwita
Bezpośrednie Boga znamię;
Z każdą myślą, a potrzebą,
Twój kwiat w nowe się rozplenia;
A co bujna zrodzi ziemia,
To na wieczność święci niebo.
I jak wszystko co z przymierza,
Co z niebieskiej tchnie opieki, —
Zawsze nowa, młoda, świeża,
A ta sama co przed wieki
Na tle twojem błyszczy cecha.
W pańskiej służbie ochotnicy
Dziś śpiewają do Dziewicy,
Bogarodzicy,
Jak śpiewali za Wojciecha,
I dziś naród, co z olbrzyma
W duch się rozwiał niewidomy,
W takie same tony ima
Gdzieś nad ziemią swych skarg gromy
Przeciw wrogom na poziomie,
Jako niegdyś, gdy widomie,
Idąc szlaki zwycięskiemi,
Pan i rządca losów ziemi,
Z berłem w ręku, a w pokorze,
Głosił światu prawa Boże;
I przemówi nie inaczej
Gdy się znowu uprzytomni
W rządach świata, — gdy w rozpaczy
Padną przed nim wiarołomni,
A On wszystkim wraz przebaczy.

* * *

Rozszarpany kraj na ćwierci,
Obleczony kirem śmierci,
Rozproszone Polski syny
Po kończynach wszystkich świata
Twa potęga w jedno splata:
Zasypuje rozpadliny,
Bez podejścia, bez oręża,
Pograniczów straż zwycięża,
I co polskie — wszystko społem —
Nieujętem światła kołem
Wzdłuż i wszerz owidnokręża.

* * *

Choć nam życia wciąż ubywa
I pękają sił ogniwa,
Ty królujesz ponad nami
W pełnym ducha majestacie;
A gdy do cię my się sami
Wznieść nie możem, — ty nam w porę
Schodzisz na dół w skromnej szacie,
Wskrzeszasz zmarłe, cucisz chore,
Mdłe ukrzepiasz, — brata w bracie
Poznać dajesz, — idziesz w gości
I do zamku, i do chatki,
Wznosisz gnuśnych w powinności,
Gromisz braki, niedostatki,
Nie tą grozą, co oniemia,
Lecz miłością, która stwarza.
Tyś nam prorok z ponad ziemia,
Tyś nam kapłan u ołtarza!
Tyś nam rycerz, co się łamie
Co dzień z wrogiem spiera, ściera, —
Bo gdzie tylko Polski znamię
Omdlewając skargi miota,
Gdzie bezbronny kraj sierota
W pomoc wzywa bohatera,
Gdzie obyczaj wiara, cnota,
Dawne Polski te rycerze,
Już się chwieją, tam Twe ramię
Obyczajom, cnocie, wierze,
Znów do ręki moc swą wciska,
Wzmacnia pracę i wciąż wiedzie
Śród zamętu bojowiska
Nasz znak górą a na przedzie!

* * *

A my jakąż się odpłatą
Wywdzięczamy tobie za to,
Że nas moc twa ubezpiecza,
I za życie w grobie starczy?
My kazimy blask Twej tarczy,
Tępim ostrze twego miecza,
Sami wrogów wiedziem w bramy
Twej warowni; — my szyderce
Zawsze w własne godząc serce,
My się z ciebie naigrawamy:
Wyszydzamy wiano złote,
Plon wiekowych twych zdobyczy,
Zwiem dzieciństwem wstyd dziewiczy,
A prostactwem twą prostotę...
I niepomni, że się w mowe,
Ten narodu obraz żywy, —
Wszystkie cechy narodowe,
Wdzięki, chluby, chwały, dziwy,
W treść zbiegają, jak w krysztale
Rozpierzchnione światła fale,
I niepomni, że przystoi
Mężnych mowie hart ich zbroi,
I że tylko jednolita
Z całoszczepem w kwiat wykwita, —
My w to godzim, by w twą przędze
Wsnuć szych obcy, obcą nędze
Twoje wątki przeprząść na nić
Różno-barwnej zwodnej krasy,
Twój dźwięk rozbić w słów hałasy
By cię zgnusić, przedworzanić
W mdła przesadę, — z twardej stali
W puch przewinąć, — by zapasy,
Tylu wieków, hojne żniwo,
Co ojcowie nam zebrali
Praca ciężka, a uczciwą,
Strwonić naraz, w mgnieniu oka;
I do szczętu w grze pustoty —
Wianem z tobą dan z wysoka
Przegrać posag szczerozłoty.

* * *

Lecz naprożno — my Kaimy,
Przeciw tobie od kołyski
Aż do grobu knujem spiski;
Bo lud własny — twój rodzimy,
Twoich ogniów wiecznie strzeże,
By Ablowe onych dymy,
Które niebu dzięki niosą,
Wprost do góry szły w ofierze.
On cię broni, chwali, święci,
Karmi manną swej pamięci,
Poi czystych natchnień rosą;
On ochoczo, a w mozole,
Miecz przy pługu dzierżąc w dłoni,
Wciąż uprawia twoją rolę,
By ją ziele nie obsiadło; —
A gdy nierząd ją wypłoni,
Gdy ją zbytek na przepadłą
W ugór puści, — wtedy z prawa
Znów ochotny na niej stawa,
Sięga śmiało, aż w głąb ziemi,
Na wierzch żyzność wydobywa,
I zasiewy wiośnianemi
Znów obfite rodzi żniwa.

* * *

Więc miłujesz go jak matka,
Obejmujesz duszą całą,
Dzielisz się z nim do ostatka
Co z rozbicia ci zostało, —
Barwisz prace, koisz żale,
Łzy ozłacasz, — bo od syna,
Co na zbytek plon twój ścina,
Stokroć milszy ci w siermiędze
Syn ten młodszy, który w dziale
Dostał tylko trud i nędze.
Zawsześ przy nim jest widoczną,
Nieodstępną w każdej porze —
W pieśń go budzisz, gdy na zorze,
W niebie chóry nucić poczną
Hymn poranny. Kiedy orze —
I z skowronkiem — kiedy sieje,
Wyśpiewujesz mu nadzieje.
Nad żniwiarzów krążąc kołem,
W rytm radości wiążesz społem
Z dźwiękiem sierpa, z chrzęstem kosy,
Złotodzwonne ziarnem kłosy.
Gdy na wieczór przy rodzinie
Siądziesz razem u ogniska,
Kto płomieniem po ścian bieli
Strachy, dziwy, czary ciska?
Skąd im tyle pieśni płynie,
Czy od sierpa, czy od pługa?
Skąd się snuje powieść długa,
Razem z nitką od kądzieli?
Kto go w twarde kładzie łoże,
I usypia jak na puchu
W imię Boże?
Oczy zwiera, a dla słuchu
Wciąż nabożną pieśń mu dzwoni,
I po snu powietrznej toni
Tęczowane toczy kręgi?
Tłumnie na nich płyną z góry —
Świętych Pańskich sądne chóry,
Świętych dziewic jasne wstęgi;
W górę rzędem fale biją,
Jakby żywą litanią;
Na księżyca zgiętej łodzi
Przenajświętsza z wszystkich wschodzi
Nad jej skronią gwiazd ogniwa

W skrzącą wiążą się koronę,
Z ramion w fałdach błękit spływa,
A z pod szaty wychylone
Na świat dłonie, — jakby cały
Wirem światła objąć chciały,
Sypią każda snop promieni.
I już zorza się rumieni.

* * *

Jakiż, jakiż duch to żywy,
Wszystkie sny te, jawy, dziwy,
Wiecznie sieje i poczyna,
Z słowa rodzi, wciela w słowo
Duch to — duch twój — ah! jedyna
Ty ojczysta polska mowo!

* * *

Nieśże, nieś twój lot na sioła,
Nad wieśniacze wzlatuj chaty,
Wzlatuj, słuchaj — kto cię woła;
To nie woła cię bogaty,
Ani miasta, — ni pałace,
W których próżność pokryjomu
Wytężyła wszystkie prace,
Aby wstawić — między ściany
Ojczystego twego domu —
Świat ci obcy, — świat nieznany.
W pośród zbytków i rozkoszy
Cudzoziemka tam macoszy
Dzieciom twoim; — młode serca
Trądem fałszu wskroś przewierca.
W płochych myśli poi źródle,
Na próżności stawia szczudle,
Wszystko lśniące zwodnie, sztucznie,
Wszystko obce wielbić każe,
A co polskie to wygania;
Naokoło mnoży straże,
By ochronić swoje ucznie
Od zetknięcia, od zbratania
Z pokornemi, cichemi,
Z tem, co innym nie zazdrości,
Lecz na własnej polskiej ziemi.
Żyje w prawdzie i zacności.

* * *

Polsko mowo ma świetlana,
O jedyna ty na ziemi,
Na tle niebios słońc wszystkiemi
Promieniami tęczowana!
Twój jedyny strój natchniony!
Wszystkie dźwięki w sobie mieści.
I anielskich luteń tony,
I anielskich chórów treści.
Nie obcegoś szczepu kwiecie,
Nie cudzegoś rodu dziecię,
Nie ze szczątków, nie w odmęcie
Zgasłych plemion tyś zrodzona,
Lecz wprost z niebios twe poczęcie,
Tyś Bożego tchnieniem łona,
Cudem cudów objawiona!

Stanisław Koźmian.

Z dziejów upadku Prus.

(Wspomnienie historyczne.)

I.

Bitwy pod Jeną i Auerstaedt

(14-go października 1806-go roku).

Przez szereg lat i to do końca roku 1806-go szczęście sprzyjało Brandeburczykom niezachwianie. Powstało dość znaczne królestwo pruskie, którego skład był dziwny.



Cesarz Napoleon I.

Ziemie polskie i słowiańskie stanowiły większą jego połowę prawie $^3/_4$ i nie licząc już Brandenburgii zniemczonej, Wielkopolska, Śląsk i Pomorze od Szczecina do Gdańska stanowiły przeważną część królestwa pruskiego, dalej ziemie litewskie na wschód i niemieckie na zachód. Wszystko to kraje podbite, które potrzeba było utrzymać przemocą, bo lud był niezadowolony.



Król pruski Fryderyk Wilhelm III.

Cała więc siła Prus spoczywała w wojsku, które król Fryderyk Wilhelm III. powiększał, kazał je mustrować i trzymał się Moskali.

W takim stanie rzeczy stanęły Prusy do walki przeciw Francyi i jej potężnemu monarsze, Napoleonowi I, w roku 1806-ym poparte angielskiemi pieniędzmi. Powstała więc czwarta koalicya przeciwko Francyi. — Prusy chciały samym sobie zatrzymać sławę upokorzenia Francyi a z nią Napoleona.

Młodzież pruska, uniesiona patryotyzmem w Berlinie, częstemi odgrażaniami pod oknami ambasadora francuskiego, sądziła szydzić z narodu, którego on był reprezentantem. — Królowa, podnosiła zapał w okolicach Poczdamu i Berlina: — powszechne hasło było: „Zwyciężyć lub umrzeć!“

Prusy liczyły wprawdzie, na pomoc Rosyi i ich król posłał Napoleonowi wyzwanie, w którem wymagał, nad dzień 8 października 1806 r. zadosyć uczynienia za wszystko złe wyrządzone, które wyliczał, i bezzwłocznego z Niemiec ustąpienia.

Odebrawszy to wezwanie Napoleon, rzekł do księcia Neufchatel: „Marszałku, naznaczają nam schadzkę honorową na dzień 8. Nigdy Francuz nie zaniedbał się stawić; ale, jeżeli tam, jak mówią, znajduje się piękna królowa, bądźmy grzeczni, i bez odpoczynku, idźmy do Saksonii.“ —

Armia pruska była liczna i przejęta zapałem, który najlepsze czynił nadzieje. Piętnaście tysięcy Sasów z nią się połączyło, tak, iż cała siła związkowych do 200000 bitnego żołnierza wynosiła. Jednak w radach naczelników panowały niepewność i wahanie się. —

Po długich namysłach, zajęła nakoniec armia sprzymierzonych pozycyę przy północnym brzegu gór Turyngskich, które miała przejść d. 9, ażeby napaść na Francuzów z tyłu od rzeki Sali. Nieznajomość miejsca i pozycyi nieprzyjacielskiej, odwlekły wykonanie tego planu, i tak drogi, niewynagrodzony czas zeszedł na niczem. Napoleon korzysta z tego, i udaje się zostawioną sobie wolną a najbliższą drogą przez Hof do Saksonii, ażeby obejść lewe skrzydło sprzymierzonych, i wojnę w środek Prus ponieść.

Potyczki przy Schleiz i Saalfeld, gdzie w ostatniej książę Ludwik pruski poległ śmiercią bohaterską, były złą przepowiednią wypadku tej wojny. —

D. 13 pozycya armii francuskiej była następująca: wielki książę Bergu (Murat) i marszałek Davoust z swemi korpusami przy Naumburgu; korpus księcia Pontecorvo (Bernadotte) w marszu do Dornburga; korpus marszałka Lannes pod Jeną, marszałka Augereau pod Kahla, a marszałka Ney pod Rode; główna kwatera w Gera; cesarz w drodze do Jeny, a korpus marszałka Soult w marszu, ażeby zająć pozycyą na przecinaniu się dróg do Jeny i Naumburga.

Dnia 13 o godzinie 2 po południu przybył Napoleon do Jeny i udał się, dla przejrzenia pozycyi nieprzyjacielskiej, na małe wzgórze, przez swą przednią straż zajęte.

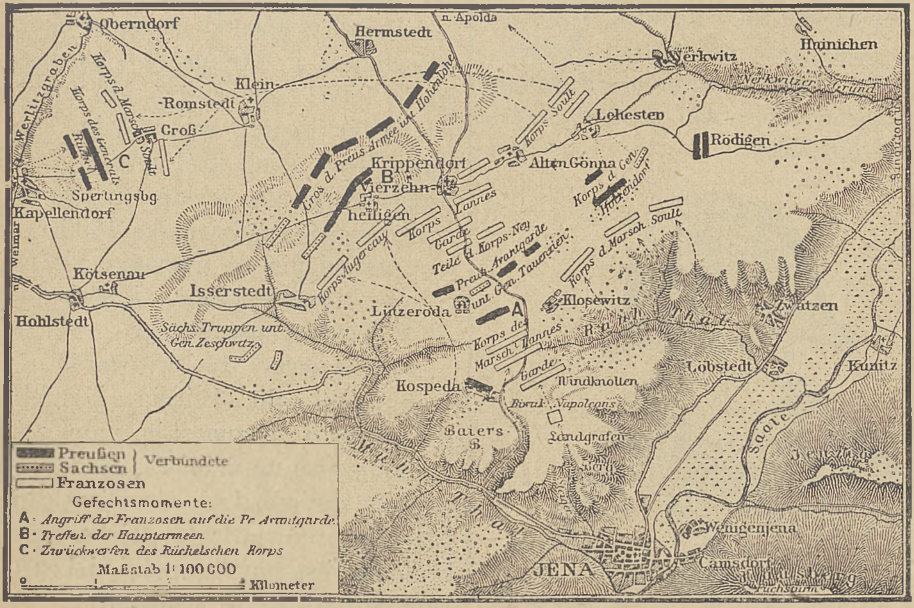
Sprzymierzeni osadzili siłą wąwozy przy Sali, i zamykali tym sposobem drogę z Jeny do Weimaru, w mniemaniu, iż Francuzi bez ich zdobycia (co zdawało się niepodobnem), nie potrafią wyjść na równiny; zwłaszcza że nie mogli wprowadzić na swoje wzgórza artyleryi, nie mając ani drogi ani miejsca po temu. — Lecz w nocy, wykuto w skałach drogę, i artylerya na wzgórze wprowadzoną została.

Marszałek Davoust otrzymał rozkaz postąpienia przez Naumburg, dla obrony głównego przejścia pod Kösen i ażeby nieprzyjacielowi tył wziąść, gdyby zamyślał iść ku Naumburgowi lub Apolda.

Korpusowi księcia Pontecorvo polecone zostało postąpić od Dornburga, i z tyłu zajść nieprzyjacielowi.

Kawalerya ciężka francuska, nie była jeszcze przy armii, i dopiero koło południa dnia tego mogła się z nią połączyć, a kawalerya gwardyi cesarskiej pomimo czynionych forsownych marszów jeszcze o 36 godzin drogi oddaloną była. Lecz w wojnie zdarzają się okoliczności, gdzie nic niewyrównywa korzyściom, uprzedzenia i natarcia na nieprzyjaciela. — Na miejsce zajmowane przez swoje forpoczty, naprzeciw których stał nieprzyjaciel, kazał Napoleon całemu korpusowi marszałka Lannes ściągnąć. — Na szczycie wzgórza stała gwardya cesarska w czworobok ustawiona, gdzie Napoleon biwakował w pośród swoich dzielnych żołnierzy.

Korpusy marszałków Neya i Soulta całą noc następną były w marszu.



Plan bitwy pod Jeną (14. 10. 1806).

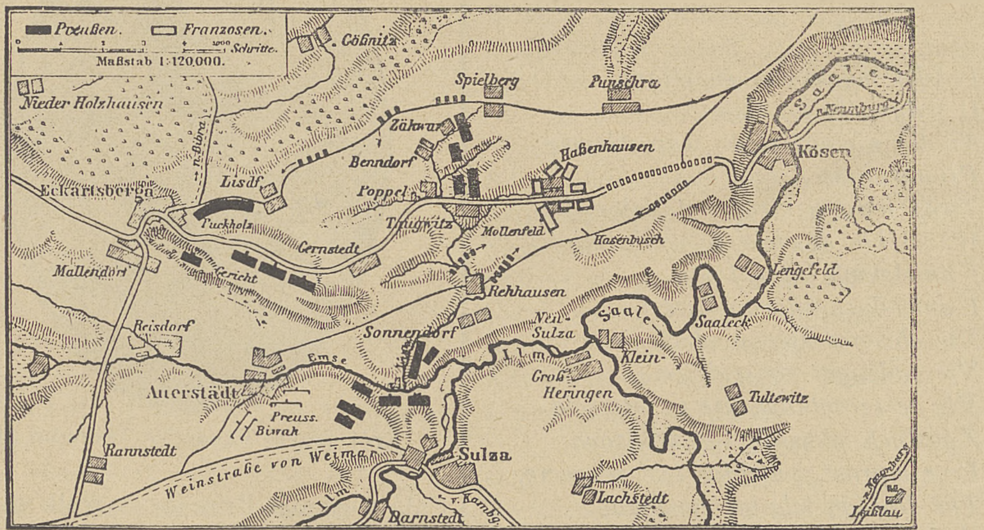
Zająwszy Jenę nocował Napoleon na północ miasta w obozie oznaczonym kwadratem. **A** oznacza początek walki o wieś Klosewitz. Marszałkowie Lannes i Soult pobiwszy przednią straż i połączywszy się z marszałkiem Augereau uderzyli na wojska pruskie i saskie księcia Hohenlohego pod **B** i rozbili je. Rezerwy pruskie pod **C** także pobite przez Soulta i konnicę Murata uciekały w nieładzie do Wejmaru, w którym Napoleon już był nazajutrz. Główna walka toczyła się około wsi Vierzehnheiligen i Krippendorf, które zostały wzięte wstępnym bojem bez pomocy gwardyi francuskiej, która szemrała, że nie może wziąść udziału w bitwie.

Armia pruska na dwie części podzielona stała, pod Kapellendorf pod księciem Hohenlohe, i pod Auerstädt pod wodzą księcia Brunświckiego i króla pruskiego. — Ze świtem dnia nadchodzącego wzięto się do broni.

Dywizya generała Gazon była ustawiona w trzech liniach po lewej stronie równiny na wzgórzu; dywizya Sucheta składała prawe skrzydło; gwardya cesarska stała na szczycie wzgórza, każdy zaś korpus miał działa w swoich ustępach.

Gęsta mgła zaciemniała powietrze. Cesarz przejeżdżał konno swoje szeregi i zalecał im mieć się na ostrożności przed kawaleryą pruską, którą mu jako straszną wystawiono. Przypomniał im, iż właśnie w tym czasie roku przeszłego Ulm wzięli: że armia pruska tak jak wtenczas austryacka jest otoczoną, swoje magazyny i linię operacyjną straciła; że ta walczy już nie o sławę, ale tylko o możność odwrotu. Żołnierze odpowiedzieli na to okrzykiem: „naprzód“, i wkrótce rozpoczął się bój małym ogniem karabinowym. Jakkolwiek dobra była pozycya nieprzyjacielska, został jednak z niej wyparty; armia francuska zeszła na równiny i zaczęła się w szyk bojowy ustawiać.

Korpus nieprzyjacielski złożony z 50000 ludzi wyszedł, by zająć przejścia pod Kösen, lecz już je znalazł przez marszałka Davoust obsadzone. Dwa drugie korpusy 80.000 ludzi wynoszące, stanęły naprzeciw francuskiej armii, która ze wzgórzów od Jeny, na równiny zstępowała. Przez dwie godziny, mgła pokrywała obie armie, aż nakoniec ustąpiwszy promieniom słonecznym, odkryła obydwa



Plan bitwy pod Auerstädt (14. 10. 1806).

Armia pruska wraz z królem Fryderykiem Wilhelmem III a licząca 48,000 ludzi pod dowództwem księcia Karola Brunświckiego dążyła w odwrocie przez Kösen nad rzeką Salą do Halli; pochód przerwano wieczorem dnia 13-go października obozując we wsi Auerstädt. Nazajutrz we mgle natknęli się Prusacy pod wsią Hossenhausen na korpus francuski pod dowództwem marszałka Davoust. Tenże miał tylko 15, później 24 tysiące ludzi i odpierał do południa ataki piechoty i jazdy pruskiej, trzymając wieś uporczywie. Poczem uderzył sam do ataku, oskrzydlił Prusaków, rozbił piechotę pruską w puch i ścigał pierzchających 3 mile aż do Buttstaedt. Tam armia natrafiwszy szczątki pobite pod Jeną poszła w zupełną rozsypkę, tak że przy królu pruskim zaledwie kilkaset konnicy zostało, z którą spieszny rozpoczął odwrót. Davoust mianowany został przez Napoleona księciem Auerstädtu.

wojska o mały strzał działowy od siebie oddalone. Lewe skrzydło francuskie dowodzone przez marszałka Augereau, opierało się o wieś i las; gwardya cesarska oddzielała go od środka armii, który tworzył korpus marszałka Lannes. Marszałek Soult ze swym korpusem stał na prawem skrzydle; marszałek Ney, miał tylko 3000 ludzi, które mu z jego korpusu nadeszły.

Piąty bulletyn Wielkiej armii z roku 1806, tak pisze: „Armia sprzymierzonych była liczna, jej kawalerya wyborna,i wszystkie jej poruszenia spiesznie, z jak największą punktualnością wykonywane były. Napoleon życzył sobie bitwę o dwie godziny spóźnić, ażeby mógł w pozycyi, którą po rannym ataku zajął, doczekać się nadejść mających posiłków, a szczególniej kawaleryi. Lecz niecierpliwość francuska zmusiła go do walki, niektóre bowiem bataliony zdobyły wieś Holstedt, i nieprzyjaciel ruszył naprzód, dla wypędzenia ich ztamtąd. Natychmiast marszałek Lannes otrzymał rozkaz postąpienia ku wsi i dania pomocy. Marszałek Soult natarł na prawem skrzydle na lasek, a że nieprzyjaciel na swojem prawem skrzydle uczynił poruszenie przeciw lewemu skrzydłu francuskiemu, przeto marszałek Augereau otrzymał rozkaz odparcia onego. W niespełna godzinie, bitwa stała się powszechną. Obydwie armie manewrowały jakby na jakim placu parady.

„Cesarz miał przy sobie oprócz gwardyi, znaczną ilość wojsk rezerwowych, dla użycia ich w wydarzyć się mogącym nieprzewidzianym przypadku.

„Jak tylko marszałek Soult zdobył lasek, po dwugodzinnym onego szturmie, zaraz potem postąpił naprzód. W tym właśnie momencie zameldowano cesarzowi, iż nadchodzi dywizya kawaleryi rezerwowej francuskiej, a dwie świeże dywizye z korpusu marszałka Neya za placem boju stanęły. Natychmiast rozkazał wszystkim pułkom, które dotąd rezerwę składały, w pierwszą linią postąpić, która, tak znacznie wzmocniona, wkrótce nieprzyjaciela wyrugowała. W pierwszej godzinie, odwrót nieprzyjaciela był w porządku, lecz za nadejściem wielkiego księcia Bergu z dragonami i kirasyerami, zmienił się w zupełną ucieczkę. Jak piechota tak i kawalerya pruska, nie mogły wytrzymać ich napadu. Napróżno piechota formowała czworoboki, pięć takowych rozbito; artylerya, kawalerya, piechota, wszystko rozpędzone lub w niewolę wzięte, i Francuzi przybyli do Wejmaru razem z uchodzącym nieprzyjacielem. —

„Prusacy utracili 20 000 zabitych lub ranionych, 30000 w niewolę wziętych żołnierzy, 60 sztandarów, i 300 dział". —

W tym samym dniu marszałek Davoust okrył się sławą pod Auerstädt.



Książę brunświcki Karol Ferdynand I
utracił w bitwie pod Auerstädt oba oczy; umarł dnia 10-go listopada 1806-go podczas ucieczki przed armią Napoleona w Ottensen.

Książę Brunświcki raniony, wojsko, któremu dowodził, uszło w największym nieporządku, gdy właśnie nadeszła wiadomość o wypadkach pod Jeną i zajęciu Wejmaru.

To podwójne zwycięstwo, rozstrzygnęło los monarchii pruskiej. Rozpacz opanowała umysły: osiwieli w boju generałowie poddawali fortece, w których się jeszcze po kilka tygodni trzymać mogli. Przeciw wszechmocnemu szczęściu Napoleona stracili wszyscy przytomność, odwagę, a nawet nadzieję.

To wojsko pruskie, które przed ośmiu jeszcze dniami, tak wielkie w sobie żywiło nadzieje, groziło zajęciem dalej reńskiej konfederacyi i z taką naprzeciw wojsku francuskiemu stawało ufnością, iż je miało zmusić do opuszczenia Niemiec i szukania dla siebie schronienia po za Renem, całe to wojsko w bitwie pod Jeną w niwecz obrócone zostało. 60 chorągwi, 300 dział, niezmierne magazyny, 30000 z górą niewolnika, pomiędzy którym 30 generałów, 20 do 25000 na placu poległych lub rannych, taki był owoc z dnia 14 października, w którym laury zebrane przez wojsko 2 grudnia r. z. na polach Austerlickich, na nowo odświeżone zostały.

„Z chłopskiego zagonu."

O losie kobiet wiejskich opowiada Kasprowicz w książce pod tytułem: „Z chłopskiego zagonu." Mieszczą się w niej cztery poematy, czyli dłuższe opowiadania wierszem: „Jewka Orliczka," „Na służbie," „Dwaj bracia rodzeni" i „Salusia Orczykówna."

Przedmiotem pierwszego opowiadania są dzieje nieszczęśliwej kobiety wiejskiej Jewki, którą zły pasierb wygnał z chałupy na komorne. Jewka była dobrą żoną, czułą matką, skrzętną gospodynią, a zagon ojczysty — tę ziemię czarną, miłowała tak szczerze, jak jeno chłopskie serce miłować zdolne, aby się nie zabijała pracą nadmierną w polu, Jewka tłumaczyła im mądrze, że grzech próżnować w ten dzioneczek jasny:

„Gdy wszędy jest wiadomo że Bóg
dzień ten stworzył,
Ażeby wszystkie siły człowiek w pracy
łożył?
Jak robak, tak się człowiek zrósł z skibą każdziutką —
Z tym szlakiem, z tym zagonem, z tą
najmniejszą grudką,
Że gdyby oderwano człowieka od ziemi
Tak gwałtem — gdyby kazał kto z zagony temi
Pożegnać się na zawsze — to ja myślę
sobie —
Byłoby chyba lepiej żałość zamknąć
w grobie..."

Ta ziemia święta, „co ziarnami swemi i człeka wszak używi i tę mysz w stodole," tak oplątała serce Jewki wstęgą zielonych łąk, smugiem zbóż złocistych, że nie zdołała przeboleć jej utraty. Gdy pasierb po ożenieniu się wyrzucił ją z gospodarstwa, krążyła

wciąż koło dawnego swego pola, niby ptak, co go „łasica wygnała z jego gniazdka“ — a że ochłodę dla palącej tęsknoty znalazła na dnie studni pasierba, w którą się rzuciła, aby umrzeć przynajmniej *„na swojem...“*

W inny sposób, ale niemniej od Jewki nieszczęśliwa jest Jagusia z opowiadania pod tytułem „Na służbie“. Jagusię, córkę ubogiej komornicy, bieda wygania z nędznej chaty na służbę do miasta. Żegnając się z matulą, „od boleści jako mlecz ten biała, gdy się z kwiatu złotego wypierze“, Jagusia

Ciemne oczki w modry fartuch
kryje;
Jakby szła już na męki wieczyste;
Tak wciąż płacze, tak chwyta za
szyję
Rodzicielkę, tak u stóp się kładzie,
Tak całuje suche palców końce...

Pomimo łez i żalu, słucha jednak uważnie mądrych rad, surowych przestróg matuli i przysięga uroczyście, jako nie zapomni o nich nigdy — przenigdy.

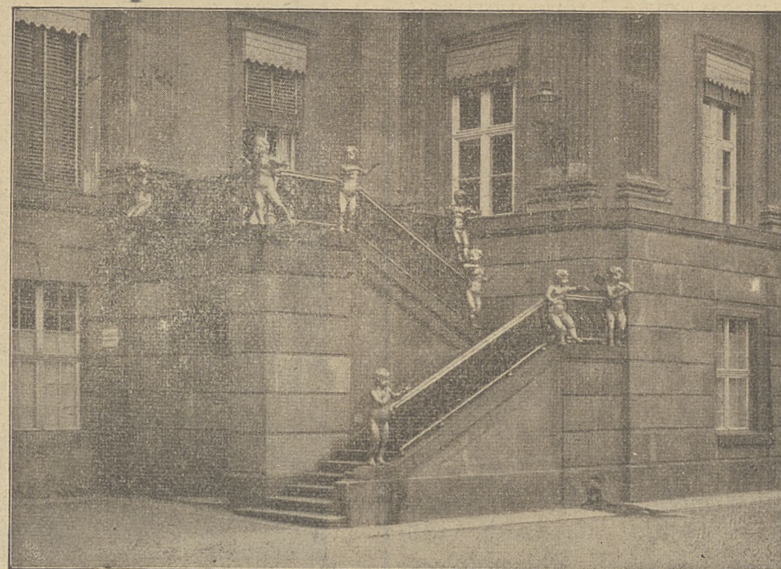
Potem biedna

...w podróż się gotuje:
Warkocz chowa pod chusteczkę
jasną,
Ponad czołem włosy przyczesuje,
A jej oczy w łzach, jak świece
gasną;
Lakowanych koralików sznurki
Hej, okręca na około karku,
A tu łezki ciur! ciur! jak paciorki,
Przyniesione za psi grosz z jar-
marku...

I poszła... W świat obcy, zimny, nieznany poszła, uwinąwszy z nędznej chudoby „tobołek drobniutki“. Zniknęła z przed oczu starej matuli, lecz patrzyło na nią „słoneczko, które chodzi górą i tak wszystko widzi, jak na dłoni: ludzką rozkosz i boleść ponurą...“ Hej-że, zapuśćmy wzrok i my wraz z promieniem tego słoneczka w niewinne serce, w czystą myśl dziewczyny, aby zobaczyć, co ona też czuje, o czem duma, idąc w świat, w daleki.

Smutek gniecie Jagusię. Zdala stoi od niej „kuma dobrych ludzi — radość święta“. Żal dziewczynie za matulą, co, bywało, i słóweczkiem ją popieści i w gardziołko wetknie kawałek sera lub okrasy. Cni się jej, strasznie się cni, aże „mgli się rozum wszystek“ z serdecznej boleści za Antosiem, za lubym, jedynym, co odszedł na zarobek hen! daleko, za wodę, za płynną... O tak! — źle jej, ciemno, gorzko na świecie bożym!... I chyli się główka dziewczęcia ku ziemi kwiecistej, jakby ołowiem była nalana, a łzy migają po licach, niby iskry srebrne.

Ale słońce tak jasno świeci, żyto na łanie słodko szumi, ziemia cała uśmiecha się do człowieka radośnie, więc i młode serce Jagusi zaczyna się otrząsać z przygnębienia. Wszak-ci to z nędznej izdebki komornej, co tak wiele wymaga odrobków, idzie w świat bogaty, „jedwabisty, strojny w jasne



Historyczne schody t. zw. „Engeltreppe“ znajdujące się przy bocznym froncie pałacu miejskiego w Poczdamie; ostatni raz szedł po nich Napoleon I w roku 1806-ym, odtąd już ich nigdy nie używano.

piórka“. „Juści żadne nie przyjdą jej krocie, ale ładne zasługi są w mieście“; łatwiej tam o grosz. „Za posyłki, za różne biegania uzbiera mały majątek“. Nie dla siebie go pragnie — nie; ino dla starej matuli, której życie zbiegło w nędzy i boleści. I widzi już biedne dziewczę w radosnych myślach matkę, czytającą jej liścik z miasta, w którym wyraźnie stoi, „niby w druku, że tak jej, jak w niebie“. To się dopiero matula ucieszy! aże jej

...łzy spłyną kropla po kropelce
Po watówce, po onym kaftanie,
Sprawionych za posyłki, za różne bie-
ganie...

Tak sobie duma Jaguś, siedząc popod żytem, wśród kwiecia i świergotu ptasząt. Ale inaczej się stało, niż myślała — inaczej...

Nie spełniła się wróżba makolągwy, miłej ptaszyny, co wydzwaniała Jagusieńce, że wróci do swojej wioski na dożynki „gdy opadną kłosiste korony“. Jaguś nie wróciła ani na dożynki, ani nigdy, bo zapomniała o prośbie Antosia, aby czekała na niego „czysta, jak runia na jagniątku — jak bzowa jagoda“. Zepsucie miasta zaćmiło czystą duszę chłopskiego dziecka... Poeta ukazuje nam Jagusię poraz ostatni nie wśród jasnych pól i łąk, ale w najciemniejszym zakątku mrocznej świątyni, gdzie nieszczęśliwa stara się ukryć wstyd i boleść swoją. Ale dostrzega ją w tem ukryciu łzawe oko matki, co się przywlekła również do kościoła, „skurczona, jak ten pies we dwoje, gdy go kijem smagnie dłoń złośliwa...“

Żałośna opowieść o losach Jagusi tem żałośniejsze robi wrażenie, że i w życiu tak bywa. Ale tak nie będzie, oh, nie będzie z pewnością, gdy dziewczęta wiejskie połączą ze szczerem sercem światły rozum, silną wolę, bo wtedy potrafią wytrwać w dobrych zamiarach!

W czwartym tomie poezyi Kasprowicza niema wcale mowy o ludzie wiejskim, ani o przyrodzie, wśród której lud ten żyje. Natomiast w piątej książce poeta znowu uderza w struny ludowe, na których wygrał najpiękniejsze pieśni. Ale tu zgoła inne zjawiają się obrazy, niż w pierwszych utworach. Nie o bujnych, rozłożystych łanach Wielkopolski mówi poeta, ino o górach naszych wysokich, o Tatrach podniebnych, co stanęły w koronie śniegów na granicy Polski, niby siwy gospodarz u progu chaty. I cudnież o nich rozpowiada! W dźwięcznej silnej jego poezyi słychać głosy wspaniałej przyrody górskiej, mówiącej jękiem wichrów, łkaniem potoków, grzmotem burzy — w obrazach, które maluje słowem, kołyszą się w błękitach orły, „w słońca lecąc szlak“ — i „pawiookie drzemią stawy,“ wspinają się groźnie nagie turnie i słodko wdzięczą doliny zielone... A cóż dopiero, gdy pocznie opisywać junacki lud górski — harnych górali, co

W ślady za orłami
Polecą turniami,
Z wyostrzoną bronią
Kozice przegonią! Hej!

Z życia górali tatrzańskich zaczerpnął Kasprowicz również wątek do

dzieła, tak ułożonego, jak się pisze sztuki do grania w teatrze, czyli do dramatu pod tytułem „Bunt Kostki Napierskiego.“ Dramat ów był grany w krakowskim teatrze i we lwowskim, a także w rodzinnych stronach poety — w Poznaniu. Podobał się wszędzie bardzo. Autorowi składano wieńce, bukiety i — droższe nad kwiaty — słowa szczerych powinszowań, przyjaznych życzeń. Zwłaszcza pierwsza część, czyli pierwszy akt tego dramatu jest tak prawdziwy, jak samo życie...

ducha; byłem twój z twego cierpienia i z walki twojej, niech będę twoim i z twego zwycięstwa i z twego szczęścia!...“

Zachowajcie, drodzy czytelnicy, te słowa we wdzięcznej pamięci, aby sercem za serce odpłacać poecie.

M. Wysłouchowa.
(„Zorza warszawska.“)

Dla niej myśl każda — każda poprawa —
Modlitwa, radość, łza i tęsknota,
Nadzieja, ufność, szczęście, pieszczota,
Wszystko, co w życiu łączy się, splata
W godziny drobne i w wielkie lata,
Wszystko, co w przeszłość szybko ucieka,
Niech słyszy zawsze — Ojczyzna czeka!!!

Jadwiga Strokowa.
(„Mały Światek.“)



J. Ryszkiewicz. **Kruki wojenne.**

Na zakończenie wspomnieć już tylko mogę o wielkiej, niedawno napisanej przez Kasprowicza pieśni, pod tytułem: „Święty Boże! Święty Mocny!“ Dusza poety, przygnębiona smutkiem, zlewa się tu w jedno z duszą ludu i modli się jej szczerą, pełną ufności modlitwą.

Poeta czuje w sobie bóle, krzywdy, klęski, żal tych, których ukochał, więc w poczuciu tej jedności, tej wielkiej miłości co ogarnia ziemię i lud, mówi o sobie, jako o tym, „który powstał z tej ziemi, który miał w sobie jej trud, jej tajemniczy jęk... który zabrał z jej chat żalniki łez i czekał, kiedy przyjdzie wybawienia kres — i z jej szumiących zbóż zgarniał ten dziwnie przejmujący szum i w swoich dum treść go zamykał i w świat, jak wielką świętość niósł. I żal go zdejmował, że nie dana była moc, by zmienić w tryumf te łzy; że nie miał siły, by te szumy żałobne w jakiś weselny, w jakiś radośny hymn się rozjaśniły...“

Tę samą myśl, to samo poczucie, że serce jego boleje cierpieniem ludu, a cieszy się jego szczęściem, poeta wypowiedział i kiedyindziej, dawno — w słowach inakszych, ale niemniej wzruszających. „Byłem twój — mówi, zwracając się do ludu — byłem twój nietylko z krwi, ale i z

Ojczyzna czeka!

Ojczyzna czeka!... coś szepce mi,
I dziwną skargą żałośną brzmi —
Niby głos znany w mem uchu dzwoni,
Niby marzeniem puka do skroni,
A serce często w wieczornej ciszy
Wołanie owo tak wielkie słyszy.

Ojczyzna czeka!... oh! wiem — rozumiem,
Choć wypowiedzieć tego nie umiem,
Ale wiem, na co czeka i woła —
Czemu swą prośbę rzuca dokoła
I jak sierota łzawo spogląda
I jako ona — pociechy żąda.

Ojczyzna czeka!... na trudy — znoje —
Na moje czyny i cnoty moje —
I na tę miłość dla wszystkich dzieci,
Która noc nieszczęść zorzą zaświeci —
I na tę wiarę, co ma być siłą
I na tę zgodę, tak dla niej miłą...

Ojczyzna czeka!... o! rzec to łatwo...
Lecz o tem myśleć wciąż trzeba dziatwo...
O każdym świcie, o każdym mroku,
O każdym w pracy i trudzie kroku,
Niech każda chwila z pomocą spieszy.
Zbliża, rozjaśnia, buduje, cieszy...
Dla niej nauka — dla niej zabawa,

Uroczystość na Kahlenbergu.

Polacy wiedeńscy obchodzili w niedzielę, dnia 23-go z. m. piękną uroczystość otwarcia polskiego kościoła na Kahlenbergu pod Wiedniem, owej dziejowej świątyni Pańskiej, z której wyruszył król polski Jan III na odsiecz Wiedniowi. Obecnie dziejowy ten kościół stał się polskim, przeszedłszy na własność wiedeńskiego konwentu OO. Zmartwychwstańców.

Zgromadziło się na Kahlenbergu kilkuset miejscowych Polaków, między nimi przedstawiciele tamtejszych polskich stowarzyszeń i wiele innych wybitnych osobistości. Przybył także minister Wojciech hr. Dzieduszycki, prezydyum Koła Polskiego: Abrahamowicz, Bobrzyński, dr. Dulemba, jako też posłowie: dr. Petelenz, Wielowiejski, dr. Kozłowski, ks. Pastor, dr. Binder, Struszkiewicz, hr. Piniński, Sozański i wielu innych.

Uroczystość rozpoczęła się poświęceniem obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, który z Częstochowy przysłał tamtejszy przeor Paulinów ks. Rejman. Poświęcenia dokonał w towarzystwie licznego duchowieństwa polskiego generał Zmartwychwstańców ks. Kasprzycki, poczem przełożo-

ny wiedeńskich Zmartwychwstańców ks. Bakanowski wygłosił polskie kazanie w duchu narodowym. Sumę celebrował generał ks. Zmartwychwstańców. Chór śpiewacki wiedeńskiego stowarzyszenia „Ojczyzna“, pod kierownictwem znanego polskiego muzyka wiedeńskiego profesora Ambrosa, wykonał śpiewy podczas Mszy św.

Kościół został ładnie odrestaurowany wewnątrz i zewnątrz. Dobudowano też z prawej strony do niego dwupiętrowe mieszkanie dla zarządu kościelnego. Świątynia była ogromnie zaniedbaną i wyglądała przedtem jak bardzo skromny kościółek wiejski. Dziś zewnątrz i wewnątrz przybrała wygląd godny dziejowego znaczenia, jakie posiada.



Fr. Dworzak. **Kwiat miłości.**

Po nabożeństwie zgromadzili się obecni na wspólny obiad w hotelu na Kahlenbergu. Duża sala była pełną. Szereg toastów rozpoczął ks. Kukliński, witając dostojnych gości mianowicie obecnego ministra hr. Dzieduszyckiego i liczne przedstawicielstwo Koła Polskiego. Prezes Koła poseł Abrahamowicz podziękował, wznosząc cześć zgromadzenia Zmartwychwstańców, które dokonało tak pięknego dzieła narodowego. Ostatni toast wzniósł poseł dr. Kozłowski. Mówił w duchu narodowym i katolickim. Podczas obiadu chór w przyległym do sali pokoju śpiewał pieśni narodowe.

Uroczystość miała piękny przebieg. Dopiero około godz. 4-tej opuścili uczestnicy Kahlenberg.

Koszta nabycia i restauracyi kościoła wynoszą 180,000 koron.

Sławne zwierzęta.

Iluż to ludzi w ciągu całego życia pragnęło stać się sławnymi, a ilu umarło z rozpaczy, iż marzenie ich nie przyobleklo się w rzeczywistość! Natomiast znakomita liczba zwierząt dosięgła tej chwały, nie wiedząc nawet, czem ona jest właściwie. Ród zwierzęcy, zarówno jak ludzki, ma swój Panteon i... „swoich wielkich“. Przyznać atoli należy ze smutkiem, że trąba sławy nie zawsze utrwala pamięć tych, co najwięcej na to zasługują; u zwierząt jako i u ludzi rozmaite są sposoby do przejścia do potomności: często w tych razach droga występku pewniejszą jest niż droga cnoty.

Nieraz wypadek, szczęśliwy zbieg okoliczności, stawały się narzędziem sławy niespożytej. Wiele z pośród zwierząt uprzywilejowanych dotąd świeci odbiciem chwały swych panów, stwierdzając słowa: „Przyjaźń wielkiego człowieka jest dobrodziejstwem bogów“.

Do takich należy *Bucefal,* którego panem był Aleksander Wielki. Miał to być koń wspaniały, lecz nieposkromiony; na piersiach miał białą plamę w kształcie głowy byczej, ztąd jego przezwisko. Nikt nie mógł go ujeździć. Aleksander dosiadł go i ściągnąwszy cugle, zwrócił mu głowę do słońca, aby oślepić zwierzę blaskiem. Koń wspina się i rzuca. Śmiały jeździec puszcza mu wodze, spina ostrogami i wypada na rozległą równinę, roztaczającą się przed nim.

Od tej chwili przyjaźń głęboka zapanowała pomiędzy koniem a jego pogromcą. Bucefal jednego Aleksandra uznawał za jeźdźca godnego siebie; każdego innego byłby rozniósł i zabił. Za ukazaniem się Aleksandra przyklękał przed nim, poczem, rżąc, powstawał. W jednej z bitew dostał się do niewoli. Aleksander oznajmił nieprzyjaciołom, że jeżeli jeden włos spadnie z niego, wytępi cały ich naród; odesłano mu go obładowanego darami. Kiedy Bucefal zakończył życie, władca wyprawił mu pogrzeb wspaniały i dookoła grobu zbudował miasto, które dla uwiecznienia jego pamięci, nazwał Bucefalią.

Podobne honory oddawał swemu koniowi Daryusz, król Persów, należały mu się słusznie, gdyż jemu zawdzięczał koronę. Wiadomo, że pomiędzy pretendentami do tronu stanęła umowa, iż zasiądzie na nim ten, którego wierzchowiec rżeniem pierwszy powita wschód słońca; koń Daryusza wyprzedził inne.

Wiadomo wszystkim do jakich szaleństw zdolnym był cesarz rzymski Kaligula, którego chora wyobraźnia codziennie wysilała się na urzeczywistnienie coraz to nowych dziwolągów; nietylko kazał zbudować stajnię z marmurów i porfiru dla swego ulubionego konia, „Incitatusa“, ale podarował mu nawet pałac i umieścił go w nim, pośród sprzętów zbytkownych, jak gdyby koń ów był człowiekiem. Mianował go senatorem i przyodział w szatę białą, oszytą purpurą; Incitatus miał niewolników, oficerów, słowem całą świtę; rozsyłał zaproszenia na obiady do najpierwszych dostojników rzymskich. Każdy przychodzący musiał przed nim klękać i czołem dotknąć jego kopyta; następnie siadano do stołu i podawano mu owies w czarach z kości słoniowej, wino w puharach ze złota; Incitatus pił najpierwszy, a resztki z puhara wychylał ten, którego Kaligula uznał godnego tego „wysokiego zaszczytu“.

Pewnego dnia, jeden z zaproszonych, odważniejszy niż inni i pomny, iż jest Rzymianinem, wziął puhar i

rzucił nim w głowę konia. Kaligula, blady z wściekłości, kazał go przytrzymać i ochłostać rózgami; potem kazał mu uklęknąć przed Incitatusem i błagać o przebaczenie; gdy się temu oparł, cezar skinął na kata, i głowa winowajcy potoczyła się na ziemię do stóp zwierzęcia.

W kilka dni później wyniósł Incitatusa do godności wielkiego kapłana, oznajmiając ludowi zamiar wcielenia go do Konsulatu; lecz Rzym, znudzony nareszcie rządami konia, powetował sobie na władcy: pchnięcie sztyletem uwolniło świat cały od tego szaleńca. Co się stało z Incitatusem? — nie wiadomo; historya milczy. Prawdopodobnie skazano go na obracanie młyna w jakiejś osadzie, lub na holowanie statków na wybrzeżu Tybru; bolesna strona odwrotna tak wielkiej sławy!

Pomiędzy słynnymi w dziejach rumakami legendowym był biały koń „dobrego króla“ Henryka IV. Kiedy zwierzę skończyło żywot, nie było takiego, coby się ośmielił pójść z oznajmieniem nieszczęsnej wiadomości z obawy gniewu królewskiego; nareszcie postanowiono ciągnąć losy. Na szczęście los padł na przebiegłego dworaka; stawił się przed Henrykiem IV i po złożeniu pokłonów czołobitnych, zawołał:

— Nieszczęście! najjaśniejszy panie!.. Wasz koń!

— Co! Co takiego? — pytał król; — mój koń?

— Wasz koń ukochany! wasz piękny koń! wasz koń nieszczęśliwy...



Aleksander Wielki, poskramiający Bucefala.

— Co ty chcesz powiedzieć i czemu jaśniej się nie tłomaczysz? Przeczuwam, co się stało! pewno zdechł!

— Ach! najjaśniejszy panie! — z pośpiechem woła niefortunny wysłaniec — ja tego nie powiedziałem: to wasza królewska mość sam sobie to powiedział!...

Król, pomimo wielkiego żalu, zaczął się śmiać; rozbroił go ten dowcip. Potomność nie chciała rozłączyć Henryka IV z jego koniem białym, utrwalając ich razem w posągu z bronzu.

Nie wypada pominąć milczeniem koni, które były wykonawcami męczarni, zadawanych ludziom. Sławnym stał się koń, do którego przywiązano Mazepę; późniejszego hetmana Ukrainy. Historya to znana, oprócz pamiętnikarzy, opiewali ją najznakomitsi poeci: Byron, Wiktor Hugo, Słowacki.

Nie sądźcie wszakże, aby tylko konie posiadały przywilej sławy. Ze współzawodników tych zwierząt możnaby utworzyć całą menażeryę. W ogrodach w Carskiem Siole, zwiedzający napotyka w końcu jednej z alei nagrobek z napisem następującym:

Tu spoczywa Zemira. Niech Gracye
w żałobie
Kwiaty zawsze składają na jej smutnym grobie.

Napis ten ułożył hrabia de Segur, ambasador francuski, na cześć Zemiry, ulubionej swej suczki.

W całym świecie mahometańskim kotka Proroka zyskała nieśmiertelność za to, że spała. Pewnego dnia, Mahomet zjawia się, by przewodniczyć podczas wielkiej uroczystości religijnej, w ubraniu bardzo dziwnem. Bogata jego szata ma tylko jeden rękaw, gdy prawe jego ramię świeci nagością. Wszyscy szepczą i zadają sobie pytania: Prorok zabiera głos: „Nie dziwcie się, bracia, temu, co tu widzicie, bo musiałem tak uczynić; w chwili kiedy się ubierałem, aby tu przyjść, zastałem kotkę moją ukochaną, leżącą na jednym z rękawów mej sukni i smacznie zasypiającą; musiałbym jej zakłócić sen; wziąłem tedy nożyce i obciąłem tkaninę dookoła śpiącej“. Nazajutrz kotka prawodawcy wiernych stała się sławną i do dziś niema takiego muzułmanina, któryby nie czcił jej za to, że była pieszczona przez Proroka.

Ulubieńcem Ludwika XIV-go był osobnik większych rozmiarów: słoń.



Mazepa późniejszy hetman Ukrainy, przywiązany do konia dzikiego, puszczony między zarośla i krzewy.

Nigdy przedtem we Francyi nie widziano słonia, z wyjątkiem przysłanego Karolowi Wielkiemu przez Kalifa Haruna al Raszyda w roku 802, a którego śmierć kronikarze opisali szczegółowo, jak gdyby to była osobistość z pomiędzy najważniejszych w państwie.

Słoń Ludwika XIV ofiarowany został temu monarsze przez Portugalczyków w roku 1668; pochodził z Kongo i miał cztery lata.

Zaprowadzono go do menażeryi w Wersalu, gdzie żył lat trzynaście. Wkrótce stał się najdoskonalszym dworakiem jego królewskiej mości.



Szczyt posągu bronzowego, wzniesionego w Rzymie dla uczczenia lwicy, która wykarmiła Romulusa i Remusa.

Kiedy Ludwik XIV zbliżył się do niego i głaskał, wydawał radosne odgłosy, dając trąbą najrozmaitsze oznaki przyjaźni. Słoń królewski stał się znakomitością paryską, a najsławniejsi malarze ubiegali się o zaszczyt malowania jego „portretu“. Jeden z nich chciał go przedstawić z trąbą do góry i otwartą paszczą, w tym celu kazał jednemu z lokajów stać przy nim i za-

bawiać, udając, że mu wrzuci kawałek chleba; słoniowi się to nie podobało: podczas pauzy, naciągnął w trąbę wody i opryskał, nie lokaja, niewinne narzędzie, lecz artystę i obraz jego. Wkrótce potem upojony łaskami, stał się groźniej mściwym i osądził, iż jeden z kornaków uchybił mu w należnym szacunku, pochwycił go trąbą, zakręcił nim w powietrzu i cisnął na ziemię. Biedny kornak już się nie podniósł; opłakany skutek upojenia sławą mózgownicy gróboskórnego!..

Zazwyczaj sława zwierzęcia jest wynikiem szczęśliwego zbiegu okoliczności; pomiędzy zwierzętami znajdują się jednak i takie, które zdobyły sobie sławę własną zasługą. W pierwszym rzędzie lwu należy się uznanie. Pewnego razu, w amfiteatrze rzymskim, lew stanął oko w oko z niewolnikiem, Androklesem, który na puszczy wyleczył go z rany w łapie. Poznawszy swego dobroczyńcę, zamiast rzucić się na niego i rozszarpać w sztuki, zaczął lizać go po rękach a lud, przejęty uwielbieniem, uwolnił niewolnika, oddał mu lwa, i odtąd widziano ich obydwóch przechadzających się razem po ulicach Rzymu. Lew Androklesa jest więcej niż sławny, stał się popularnym: rozmaici malarze przedstawiali go w różnych chwilach życia.

Niemniej sławnym w Ameryce jest lew a raczej lwica z Paraguaju. Działo się to w roku 1536; Buenos-Ayres było oblężone przez zbuntowanych Indyan a gubernator miasta srogo zakazał wychodzić komukolwiek po za mury warowni, pomimo głodu, który w sposób straszliwy zaczął się dawać uczuwać.

Pewna stara kobieta przekroczyła ten zakaz i wymknęła się do sąsiedniego lasu w poszukiwaniu jagód i dzikich owoców. W jednej z pieczar napotkała chorą lwicę, która na jej widok zaczęła jęczeć, jak gdyby błagała o pomoc. Staruszka, odważna, zbliżyła się, pielęgnowała chorą, i odtąd lwica codziennie przynosiła jej zwierzynę na pożywienie, dzieląc ją pomiędzy swoją dozorczynię i małe lwiątka. Jednak biedna kobieta zapragnęła powrócić pomiędzy ludzi. Schwytana przez patrol żołnierzy, w chwili kiedy niepostrzeżona chciała wemknąć się do miasta, została przez gubernatora skazana na śmierć. Przywiązano ją do drzewa w tym samym lesie, do którego uciekła, oddając dzikim zwierzętom na pożarcie.

We dwa dni potem chciano zobaczyć, co się z nią stało: znaleziono ją żywą, pod opieką lwicy, która zwabiona jej rozpaczliwym krzykiem, podążyła ze swemi lwiątkami i ułożyła się u jej nóg.

„Lew florencki" był jeszcze wspaniałomyślniejszym. Wyrwał się z menażeryi i spacerował po wszystkich ulicach miasta, siejąc postrach i grozę; popłoch był straszliwy. Jakaś kobieta z dzieckiem również uciekała. Nagle potyka się i upuszcza swój ciężar drogocenny! Lew już był tuż. Nieszczęśliwa widzi jego łapę, wznoszącą się nad bezbronną istotką i paszczę, węszącą z groźnym pomrukiem. Wtedy, oszalała z bólu, rzuca się naprzeciw lwa, i płacząc, szlochając, załamując ręce, przemawia do niego, jak do istoty ludzkiej, błagając o darowanie życia jej synowi...

Lew, jak niesie wieść, zatrzymał się, jakby zdziwiony, popatrzył długo i zdawał się pojmować rozpacz matki; zawrócił na miejscu, pozwalając żyć wątłemu stworzeniu.

Wilczyca Romulusa i Remusa lepiej zrobiła, bo nie tylko, że nie pożarła dwojga nowonarodzonych bliźniąt, porzuconych na brzegu Tybru, lecz własnem je wykarmiła mlekiem. Za to też ulana z bronzu, króluje nad wdzięcznym Rzymem, od dwóch tysięcy lat przeszło.

(Dokończenie nastąpi).

O straceniu razem 14 mniemanych czarownic w drugiej połowie 18-go wieku.

Relacya naocznego świadka.

(Dokończenie).

Przyczyny strasznej egzekucyi.

„Wszystko w przyrodzeniu i życiu ludzkiem ma słuszne przyczyny; a jeżeli czego dostrzedz nie możemy, naszej słabości wina". *Tańska.*

Żona dziedzica, w przeszłym numerze wzmiankowanego, zachorowała: dostała wielkiego bólu w palcu, włosy na głowie zaczęły jej się zwijać. Był wtedy brak doktorów; jedynie tylko felczerzy po miasteczkach i to nie wszędzie mieszkali. Tą sztuką najczęściej trudnili się żydzi, którzy nie posiadając żadnych wiadomości, nauczywszy się u podobnych sobie mistrzów, puszczania krwi i wyrywania zębów, byli jedynymi lekarzami. Współzawodniczyli z nimi tak nazwani olejkarze z Węgier: ci dawniej kupami włóczyli się po kraju, nosząc szkatułkę na plecach z lekarstwami, i wyłudzali z ciemnego ludu ostatni grosz, za który jeżeli nie szkodliwe, to przynajmniej nic nieznaczące sprzedawali olejki. — Ta pani posłała po felczera do Kępna, lecz zamiast ulgi, ręka puchła coraz bardziej; nareszcie zaczęły drobne kosteczki z rany wychodzić, co wtedy postrzałem nazywano. Oddalono felczera: w pobliskiej wsi mieszkała pewna kobieta, trudniąca się także leczeniem chorych, a którą miano za opętaną od djabła: zgadywał on przez nią wszystkie choroby, i zwykle przypisywał winę ciotom (tak lud czarownice nazywał). Do tej kobiety zewsząd się zbiegano: po nię posłał także dziedzic Doruchowa. Trzeba wiedzieć, że Doruchów miano wtedy za główne siedlisko czarownic, gdzie na granicy pomiędzy tą wsią a Przytocznicą, leżał wielki kamień, nazwany Łysą górą; tam to czarownice co wtorek i czwartek miały swe nocne schadzki odbywać. Kobieta wezwana do leczenia pani, znająca dokładnie wieś całą, i wszystkie domowe stosunki, wszedłszy do pokoju, zaczęła zaraz zżymać się okropnie (hapać, wymawiając przerywanym głosem: „cioty! cioty! zadały... kołtuna. Dobra najpierwsza!" wymieniła kilka kobiet) Blisko probostwa mieszkał gospodarz Kaźmierz, człowiek pracowity, trzeźwy; żona jego gospodyni rządna, oszczędna, dla tego mieli się dobrze. Za domem był niewielki sadek, a w nim gruszka, rodząca owoc wyborny, po który także dziedziczka nieraz posełała, nie mając w własnym sadzie tak smacznych gruszek. Ponieważ tej gospodyni na niczem nie zbywało, nazywano ją Dobrą. Inne zaś kobiety zazdrosne, wygadywały na nią, iż dla tego ma się tak dobrze, ponieważ oblubieniec jej djabeł wszystkiego jej dostarcza. Tak uchodząc we wsi za najgłówniejszą czarownicę, pierwsza została pojmaną. Druga była wdowa, żyjąca z wyrobku, mająca córkę, około 12 lat: córce zrobił się wrzód w uchu, a ponieważ go zaniedbano, dostała flusu i na to umierać musiała: lud zabobonny posądził matkę o czarodziejstwo, że nie mogąc kogo innego oczarować, własnej córce zadała.

Trzecia, młoda dziewka, nie wiedzieć z jakiego powodu udawała czarownicę: rwała ona liście dębowe, suszyła na słońcu. Pasając w lecie bydło w polu, nosiła takowe liście przy sobie, a gdy wiatr powstał, aby pokazać wiejskim dzieciom, że umie myszy robić, dobywszy z kieszeni listek i chuchnąwszy w dłoń, puszczała go z wiatrem, krzycząc głośno: mysz leci! mysz! Takim sposobem oszukiwała łatwowiernych, i żeby lepiej udać tę sztukę, sama zwykle biegła za ową myszą, i zadeptywała ją, aby młodych

nie miała i szkody nie robiła. Tak więc i ta dziewczyna dla tak niewinnej igraszki, za czarownicę posądzona, stała się samą przyczyną swej śmierci.

Inne kobiety z jakich powodów uwięziono już nie pamiętam.

Wszystkim zarzucano, że panią postrzeliły, mianowicie Dobrą posądzano, jakoby ona zamiast gruszek, myszy pani sprzedawała, i tak zadała jej kołtuna. Że te gruszki wcale myszkowatego smaku nie miały, ale były słodkie, soczyste, sam tego doświadczałem; bom je jadł nieraz u Dobrej, która była na mnie bardzo łaskawa, i często zapraszała do swego sadu. — Zarzucano im nadto, iż schadzki z djabłami odprawują w każdy czwartek, wylatując na miotłach kominami na Łysą górę, posmarowawszy się maścią, umyślnie na to w osobnych słojkach chowaną; iż zatrzymywały w powietrzu deszcze, gdy ich było potrzeba; a w czasie słoty coraz większe ściągały ulewy; iż raziły ludzi postrzałami, do czego osobliwszej miały używać strzelby, to jest rękojeści od stłuczonych tyglów. Skoro więc czarownica dmuchnęła w taką rękojeść, już człek został postrzelony; nadto, że krowom mleko odbierały, i inne niedorzeczne baśnie.

Do wszystkich tych zarzutów, które im czynił sąd, równie jak lud zabobonny, miały się przyznać owe mniemane czarownice. W czem nie masz nic dziwnego, gdyż okropne tortury wymuszały na niewinnych wyznanie występków, o jakich się ani śniło oskarżonym, aby się tylko choć na chwilę od niesłychanej uwolnić katuszy.

Lecz cóż się stało z dziedzicem, który tak okropnego okrucieństwa był sprawcą? Zasłoniony nierozsądnem prawem, może i przywilejami stanu swego, został wprawdzie od kary bezpieczny na tym tu świecie; ale ją zapewne uczuł w głębi serca swego, dręczony wyrzutami sumienia i ciągłym smutkiem. — Żona jego dostała pomieszania zmysłów, i wkrótce umarła, a córka, która poszła za generała St. umarła na tęż samą chorobę.

W naszych czasach nie słychać wcale o czarownicach, zadających ludziom i bydłu różne choroby i kalectwa; o strachach i duchach, przerażających trwogą zabobonne i bojaźliwe umysły; o opętanych, lubiących szczególniej po cudownych miejscach przebywać i wzbudzać zgrozę w pobożnych tłumach. Wszystkie te czarne i posępne widma, okropne skutki zabobonu, zniknęły jak nocne cienie przed dobroczynnemi promieniami oświaty. A jeżeli niekiedy zjawiają się jeszcze, kryją się po odległych zakątkach, strasząc tylko łatwowierne baby lub dzieci. Lecz i z tych kryjówek wypłoszy je coraz bardziej szerzące się błogie światło cywilizacyi. Gazety, książki i światłe duchowieństwo wykorzenią do reszty te zabytki barbarzyńskich wieków, aby człowiek, już i tak do cierpienia przeznaczony, urojonemi nie trapił się straszydłami.

X. A. R.

Tajemnica lodowca.

(Dokończenie.)

Z wiosną roku 1850, zwały lodów, ziejąc zimnem przenikającem, zsunęły się na odległość dwudziestu stóp od chaty. Prawie równocześnie Marya umarła po krótkiej chorobie, która zaczęła się dreszczami, a skończyła maligną.



Pod lodową powłoką, poprzecinaną błotnymi i białawymi rysami, tkwiła ludzka głowa.

Przez całych trzydzieści sześć godzin, wdowiec, przybity żalem bezmiernym, nie ruszył się z miejsca. Nakoniec oprzytomniawszy, skorzystał z jasnej nocy księżycowej, aby ukochaną swoją przenieść na cmentarz i pochować w nietkniętym kawałku ziemi, okwieconej polnymi makami. W okolicy nie zainteresowano się zgonem Maryi, a może i nie wiedziano o nim.

Z czasem dla zaopatrzenia się w rzeczy niezbędne, których Marya nie mogła mu już dostarczać, Ulryk na los szczęścia wyruszał ku ludzkim siedzibom. Wieś się rozszerzyła, poprzerzynana nowemi drogami, zdobna w świeże budynki.

Powziąwszy postanowienie zbliżenia się do ludzi, biedny wygnaniec nie przypuszczał, że tak się postarzał, przeobraził, iż żywa dusza go nie poznała. Zresztą w przeciągu lat czterdziestu wyrosły dwa pokolenia; nowe to społeczeństwo zachowało tylko mętne wspomnienie o tej posępnej historyi. Ci, którzy byli jej świadkami, po większej części odeszli już na wieczny spoczynek.

Jednak niekiedy ktoś o niej wspomniał; pewnego dnia, w głębi izby karczemnej, zagadnięto Tagmera, ile ma lat? Szczęściem dla niego, ubawił obecnych miną wystraszoną. Odtąd nikt go nie zaczepił, uważając za półwaryata. W ciągu lat przybywało mu odwagi i poważył wcielić się do towarzystwa ludzkiego, wtedy z nadzwyczajną ostrożnością przysłuchując się rozmowom, doszedł do przeświadczenia, iż z dramatu jego życia przetrwała tylko jedyna osobistość, syndyk, starzec zgrzybiały, który prawie nie opuszczał swego pokoju.

Pewnego dnia słonecznego Tagmer musiał uciekać jak przed zmorą, ujrzawszy tę głowę srogą i bezkrwistą, sterczącą z nad balustrady balkonu.

* * *

Tymczasem lodowiec nie ustawał w swej drodze. Na miejsce pierwotnych piramid, które nieznacznie topniały, zstępowały piramidy wyższe, topniejące z kolei, po zdobyciu sobie kawałka gruntu. Zaborca użył jeszcze dziesięciu wiosen na przebycie ostatniego etapu; nakoniec przyszła chwila, w której szczytem swym uderzył o słabe podwaliny chaty Ulryka.

Siedemdziesiąt lat, z których sześćdziesiąt nędzy ostatecznej, znęcały się nad ciałem tego człowieka, gnąc jego plecy, przerzedzając białe włosy, wyżerając oczy...

Z rozkoszą posłyszał pierwsze uderzenie nasypu skalistego w głowach swego posłania, w przekonaniu, że przyszedł kres jego cierpieniom i ta ściana zdruzgotana stanie się mu grobem....

Atoli w miarę upływających tygodni, stan rzeczy dziwnie się zmienił.

Lodowiec raz jeszcze stanął, a jego podstawa szybko zamieniła się w ciecz pod wpływem upałów lipcowych.

. . . .

Pewnego rana Ulryk pędził jak szalony do wsi, co krok się potykając na biednych zreumatyzowanych nogach. Wpadł w ulice Grindelwaldu, krzycząc co sił:

— Pan Schuh powrócił!... pan Schuh powrócił!...

Przed hotelem Wielkiego Mnicha, utrzymywanym przez wnuków Moerena, cała banda turystów, gotujących się do wyjazdu na mułach, zasypała go żarcikami.

Rzeczywiście, śmiesznie wyglądał

z brodą zwichrzoną, rozczochranymi włosami; z oczu ciekły mu łzy a usta się śmiały.

Nie obeszło go to bynajmniej, tylko wciąż powtarzał na wszystkie tony:

— Pan Schuh powrócił... Powrócił!...

Ludzie poczynali się gromadzić, jedni drugich pytając, co to za pan Schuh, który tego starca pozbawił rozumu. On zaś, wciąż biegnąc, skierował się do domu szwajcarskiego, wyglądającego dostatnio, lecz dawniejszej daty. Stanąwszy przed nim znowu, bez przerwy wykrzykiwał:

— Panie syndyku!... panie syndyku!...

Daremnie kazano mu być cicho, mówiąc, że syndyk mieszka gdzieindziej.

On uparcie odpowiadał:

— Skoro ja wam mówię, że to mój syndyk, mój własny!

Po chwili okno się otworzyło i ukazała się głowa bardzo sędziwa.

— Dzień dobry, panie syndyku.. Jestem Ulryk Tagmer... Musisz zaraz... natychmiast musisz pójść powitać pana Schuha...

Stary urzędnik począł sięgać pamięcią. Coś błysnęło w jego zagasłem spojrzeniu — westchnął:

— Przypominam sobie to nazwisko... stoją mi przed oczyma te czasy; ale nie pojmuję, co znaczy twoja mowa?

— Ja wytłómaczę panu, panie syndyku... Podstawa lodowca Niższego wciąż topnieje a pan Schuh... pamięta pan?... pan Schuh?... co to przed laty zginął przy mnie, Ulryku Tagmerze?...

— Tak, wiem, odparł z powagą syndyk.

— Otóż pan Schuh osunął się do moich drzwi, razem ze swoją rozpadliną... Głowę ma odkrytą... Oh!... poznałem go odrazu... Zawsze ten sam... Spiesz, panie syndyku, śpiesz!...

Wstrząśnięty tą wiadomością nieprawdopodobną, stary syndyk jeszcze się wahał, szepcząc:

— Pan Schuh!... — bezmyślnie bełkotał... — Ulryk Tagmer!... Czego chcą odemnie te upiory?

I powracały mu do pamięci szczegóły tej zamierzchłej historyi, plącząc się z innemi okolicznościami, nie mającemi z tamtą najmniejszego związku.

— Muszę ja sam zobaczyć! — rzekł nareszcie; proszę zaczekać; zaraz zejdę.

* * *

Usunąwszy na bok starą sługę, której życzliwe gderanie słychać było aż na ulicy, wziął odwieczny kapelusz jedwabny, długą, ciężką laskę ze srebrną gałką i wyszedł. Przechodnie zatrzymywali się, nawołując ze wszystkich stron i udzielając sobie wzajemnie wiadomości najsprzeczniejszych.

— Prowadź mnie — rzekł syndyk.

— Pewno że poprowadzę, — zawołał Tagmer, — tak, ja pana poprowadzę!

I na zagasłej jego twarzy zajaśniał uśmiech tryumfu, gdy powtarzał te



O!... panie syndyku! — wyjąkał onieśmielony Tagmer, rzucając się w wyciągnięte ku sobie ramiona.

słowa zawodowe, pieszcząc niemi słuch, jako stanowiącemi dla niego zupełną rehabilitacyę publiczną.

Nie oglądając się na zgrzybiałego syndyka, głuchy na sypiące się zewsząd pytania, Ulryk puścił się krokiem pewnym i równym, jak niegdyś.

Świadkowie tej sceny, zaciekawieni, podążyli za nimi. Cała ta gromada w pełni sił młodości, nie mogła nastarczyć dwom starcom. Porównywano ich szerokie barki, dźwigające po sto lat życia. Nędzarza lata te pochyliły do ziemi, a syndyka jak gdyby jeszcze du mniej wyprostowały.

Starzec zdyszany, odetchnął dopiero w miejscu, które Tagmer wskazał ruchem imponującym. Pod lodową powłoką, poprzecinaną błotnemi i białawemi rysami, tkwiła ludzka głowa, cała zieleniała. Zamrożenie nie dopuściło rozkładu, zachowało kształty, młodość, nawet faworyty jasne trzymały się jeszcze skóry.

Tagmer zamierzył się motyką, grzmotnął w blok lodowy, odłamkami opryskując otoczenie. Wkrótce uwolnił całe ciało, wyciągnięte w lodzie jak w trumnie. Po dokonaniu tego z całych sił zawołał:

Panie syndyku, przetrząsnij kieszenie własnemi rękami!

Zniewolony energią Ulryka, starzec spełnił jego rozkaz. Wszyscy patrzyli na jego palce zesztywniałe, z trudnością rozrywające otwory w zmarzniętem suknie i kolejno wydobywające z nich: pęczek kluczy, garść drobnych pieniędzy, woreczek pełen złota i zegarek z cyframi R. S. świadczącemi o niezaprzeczonej tożsamości osoby.

Ulryk Tagmer, wyprostowany jak dąb, z dawną siłą podniósł głos na syndyka, którego plecy ugięły się pod ciężarem spokojnych słów jego:

— Czy jeszcze wierzysz, że jestem złodziejem? Miałbyś sumienie powtórzyć to wobec wszystkich tu zebranych?

Starego syndyka opuszczały siły, aż najbliżej stojący musieli go podtrzymać. Nareszcie osłabły, zwrócił się do obecnych, nie zdających sobie sprawy z tej niezwykłej sceny.

— Oto nieszczęsny Ulryk Tagmer! przemówił... Niestety, przyjaciele, przekonany byłem, iż spełniałem moje powołanie bez nagany. Wczoraj jeszcze byłem gotów umrzeć z sumieniem czystem i wolnem od wyrzutów. Dziś utraciłem spokój ostatnich dni moich... Ulryku, jutro już nie należy do nas, błagam cię tu na klęczkach, wobec tych szczątków opatrznościowych, abyś mi przebaczył moją niesprawiedliwość... Czy pozwolisz, bym cię uściskał?

— O!... panie syndyku!... — wyjąkał onieśmielony Tagmer, rzucając się w wyciągnięte ku sobie ramiona. Przez niezdarność żebraczą, zbrudził piękny kołnierzyk syndyka, świeżo wykrochmalony.

Wszakże stary sądownik z nałogu nie mógł się pozbyć stałej swojej myśli i zapytał:

— Słuchaj, czemu nie broniłeś się lepiej? W takich razach trzeba powoływać się djabli wiedzą na co! Nie dawać się... Oburzać...

— Cóż robić, — odrzekł Tagmer. — Zawsze byłem bardzo nieśmiały. Nieraz w życiu bardzo mi to szkodziło...

Paweł Hervieu.

Jak si Reginka w Zakopanego ożeniła.

(Humoreska).

Przez długi, ciemny korytarz zakładu Dra Chramca szedł p. Zarembajło, obywatel z Litwy, w zamiarze odwiedzenia p. Stanisława, obywatela z pod Radomia, narzeczonego swojej córki Maryli.

W mroku porannym — była ósma godzina — nie spostrzegł pokojówki wymykającej się z pod numeru trzy-

dziestego drugiego. właśnie z pokoju p. Stanisława.

Pokój zastał otwarty — ale pusty; przyszły pan zięć zbiegł prawdopodobnie do sali na śniadanie. Zaczekamy.

Usiadł na krześle przy stoliku — i w tej chwili wzrok jego padł na różowy liścik na teczce leżący. Z nudów więcej niż z ciekawości wziął go pan Zarembajło do ręki — był otwarty, a raczej złożony tylko, bez koperty.

List bez koperty — to nie tajemnica... A przytem taki różowy, woniejący, — no! to już chyba miłosny! Jakże to? Narzeczony mojej córki odbiera miłosne bileciki?... A to ładnie! Otworzył, podniósł okulary na czoło, bo czytał bez szkieł — co to?

„Ginka czeka Stacha o dziewiątej na drugiej ławce... Jagiellońska. Pa!“

— Milion kołdunów, mospandzieju! Ginka!? Co za Ginka? Ten ciamajda niby takie niewiniątko poczciwe, udaje takiego zakochanego w Maryli, a za jej plecami, tu w Zakopanem, pod naszym nosem prowadzi sobie jakieś romansowe tajtum fajtum z Ginką!?

O czekaj ty cycysbeju!

Pan Zarembajło schował liścik do bocznej kieszeni surduta, zapiął się i porwawszy laskę z toporkiem, wypadł z pokoju.

W pierwszym impecie chciał lecieć do córki, otworzyć jej oczy na niegodziwość kochanego Stacha i — oczywiście — zerwać ułożone małżeństwo. Ba! Kobieta, matka — możeby tak zrobiła. Ale on? ojciec? mężczyzna?

Zwolna! zwolna! — zastanówmy się. Po pierwsze my mężczyźni, każdy tam gdzieś coś mospandzieju tego niby sobie czasem... Nie taka to zbrodnie przecie, tembardziej, że jeszcze nie po ślubie... Po drugie — kto wie? Może to jaka dawna znajomostka, dziś porzucona, próbuje zwabić go raz jeszcze?

Hm! mówić, nie mówić? Nie!

— Wiem co zrobię! — mruknął — pójdę sam na tę schadzkę, a tam już mospandzieju rozprawię się z tą panną Eugenią czy Reginą!...

Tak! to będzie najlepiej. Marylka mogłaby sobie za bardzo to wziąć do serca — Bóg wie, mogłaby mi zachorować, Panie broń — umrzeć!

— Pójdę, zobaczę, co się da zrobić.

I bez namysłu puścił się stroskany ojczysko Chramcówkami w górę ku Jagiellońskiej.

— Oho! — zawołał, widząc z daleka już drugą ławkę zajętą — patrzcie mospandzieju! dopiero kwadrans na dziesiątą, a panienka już czeka... Pilno widać... pilno!

Ciekawy zdążał spiesznie ku ławce — na której siedziało... dwoje ludzi.

Ona młoda, może szesnastoletnia brunetka z czarnemi oczami, skromnie ubrana — on taki sobie z waszecia.

— Cóż to? — pomyślał pan Zarembajło — przyszła z bratem na schadzkę?

— Można się przysiąść? — zapytał, kapelusza uchylając.

— Za co ni? prposimy! — odrzekła panienka.

Pan Zarembajło zdumiał się.

— Za co ni? prosimy! — odrzekła — ależ to żydówka!

— Tak, tak! obserwował dalej — i ten jegomość to izraelita. Więc Staszek z żydówką? Ha! czart wie, mospandzieju... bywa to! A Esterka Kazimierza Wielkiego? Ładna jucha bo jest!...

Po chwili nawiązał rozmowę.

— Ładna pogoda! Co?

— Niciego! — uśmiechnęła się panna.

— A panna już tak wcześnie na ławce? jeszcze do dziewiątej daleko! — dodał, patrząc jej bystro w oczy.

— Nu co? rano lepi, bo nima gorąco.

— Tak? hm... zapewne.

Jakoś nie zmieszała się wcale. Ale poczekaj ty jakaś!

— A jak też panience na imię?

— Regina.

— Aha! Regina... Ginka... Prawda?

I spojrzał znów badawczo.

— Nu tak! — odpowiedziała.

Pan Zarembajło nie spuszczając z niej oka zaczął szukać czegoś w kieszeni. Tymczasem ze znaczeniem cedząc wyrazy, syknął:

— A pisać panna umie?

Żydóweczka jakoś niespokojnie skubnęła sąsiada, który odpowiedział za nią:

— Nu to si rozumi, co umi.

— Tak? a pan kto jesteś?

— Ja jestem narzeczony tej panny.

— Milion kołdunów! — rzucił się pan Zarembajło — to panna tu przyszła z narzeczonym?

— Nu co jest? za co ja nie miała przyjść z narzeczonym?

— I on na to pozwala?

— Co to pozwala? Un mnie sam prosił!

— Doskonale! tak sobie nic z tego nie robi! No! no!

— Jakto nic nie robi? Co ma robić? przecie dzisiaj sobota!

— Aha... w sobotę to wolno? nie wiedziałem.

Wyjął list.

— A to... panna wie co to jest?

Dziewczyna spojrzała zdziwiona, ale nie zmieszana.

— Co ma być? jakiś list.

Zarembajło niespokojnie śledził jej oczy i zdumiał się.

— Nie! szepnął sobie w duchu — przemądra żydowica, tak się nie da nic zrobić, bo się wyprze. Zresztą, skoro narzeczony pozwala...

Wtem myśl jak błyskawica przemknęła mu przez głowę.

— Więc państwo się pobieracie?

— Nu... myby chcieli... ale jeszcze nie można.

— Dla czegoż to?

— Bo mój narzeczony potrzebuje do interesu pięćset guldeny, a mój tate daje ino trzysta. To ja przyjechała z Nowego Targu tu do moje ciocie do handlu i sobie zarabiam pięć ryński na miesiąc.

— Tam do licha — mruknął Zarembajło — to długo potrwa... A jabym bardzo chciał — dodał głośno — żebyście się jeszcze tego miesiąca pobrali.

— A co pana na tego zależy? — spytał podejrzliwie żydek.

— Co mnie zależy? Nic! ale ja lubię czasem dobrze zrobić ludziom co się kochają. Słuchajcie... Ty panno, jeżeli mi przyrzekniesz, że nigdy już na żadnego mężczyznę nie spojrzysz prócz na swego męża, i jeżeli mi przyrzekniesz dziś natychmiast z Zakopanego wyjechać i jak najprędzej ślub zawrzeć... to wam dam zaraz te brakujące dwieście guldenów! Zgoda!

— Oj waj! — jęknęła radośnie panna.

— Pan sobie żartuje! — drżąc zawołał narzeczony.

— Daję słowo — huknął pan Zarembajło — ot! macie tu!

Wyjął z grubego pugilaresu cztery stokoronówki i trzymał w powietrzu.

— No! przyrzekacie?

— Przyrzekamy! — odwrzasnęli oboje, a panna porwawszy pieniądze, pociągnęła za połę narzeczonego.

— Ale dziś wyjechać natychmiast! — krzyknął za nimi uradowany obywatel.

— Zaraz już o ósmy czterdzieści! — zawołał już w drodze na dworzec kolejowy żydek.

Lecieli jak szaleni, żeby dopaść pociągu, który za dziesięć minut odjeżdżał. Po drodze pan Zarembajło widział jak sobie pukali palcami do czoła.

— Mają mnie za waryata — mruknął stary — ale ja zażegnałem biedę. Marylce nie powiem nic!

. . . .

Przed południem spotkał córkę z panem Stanisławem w parku zakładowym na jednej siedzących ławce, ale odwróconych od siebie i nachmurzonych.

— Hejże! — zawołał — a wam co mospandzieju usiadło na nosie?

Panna nie odrzekła nic, tylko bardziej jeszcze odwróciła się od narzeczonego.

— Gadajcie do milion kołdunów! — huknął ojciec.

— Proszę ojca — tłomaczył się młody — bo Maryla wmawia we mnie, że otrzymałem od niej rano list i nie przyszedłem na schadzkę... a ja żadnego listu nie dostałem.

— Bardzo proszę... posłałam go przez Zosię pokojówkę! Położyła go panu na stole.

— Nie widziałem, daję słowo!

Zarembajło palnął się pięścią w czoło.

— Wszyscy djabli! — ryknął — czy to nie ten list może?

Wyjął liścik różowy.

— A tak jest! — zawołała panna.

— Jakto? to ty pisałaś? Ależ m podpisana jakaś Ginka.... więc ja to panie tego... niechcący skonfiskowałem.

— Bo proszę ojca... Stach mnie nazywa swoją boginką, a czasem to tylko „Ginką" i ja dla tego tak się podpisuję!

Pan Zarembajło z rozpaczą wyciągnął zegarek... Zapóźno! Tamci odjechali przed dwiema godzinami!

— Ot cymbał ze mnie! — ryknął.

— Co ojczulkowi?

— Nic! opowiem wam to po ślubie! Chodźcie na obiad, bo już bębnią!

A. K.

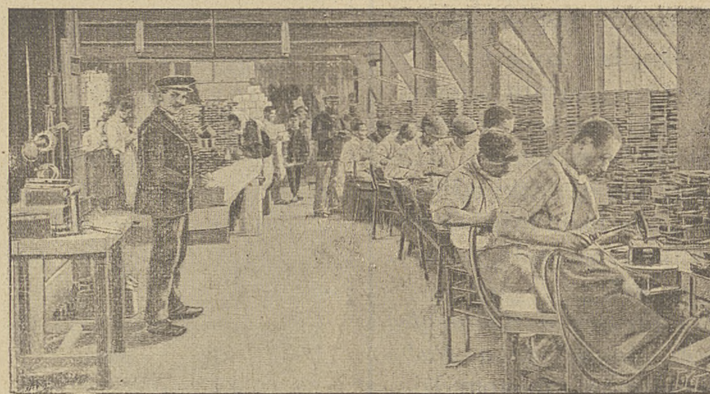
(*„Śmigus."*)



Sardynki.

Komuż nieznana jest ta rybka maleńka, rozpowszechniona po całym świecie jako przysmak, przystępny, dzięki swej cenie niskiej, zarówno dla bogacza, jak i dla mniej zamożnego. Rybka ta poławia się głównie przy brzegach Bretonii, Szkocyi, Danii i Norwegii. Sardynki bretońskie uważane są za najlepsze, ztąd też stanowią główne źródło zarobku dla ubogiej ludności, zamieszkującej skaliste wybrzeża, tego pełnego legend poetycznych, lecz nawskroś ubogiego kraju. Gdy sardynek zabraknie, gdy w mniejszej pojawiają się ilości, klęska to prawdziwa dla Bretończyka, głód wówczas zagląda do jego biednej chaty.

Niekiedy sardynki omijają bretońskie wybrzeża. Co lat 15 lub 20 znikają, aby następnie ukazać się w tem większej obfitości. W ciągu XIX w. opuściły prawie zupełnie wschodnie wybrzeża Szkocyi, od lat 20 pojawiają się w coraz mniejszej ilości przy brzegach Wandei i Morbihanu. Piętnaście lat temu opuściły Bretonię. Sardynka — to rybka kapryśna; żyje nie w głębinach morza, lecz na powierzchni, pomiędzy dwoma prądami, dość daleko od wybrzeży; lubi wody ciepłe, zimą więc odpływa na pełne



Przyrządzanie pudełek blaszanych.

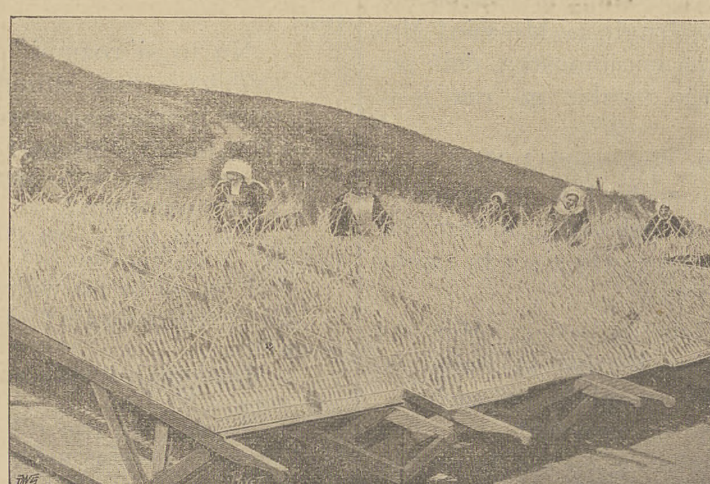
morze, gdzie temperatura jest wyższa, albowiem fale ochładzają się przy zetknięciu z brzegami; latem podpływa bliżej do lądu, gdyż wody są tam cieplejsze i bardziej pożywne.

Pożywieniem sardynek są wymoczki wodne, żywiące się pływającymi porostami; że zaś w ostatnich czasach porosty owe wyławiano z wody dla fabrykowania produktów chemicznych, przyczyniło się to do zniknięcia sardynek z nad wybrzeży.

O żarłoczności tej rybki dają pojęcie studya ks. Monaco. W jednej kiszce sardynki znalazł on dwadzieścia milionów wymoczków jednego gatunku, żyjącego tylko na pełnem morzu.

Błędnem jest przekonanie, jakoby sardynki odbywały wielkie wędrówki od równika do bieguna; w istocie robią one bardzo niedalekie wycieczki od brzegów ku pełnemu morzu i z po wrotem. Dowodzi tego umiejscowienie gatunków; istnieją odmiany sardynek najzupełniej odrębne, poławiane stałe w jednym punkcie, niekiedy dość ciasnym. Do obecnego zaniku tej rybki przyczyniło się niewątpliwie chłodne lato roku 1902, które wypłoszyło sardynkę z wybrzeży. Jedynym sposobem zapewnienia stałego połowu sardynek jest — nie czekać na nie, lecz szukać je na morzu. I gdy zamiast łodzi, krążących na przestrzeni 5—7 mil od wybrzeży, po sardynki wyruszy cała flotyla parowców i gonić je będzie na odległość 50—60 mil, wówczas połów będzie zawsze pewny; ale nie zapobiegnie to innej, palącej sprawie, a mianowicie nędzy rybaków, których jedynym środkiem utrzymania bywa sardynka, łowiona z łodzi, w pobliżu wybrzeży.

Gdy nie uda się połów sardynek, jak się to stało w ostatnich czasach, wówczas nietylko rybacy ponoszą straty dotkliwe; cierpi cała okolica, gdyż z połowem sardynek łączą się inne zajęcia, a mianowicie wyrób puszek blaszanych, przyrządzanie sardynek, pakowanie ich w pudełka, wreszcie roz-



Suszenie sardynek.

syłanie tego towaru w świat szeroki. Czynnościami temi zajmują się przeważnie kobiety, żony i córki rybaków bretońskich. W ostatnich latach zarobek ich wciąż się zmniejszał, od biedy jednak można się było utrzymać przy życiu. Dopiero klęska w roku 1902

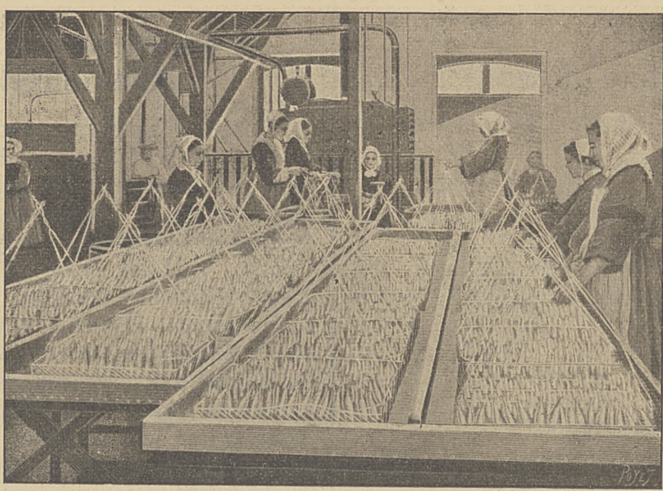
dała się naprawdę we znaki; fabryki — a przynajmniej przeważną ich część zamknięto, mnóstwo rodzin znalazło się bez sposobu do życia.

Fabryk, zajmujących się przyrządzaniem sardynek znajduje się wielka ilość na wybrzeżach Bretonii. Są to zakłady nie zbyt wielkie rozmiarami, zatrudniające po kilkadziesiąt osób, przeważnie kobiet.

Główną kwestyą dla fabrykanta jest wybór rybek, które nie mogą być ani zbyt małe, ani też za duże, jedne bowiem i drugie uważane są za towar gorszego gatunku i nie znajdują chętnych nabywców. Często też zdarza się, że pomimo połowu bardzo obfitego, cena sardynek jest wysoka, a to dla tego, że rybacy dostawili za mało towaru odpowiedniej wielkości. Fabrykanci w takich razach wzajemnie licytują się przy nabywaniu świeżych rybek. Z drugiej strony zaś, sardynka, jeżeli ma być dobrze przyrządzona, musi być świeżą. Dłuższa podróż z pełnego morza do brzegów wpływa na nią ujemnie; ztąd też najbardziej poszukiwane są sardynki, poławiane przez rybaków tuż przy brzegach i bezzwłocznie oddawane do fabryki.

W fabryce robota idzie z możliwie największą szybkością, aby w jak najkrótszym przeciągu czasu załatwić się z sardynką, która na powietrzu psuje się szybko. Ztąd to właśnie pochodzi tak wielka liczba fabryk na wybrzeżu. Niejeden właściciel ma ich kilkadziesiąt, rozrzuconych w różnych punktach, ażeby z towarem świeżo złowionym jak najprędzej się załatwić. Żadna z tych fabryk nie zakupi w ciągu dnia więcej rybek, aniżeli można w ciągu tegoż samego dnia przyrządzić i w puszki zapakować. Tylko w takim terminie czasu przyrządzona sardynka może być uważana za świeżą.

Jest wprawdzie sposób przechowywania nieprzyrządzonych jeszcze sardynek przez czas nieco dłuższy; posługują się nim fabryki pośledniejsze: mają one wielkie kadzie z wodą morską, sztucznie jeszcze „dosoloną“, w kadziach takich sardynka może pozostawać przez cztery lub pięć dni bez obawy, że się zepsuje. Ale smak jej traci wiele, staje się mniej delikatnym. Ztąd też sardynki takie uważane są za gorsze i sprzedają się taniej. Gatunek ten fabrykanci wysyłają na specyalne zamówienia kupców, którzy go przeznaczają dla ludności uboższej, mniej wybrednej, lecz poszukującej towaru taniego.



Gotowanie sardynek w oliwie.

Przygotowywanie sardynek przechodzi mniej więcej następujące okresy: przedewszystkiem towar nabyty od rybaka podlega starannemu sortowaniu; wszystkie rybki zepsute lub choćby tylko uszkodzone, odrzuca się, jako niezdatne do użytku. Następnie odbywa się oczyszczanie; polega ono na odcięciu głowy sardynce i na wyjęciu wnętrzności. Załatwiają to kobiety, a dochodzą przy tej pracy do tak wielkiej wprawy, iż czynność ta przy każdej rybce nie zajmuje więcej nad 3—4 sekundy. Z kolei następuje płukanie rybek i suszenie; to ostatnie odbywa się na siatkach drucianych, specyalnie urządzonych, tak, że każda rybka leży oddzielnie. Siatka ma odpowiednio urządzone druty z boków, aby ją łatwo można było przenosić. Suszenie odbywa się na powietrzu; w razie niepogody czynne są suszarnie, ogrzane gorącem powietrzem.

Po wysuszeniu, siatki wraz z rybkami zanurza się w kadziach z gorącą oliwą. Jest to najważniejsza czynność w przyspasabianiu sardynek.

Sardynki ugotowane układa się w puszki, poprzednio jednak jeszcze raz się je sortuje na dwa gatunki: gorszy i lepszy. Ułożone w puszkach rybki zalewa się świeżą oliwą, poczem zaraz zamyka się puszkę i lutuje. Teraz jeszcze raz idą puszki do wrzącej wody, w której przebywają czas niejaki. Wyjęte, ochłodzone, oczyszczone, po nalepieniu etykiet, idą do ekspedycyi, zkąd w dużych skrzyniach rozchodzą się po świecie.

Zdawałoby się z opisu powyższego, że niema nic łatwiejszego nad przygotowywanie sardynek; a jednak jest to rzecz trudna, wymagająca ogromnej staranności. Niedokładne wysuszenie, zanurzenie sardynek w zbyt gorącą albo za chłodną oliwę, złe zagotowanie puszek — wszystko to może wpłynąć na zepsucie tego produktu.

Naturalnie, w przyrządzaniu sardynek wielce poważne ma znaczenie gatunek oliwy, użyty zarówno do gotowania jak i do zalewania rybek w puszkach. Pierwszorzędne firmy posługują się oliwą wyłącznie owocową (z oliwek). Oliwę, w której sardynki się gotuje, trzeba dosyć często zmieniać, nabiera bowiem szybko nieprzyjemnej woni. Firmy podrzędne robią rozmaite „oszczędności“; gotują rybki w oliwie gorszej (z bawełny), albo wcale nie gotują ich w oliwie, lecz tylko w wodzie. Rzecz prosta, sardynki takie są mniej smaczne — ale zato tańsze. Nic dziwnego: w średniej wielkości fabryce wychodzi rocznie 25,000 pudów oliwy.



Układanie sardynek w puszkach.

W ostatnich czasach wyrób sardynek ilościowo wciąż się zmniejsza. Fabryki, przygotowujące dawniej około 10-ciu milionów puszek corocznie, w

roku 1901-ym mogły przygotować tylko po 6 milionów, w r. 1902-im zaledwie po 2 miliony, a w r. 1903-im mnóstwo fabryk zamknięto z powodu braku surowego towaru.

W r. 1901-ym fabryki płaciły po 15—25 franków za tysiąc sztuk; w roku 1902-im cena ta doszła do 50 franków. Fabrykanci bretońscy jednak nie mogą podnosić ceny, obawiają się bowiem konkurencyi ze strony fabryk szkockich i norweskich, które zdobywszy raz rynek handlowy, jużby go nie opuściły. *G. C.*

Złote myśli.

Niczem nie gardzić, a wszystko miłować
I w prawdę wierzyć, choćby zagasła —
Z prawdy i piękna złote tkanki snować!
To moje hasła!

Józef Kościelski.

Humor i satyra.

H. K. T.

Trzy symboliczne takie zgłoski,
Co dziś są hasłem nienawiści,
W spuściźnie ery Bismarckowskiej
Wzięli za godło... hakatyści.
Z niemi w swych niskich żądz kapłaństwie
Naprzód pospieszną suną jazdą
W owem „bojaźni Bożej państwie“,
Jak zowią Niemcy swoje gniazdo.
Ich reakcyjna płynie barka,
Na niej kult pięści świeci przodem,
Zrodzeni z ojca są Bismarcka
I matki — chyba z . . . . . rodem.
W krzyżackim czynie, w każdem słowie,
Głoszą *vae victis**) wśród swych ziomków
I radzi z ojca potomkowie,
I ojciec kontent z swych potomków.

Wiarą ich żądze są germańskie,
A ich miłością innych zguba
I śmierć wszystkiemu, co słowiańskie,
To ukochany cel i chluba.
W moralnych pojęć zawierusze,
Gdy miłość dobra łatwo gaśnie,
Instynkty szpetne szczepią w dusze
I rozżarzają ludzkie waśnie.

Choć wielką złego jest potęga,
Już dziś się szerzą wieści głuche,
Że ich zwycięstwo w dal nie sięga:
Ono nietrwałe jest i kruche.
I niech świetlane te nadzieje
W słowiańskich sercach się kołyszą,
Że te trzy głoski kiedyś dzieje
Na czarnej karcie swej zapiszą.

*) Biada zwyciężcom.

A to, co mieli hakatyści
Za sławę, idąc rzeszą zwartą,
Gdy niecna praca się nie ziści,
Stanie się plamą niezatartą.
I kiedy los z tej ziemi zmiecie
Tych siewców złego i bez plonów,
H. K. T. znaczyć będą w świecie
Hańba Kulturze Teutonów.

* * *

Niezbity dowód.

— Nasz sąsiad musi być bardzo bogaty.

— Z czego to wnosisz?

— A, bój się Boga!... Ma trzy dorosłe córki, a jednak nie stroi ich, nie ciągnie na bale, rauty i nie wywozi do wód.

* * *

Sknera.

— Co to za sknera ten Chciwski, a taki drobiazgowy, taki pedantyczny!

— O tak, kiedy przyjdzie mu Bogu duszę oddać, to z pewnością zażąda rewersu.

* * *

Dobry interes.

— Bądź łaskaw doktorze, wstawić stróżowi mojemu cztery zęby.

— O to będzie pana kosztować 20 marek.

— Nie szkodzi, sądby mi kazał więcej zapłacić za ich wybicie.

* * *

Sam wpadł...

— Jak to się właściwie stało, żeś się ożenił z taką złośnicą?

— Płynęliśmy łodzią, uważasz; łódź się zachwiała, ona wypadła, ja ją wyciągnąłem...

— I sam... wpadłeś, biedaku!

* * *

Dobra rada.

— Pacyent: „Panie doktorze, po kolacyi czuję się zawsze tak osłabiony, że coś okropnego; co mam robić aby przy stole nie zasnąć?“.

Doktor: „Niech się pan zaraz położy do łóżka“.

* * *

Ubyło mu!

Pan Wojciech, co w Karlsbadzie był przez całe lato;
Sam wprawdzie nic nie zyskał — wydał córkę za to.
Śmiało więc dziś powiedzieć może, że z tą chwilą
Ubyło mu co najmniej ze sześćdziesiąt kilo.

Zagadka.

Nad Wartą, hej nad Wartą
Z chorągwią rozpostartą
Wciąż tęży wrok i słuch
A hasło jej: Czuj duch!

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 20-go b. m.

Rozwiązanie szarady z nr. 39-go:

Matematyka.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. W Langa, Ir. Kołaska (rozwiązanie wierszowane) Pelagia Sobczak, Jan Fabiś, Melania Matuszewska i Stanisław Janiszewski (Jeżyce), Maksymilian Maliński (Wilda), L. Ludkowski, *z prowincyi:* pp. Józef Kledecki z Gniezna, Ewelina Ruge z Krotoszyna, Ludwika Suwalińska z Koźmina, Władysław Barcikowski z Gostynia, St. Mikołajczak ze Śremu, Kazio Orchowski z Barcina, Jan Trafanowski ze Stęszewa, (rozwiązanie wierszowane), Marya Szulz ze Stęszewa, Zofia Dykczak, Helena Palczewska (rozwiązanie wierszowane) i Helena Banaszkiewicz ze Środy, Helena Werda z Wągrówca, Zofia Miłaszewska i Karol Krumka z Ostrowa, Franciszek Chytry z Kobylina, M. Brandecki ze Żnina, Stanisława Nowakowska z Leszna, N. Matuszewski z Wilatowa, Bronisław Kasperkowiak z Głuponia per Michorzewo, T. Mielcarski z Sobótki, Jadwiga Nowicka z Świerczyny pod Osieczną, Wincenty Kokociński z Siemianowic pod Kępnem, Aniela Wieczorek z Antonina, Marynia P. z Morzewa, Marya Parowiczówna z Wrączyna pod Czempiniem (rozwiązanie wierszowane) Fr. Nawrocka z Zabiczyna pod Rombczynem, Stefania Krzywosądzka z Lubostronia (rozwiązanie wierszowane) Wincenty Nęcki z Donaborowa, W. Budasz z Czeszewa, Józef Szperkowski z Pożarowa Józefa Spychalska z Roska, Piotr, Jahnz z Wielkich Krosin, powiat obornicki (rozwiązanie wierszowane) *z Prus Zachodnich*: pp. Julek Piskorski z Torunia, Antoni Cieszyński z Lubawy, Marya Niklewska z Barłożna, Domicyan Szczodrowski z Koźmina per Pogutken (?!) *z Górnego Śląska:* pp. Jadwiga Badura z Roździenia, Adolf Skaba z Świętochłowic, Wincenty Mainka z Kochłowic, *z Galicyi:* Jantek z Bugaja, Marya Zborowska z Andrychowa, Franciszek Lichwa z Pnikucia, H. Wodecki z Ropczyc, Anna Rejman z Łąki pod Strażowem (rozwiązanie wierszowane) *z obczyzny:* pp. Ignacowa Ciążyńska z Dortmundu, Fr. Ossowska z Grünewaldu, Ignacy Piotrowicz z Alstaden, Ludwika Bock, Antoni Jurkowski, Czesław Ciastowski z Berlina, A. Żelewska z Charlottenburga.

Nagrodę otrzymali pp: Bronisław Kasperkowiak z Głuponia, Julek Piskorski z Torunia, Ignacowa Ciążyńska z Dortmundu.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Rzeź Pragi.

Powieść historyczna przez **Teodora Tomasza Jeża.**

10)

(Ciąg dalszy.)

Przy tych słowach obecni spojrzeli po oknach, i w każdem oknie ujrzeli po dwa bagnety.

Sprawnik, przy pomocy kilku żołnierzy, rozpoczął rewizyę. Przechodził z pokoju do pokoju i przetrząsał wszystko, przewracał meble, zaglądał do szaf i po pod łóżka. W ślad za nim chodził gospodarz domu, usiłując znaleźć chwilę do potargowania się z nim o sumę wykupu. Nie mógł jednakże tej chwili znaleźć, a to dla tego, że sprawnik obliczał sobie, że jeżeli kogo znajdzie, to weźmie więcej, a jeżeli nikogo nie znajdzie, to będzie musiał kontentować się jakąś bagatelą. A właśnie w tym dniu miał jakieś przeczucie czy natchnienie, że bogaty zrobi połów. Szukał więc i przetrząsał.

Z kolei wszedł do sypialnego pani domu pokoju, i spotkał panią, wychodzącą z za parawanu, którym łóżko było zastawione, i z błagalnym na twarzy wyrazem, zbliżającą się ku niemu.

— Nie może... — rzekła po cichu do męża.

— Co, nie może?... — odpowiedziała pani.

— Moja siostra... — odpowiedziała pani.

— Alboż co, pani siostra?...

— Odbywa słabość... — rzekła pani cichym głosem. — Jest właśnie w bolach...

I westchnęła, a westchnąwszy dodała:

— Ach! mój Boże... — jak to się skończy...

— Uspokój się, moje życie... — perswadował jej mąż — tyle sama odbywałaś słabości... Masz przecież doświadczenie... To zwykła kobiet kolej, przez którą przechodzić muszą...

Sprawnik tymczasem zbliżył się do parawanu, zajrzał i na palcach odstąpił. Ujrzał tam dwie kobiety, z których jedna leżała w łóżku, okryta kołdrami i obwiązana, a druga, pochylona nad nią, obróconą była twarzą do chorej. Zasłyszał nawet ciche jęczenie.

Pospuszczano u okien firanki, dodawały pewnej uroczystości tej chwili.

Obejrzał się jednakże kapitan sprawnik po pokoju, i giestem kazał sobie otworzyć szafę. Otworzono. Przeglądał, i nic nie znalazł.

— Może pan kapitan każe otworzyć sobie komodę?... — zapytała pani, zawsze bardzo po cichu.

— Komodę!... — odparł sprawnik. — Czyż można do szuflady od komody schować człowieka!... Hm!... Ale proszę otworzyć...

Otworzono.

W szufladach kapitan sprawnik nie znalazł podejrzanych ludzi, ale szal tyftkowy, który chociaż nie był zabronioną przez rząd rzeczą, zwrócił jednakże na siebie uwagę urzędnika.

— Co za śliczny szal!... — rzekł, biorąc go do rąk. — Moja żona dawno mi suszy głowę, abym jej taki sam kupił...

— Niech służy żonie pana kapitana... — podchwyciła pani.

— O, dziękuję!... — bardzo dziękuję!... — zawołał sprawnik głośno...

— Cicho!... na miłość Boga!... — przerwała mu pani, ukazując palcem na parawan.

— Ach! prawda, zapomniałem... — szepnął sprawnik i na palcach wyniósł się z pokoju.

Szlachcic, od pierwszego wejścia do sypialni domyśliwszy się komedyi — bo dorozumiał się już zapewne czytelnik, że odbywającą słabość kobietą był jeden z naszych ułanów, a akuszerką drugi — z wyrazem wdzięczności spojrzał na żonę, a na sprawnika z miną trochę drwiącą, w której dawały się czytać te słowa:

— O, durniu, durniu!...

Nie powiedział mu jednakże tego. Przeciwnie. Z okazami wielkiej grzeczności, zaprosił go na herbatę, spoił jak belę śmierdzącym ale mocnym i umyślnie na traktowanie sprawników trzymanym arakiem, i wyprawił.

Po wyjeździe sprawnika, znów otoczono stół rodzinny, przy którym, uśmiawszy się do woli z durnia, słuchano jak poprzednio opowiadań wojskowych wędrowców.

Po takich i tym podobnych wypadkach, znaleźli się razu pewnego w jednym z lasów litewskich i brnąc po śniegu, szukali drogi, którąby ich, bądź do jakiej wsi, bądź do odosobnionego mieszkania ludzkiego wyprowadziła. Brnęli i nad wieczorem natrafili na drogę . Prowadziła ona w głąb lasu. Udali się nią i z daleka pomiędzy drzewami postrzegli blask płomienia, a zbliżywszy się, ujrzeli rozłożone wielkie ognisko, przy którem grzało się kilku ludzi. W ludziach rozpoznali litewskich chłopów, a pomiędzy nimi, grających role starszych, trzech moskiewskich żołnierzy, pomiędzy którymi jeden, najgłośniej i najrezolutniej odzywający się, był wyraźnie ze starszych najstarszym. Opodal od nich, na polanie, stało kilkoro sani, a za saniami, w gęstą kupę zbitych kilkadziesiąt wołów.

— Hej!... cóż!... nie będzie wody... Skórę z mużyków pozdzieram, jeżeli nie będzie wody...

— Jeszcze nie wrócili ci co poszli... — odpowiedział mu młodszy...

— W tej przeklętej Polszczy nawet wody nie ma!... Wódka jest, a wody nie ma!... Ha-ha-ha!... — wołał pierwszy.

Kilka tych wyrazów naprowadziły wędrowców naszych, którzy nie widziani, widzieli co się dzieje i słyszeli co się mówi, na treść potrzeby, w jakiej znajdowało się przyogniskowe towarzystwo.

Ognisko było rozpalone, obok leżały kociołki i wór z krupami hreczanemi: widocznie chodziło o to, ażeby z tych krup zrobić kaszę, i do tego brakowało tylko wody.

Postali jeszcze przez chwilkę, widzieli jak posłani chłopi jeden po drugim powrócili, i jeden po drugim zwiastowali fatalną wiadomość, że:

— Chodziliśmy daleko, ale nigdzie nie znaleść wody...

Stary Moskal klął najdosadniejszemi narodowemi klątwami. Kiedy się w największym klątewnym znajdywał zapale, stanęli przed nim Stanisław i Jan. Ten ostatni, pozdrowił go po moskiewsku.

— A ty, co za włóczęga?... — zapytał go gniewnie stary Moskal.

— Et, idziemy światem i szczęścia szukamy... — odrzekł mu Jan. — Zobaczyliśmy wasze ognisko, i przyszliśmy pograć się i, jeżeli co potrzeba, poradzić wam, panowie podróżni...

Moskal zaczął łajać w ojca i w matkę, sklął kości ...

dziadów i dusze prababek i w końcu oświadczył, że jedyną obecnie potrzebą jest woda.

— Bo wódka jest — mówił i klął — ale wody nie ma... A nie ma wody, to nie ma i kaszy...

— My umiemy różne sztuki... — odparł Jan — to i w tej potrzebie zaradzić potrafimy...

— Radź!... — krzyknął Moskal — to cię potraktuję kaszą...

Jan pochwycił kociołek, zagarnął śniegu i postawił przy ogniu, — śnieg topniał a on dorzucał coraz świeżego i wkrótce kociołek napełnił się wodą.

Prosta ta operayca zdumiła Moskali.

— Ekatie! — krzyknął stary — Wot umnica (oto mędrzec)!...

Jan nie dał siebie prosić, ale uprzedzając wszelkie prośby, sam się rozgospodarował. Ugotował kaszę i jakby on traktował, zaprosił do kociołka Moskali i chłopów i Stanisława, i przytem dogadywał, prawił facecye, że całe towarzystwo w ciągłej utrzymał wesołości.

Wystąpiła wódka. Moskale podjedli sobie i podpili, a podjadłszy i podpiwszy, starszy się odezwał:

— Ej, szkoda! że naszego Griszy nie ma... On sławnie grał na skrzypce... Jak tylko jeden drugi palnął kieliszek, to zaraz do skrzypki, i grał, ale tak, że się aż dusza radowała... Ej, szkoda go...

— Gdyby była skrzypka... — przerwał Jan.

— Skrzypka to jest... — podchwycił Moskal — ale Gryszki nie ma... Skrzypkę my zabrali, a on... poszedł!...

— Jeżeli skrzypka jest... — odparł Jan — to nie ma co Gryszki żałować... Dajcie no ją tu...

— E!... — odezwał się Moskal z niedowierzaniem. — Miałżebyś ty i na skrzypce umieć grać...

— Nie ja... — odrzekł Jan — ale mój towarzysz...

— Co! ten niemowa!... — krzyknął Moskal zdziwiony, a potem zapytał:

— Czy on niemowa, że siedzi, jak bałwan?...

— Nie to... — rzekł Jan, nastrajając minę półtajemniczo — on trochę przygłupowaty... Mówić nie umie, ale grać potrafi.

— He! dajcież jemu skrzypkę...

Na ten wyraźny rozkaz starszego, wręczono Stanisławowi jakieś liche skrzypce i on je podstawił i grał. Moskale rozmarzeni wódką, poczęli śpiewać. Stanisław grał, albo raczej rzępolił — bo bynajmniej nie był artystą — mazury, krakowiaki i obertasy, a oni śpiewali zaliwne moskiewskie pieśni, które echo roznosiło po lesie. I tak się rozrzewnili i rozochocili, że starszy rzekł do Jana:

— Ot, bylibyście nam dobrymi na towarzyszy... A gdzie was Pan Bóg prowadzi?...

— W świat, za szczęściem... — odparł Jan...

— A my idziemy z kaziennem (skarbowem) bydłem do Arszawy...

— Ot... — dodał Moskal po chwili — macie iść w świat, to idźcie z nami do Arszawy... Arszawa to wielkie miasto... Może tam szczęścia dogonicie... A jeżeli nie dogonicie, to przynajmniej zobaczycie świat... A goły rozboju się nie boi: nic tam nie stracicie...

Stanisław i Jan spojrzeli po sobie i zamienili ze sobą uśmiechy zadowolenia; nic bowiem nie mogło być dla nich pożądańszego nad tę propozycyę ,która im niby z nieba spadła . Dostać się do Warszawy — to było ich jedynem życzeniem, i oto życzenie owo stawało przed nimi w postaci takiej, że spełnienie onego stawało się zupełnie możliwem. Jan więc podrożył się zrazu dla formy, a w końcu przystał.

I ruszyli.

Nie będę opisywał kolei podróży, długiej i powolnej zwyczajnie za wołami. Chłopi-poganiacze mieniali się od etapy do etapy, a żołnierze moskiewscy i nasi ułani byli wciąż jedni i ciż sami. Jan pełnił funkcyę kucharza i zarazem furyera, Stanisław muzykanta. Pierwszy gotował, nie tylko kaszę, ale umiał przyrządzić różne pieprzne i słone przysmaki, które dziwnie łechtały moskiewskie podniebienia, i wielkie pragnienie do wódki budziły, drugi poduczył się moskiewskich zaliwnych pieśni i zachwycał swojem graniem swoich słuchaczy.

— Ej! jakże tu Bogu nie dziękować, kiedy on takich nam posłał towarzyszy!... — powtarzał często najstarszy z nich.

Moskale dziękowali Bogu ze swojej, a zbiegi nasi ze swojej strony. I ci ostatni mieli zdaje się większą racyę: bo cel ich życzeń się spełnił.

Pewnego wieczora stanęli noclegiem pod Pragą, a na drugi dzień weszli za wołami do Warszawy.

Warszawa była już w owym czasie zajętą przez Moskali, lecz demarkacyjna, ku zachodowi wysunięta linia wojskowych ich posiadłości nie przekraczała jeszcze miejskiego stolicy Polski obwodu. Po za okopami Warszawy kraj był nieprzyjacielskim, do którego tylko podjazdy zaglądały, niekiedy, zaglądały, dosięgając zaledwie Błonia, Raszyna, a Sochaczów, Biała, a dalsze okolice były już dla nich niedostępnemi. W Warszawie było im ciasno, ale jakoś się mieścili.

Na drugi dzień po przybyciu do Warszawy, nasi ułani, mieli zaszczyt oglądać oblicze jego wysokoprewoschoditielstwa jenerała intendenta armii, który osobiście raczył lustrować woły i wybrał z nich cztery najlepsze dla siebie. Jana spotkał jeszcze jeden zaszczyt. Jenerała intendenta konie, za kradzione kupione pieniądze i kradzionym tuczone obrokiem, rozbrykały się, ściągnęły woźnicę z kozła, i głowę mu rozbiły, jenerał uszedł cało, a to z tej przyczyny, że Janowi udało się w czas poskoczyć i pochwycić za lejce, a następnie wskoczyć na kozioł i ułagodzić rozhukane konie.

Jenerał z dziesięć tysięcy sukinsynów i innych dobitniejszych klątw wysypał na potrzaskaną głowę swego woźnicy, a Jana pochwalił łaskawie i bez ogródki powiedział do niego:

— Eka maładiec... Byt' tebie kuczerom u menia. — (Otóż zuch... Będziesz u mnie woźnicą)...

Jan podziękował i udając nieśmiałość, oświadczył, że ma przygłupowatego brata, z którym rozstać się nie może.

— Cóż z tego!... — podchwycił jenerał — twój brat będzie gnój ze stajni wynosił i kucharzowi rądle czyścił....

Tak tedy na pierwszym wstępie do Warszawy ułani nasi, którzy od czasu ucieczki swojej z niewoli, pełnili funkcye to moskiewskich szpiegów, to kobiet w słabości, to akuszerek, to poganiaczów, to muzykantów, instalowali się u moskiewskiego jenerała, jeden jako woźnica, drugi jako kuchta.

Stanisław znał Warszawę, i był w niej znanym. — Zmieniły go wprawdzie trudy i strój, zarósł, poczerniał, nie zmienił się jednakże tak, aby go nie można było poznać. Mógł być poznanym co chwila i niespodzianie, i dla tego musiał udawać głupca i pilnować kuchni i stajni jeneralskiej. Jan zaś, nie znany w Warszawie, śmiało występywał. Przestrojonym został w aksamitny, ciemnozielonego koloru kaftan, w aksamitną wielką, na bok zwisającą, czworograniastą czapkę i woził jenerała, który był z niego bardzo kontent.

— Hej!... — chwalił się przed swoimi — otóż teraz dostałem woźnicę... Sam imperator takiego nie posiada...

Bezpiecznie było naszym zbiegom u jenerała a starszy Moskal, który bydło przypędził, i jego towarzysze, dowiedziawszy się o karyerze Jana, winszowali mu:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Klucz.

— Policya francuska, ogólnie biorąc, odznacza się inteligencyą: można nawet powiedzieć, że przymiot ten wychodzi jej raczej na szkodę, aniżeli na pożytek; zaplątuje ją w zbytnią drobnostkowość. Podczas mej długoletniej czynności umyślnie nieraz abstrahowałem moje zdolności umysłowe. Zamykałem oczy na zwodnicze teorye, które podniecając wyobraźnię, zasłaniają przed wzrokiem rzeczy ważniejsze.

— I ja również doświadczałem czegoś podobnego — odezwał się matematyk Sornet — przy algebrze i geometryi, gdy zagadnienie jest dobrze zdefinowane, subtelizowanie rozumowe sprowadza częściej z prawdziwej drogi, aniżeli przyjdzie z pomocą. Należy przyjąć dane bezkrytycznie i nie wychodzić po za nie.

Pan Pantoux, zadowolony ze zgodności swych poglądów z poglądami sławnego profesora, spokojnie podjął dalej:

— Owa sprawa o zabójstwo pana Bedora i podwójne morderstwo z Milly, są i pozostaną, jestem najmocniej przekonany, najlepszym dowodem tego, co utrzymuję. W sprawach kryminalnych jeden fakt stwierdzony wart więcej, aniżeli dziesięć przypuszczeń. Na ulicy Saint-Maur jakiś człowiek wyszedł, chociaż nie widziano, żeby tam wchodził poprzednio, w Milly, pewien mężczyzna wypił szklankę wina, zanim zbrodnia została dokonana: oto jedyne wskazania, których ja osobiście chciałem się trzymać w tych sprawach. Następnie nie przeczę, że psychologia danych osobników nie jest bez znaczenia w tych wypadkach; lecz nie pozwalałbym sobie na żadne przypuszczenia, któreby się nie opierały na tych dwóch okolicznościach. Pozwolę sobie opowiedzieć panu, w jaki sposób odkryłem zabójcę w sprawie na ulicy Rennes, wypadek analogiczny do tych, o których mówimy.

Przypominasz pan sobie zapewne w ogólnym zarysie tę historyę?

Pewnego październikowego ranka służąca pani Ramille znalazła w przedpokoju leżącego na ziemi trupa pana Ramille. Rzuciła się do drzwi, chcąc zawołać o pomoc, lecz te były na klucz zamknięte, po chwili dopiero spostrzegła klucz, rzucony obok trupa.

Przerażona dziewczyna wpadła do pokoju swej pani i zamknęła drzwi po za sobą, przekonana, że zabójca znajduje się jeszcze w mieszkaniu. Za chwilę przez otworzone okno, wychodzące na ulicę, obie kobiety zaczęły wzywać pomocy. Zbiegło się sporo ludzi i jedni rzucili się na schody frontowe, drudzy na kuchenne. Tak pani Ramille, jak i jej służąca, nie chciały drzwi otworzyć z obawy przed ukrytym w mieszkaniu zabójcą. Wezwano więc ślusarza i ten dopiero otworzył drzwi frontowe a następnie kuchenne.

Oczom wszystkich przedstawił się widok trupa z raną od kuli rewolwerowej w skroni, a obok niego klucz, który mógł wypaść z ręki zmarłego. Pomimo jak najstaranniejszych poszukiwań w mieszkaniu, nikogo nie znaleziono.

Ani komisarz policyi, ani naczelnik bezpieczeństwa, ani sędzia nic nowego nie dodali dla rozjaśnienia tych danych, jedynie szczegóły podane przez dozorczynię domu rzuciły pewne światło na tę tajemnicę. Zeznała ona w istocie, że pan Ramille, podług swego zwyczaju, powrócił z klubu o pierwszej godzinie po północy. Posłyszała samochód zatrzymujący się przed bramą i na pierwszy odgłos dzwonka, pociągnęła za sznurek. Pan Ramille zamknął za sobą drzwi i, jak zwykle, słyszała oddalające się jego kroki na schodach, poczem momentalnie prawie zasnęła. W kilka minut potem, zażądano znów otworzenia drzwi. Była pewną, że rozpoznała dobrze głos człowieka, który wychodził. Był nim dawny służący, z pierwszego piętra, a narzeczony pokojówki pani Ramille.

Sprawa posunęła się trochę naprzód, sprawdzono, że samochód, o którym była mowa, należał do teścia pana Ramille'a. Po wyjściu z klubu, odwoził on go do domu. Z pełnem boleści zdziwieniem dowiedział się pan Copal o śmierci swego zięcia i przyznał zupełną dokładność zeznaniom dozorczyni domu, co do szczegółów jego osoby się tyczących. Musiał zająć się przyprowadzeniem do porządku jednego z hamulców, który się obluzował i, po jakich pięciu minutach, odjechał. Dla tego też nie widział człowieka, który wyszedł po jego już odjeździe.

W rezultacie, nie było nic pewnego co do owego indywiduum. Pokojówka ze swej strony, nie chciała się przyczynić do rozjaśnienia tej sprawy, zapierając się wszelkich stosunków miłosnych, lecz przyparta do muru zeznaniami dozorczyni, zaczęła bronić swego narzeczonego z niezwykłą energią.

Opierając się na tych faktach postawiła policya następującą hypotezę: narzeczony pokojówki, zazdrosny o pana Ramille'a, zabił go a ona ułatwiła mu ucieczkę.

Teorya ta miała wiele stron ciemnych, lecz uczepiono się jej, ponieważ wszelkie inne wyjaśnienia okazały się niemożliwemi.

Przedpokój był w znacznem oddaleniu od pokoju pani Ramille, to tłomaczyło, iż nie posłyszała ona wystrzału. To samo odnosiło się i do sąsiadów. Nieobecność zaś broni usuwała możliwość samobójstwa.

Zamknięcie drzwi na dwa spusty, klucz znaleziony w przedpokoju, zeznanie odźwiernej, wszystko to naprowadzało na domysł, że nikt z panem Romille'm nie wszedł i nie wyszedł przez frontowe schody. Żadna kradzież nie została popełniona. Dodajmy do tego zmieszanie pokojowej, gdy zapytano o jej stosunek do pana Ramille'a. Trudno też było uwierzyć, że nie słyszała ona wystrzału rewolwerowego, jeśli nie spała, ponieważ zamykała za swym narzeczonym drzwi, wychodzące na schody, kuchenne.

— Prawdziwie! zawołał profesor Sornet, z faktów, opowiedzianych nam przez pana, zupełnie logicznymi wydają mi się wnioski, wyciągnięte przez policyę.

— Tak, odparł poważnie Pontoux, ja też właśnie krytykuję tu samą logikę wnioskowania a nie jego przesłanki.

— Jednakże — odezwał się generał Verdier, którego opowiadanie to zajęło — władze oparły się na podstawie faktów.

— Tak, na podstawie faktów — odrzekł Pontoux — lecz niektóre z tych faktów były w sprzeczności z innymi; zwrócono się do psychologii, żeby je umotywować. Wezwany, trochę zapóźno, przez dyrektora policyi, który polecił mi odszukanie podejrzanego służącego, powiedziałem mu, po przejrzeniu pobieżnem rozpoczętego śledztwa, że podejmuję się bądź co bądź dostawienia mu zabójcy. Uśmiechnął się on na to, widząc w tym razie tylko upór i zarozumiałość starego policyanta. Tymczasem doszedłem do przekonania, które wydało mi się jedynie racyonalne.

— Ciekaw jestem poznać je — rzekł Sornet — gdyż słabo przypominam sobie ten dramat, a zresztą najważniejszą tu dla mnie jest metoda pańska.

— Oto ona w całej swej prostocie — odparł Pontoux. — Oparłem się tylko na jednym fakcie, niewątpliwym, że nikt nie słyszał wystrzału rewolwerowego.

— Rzeczywiście? — zawołał generał — ależ to fakt negatywny, do czegoż on mógł panu posłużyć?

— Posłużył mi do ustalenia przekonania, również negatywnego, że służący nie mógł być tu winowajcą. Zresztą domniemana wina służącego opierała się jedynie na tem stwierdzeniu, że tylko on jeden wyszedł z mieszkania, po wejściu tam pana Ramille'a. Pomijając nawet zezn

odźwiernej, klucz, znaleziony w przedpokoju, dowodził tego aż nadto.

Za punkt wyjścia wziąłem właśnie ów klucz przy rozpoczęciu mego badania. Trwało ono dwa dni. Trzeciego, gdy jadłem śniadanie, dyrektor policyi wezwał mię do telefonu:

— Zaprzestań pan już swych poszukiwań — rzekł do mnie — winny siedzi w mym gabinecie.

— Czy się przyznał? — zapytałem ironicznie.

— Nie, lecz zmieszanie jego jest znaczące.

— Bardzo pięknie — odrzekłem — jednak, gdyby pan zechciał mi zaufać, wypuściłby go pan na wolność.

— Czyżbyś pan pojmał winowajcę? — przedrwiwał dyrektor policyi.

— Oczywiście.

— W takim razie pragnę go bardzo zobaczyć.

— Nic łatwiejszego; proszę zatrzymać swojego, a około godziny trzeciej ja przyprowadzę swojego ze świadkiem.

O godzinie trzeciej wszedłem do gabinetu dyrektora w towarzystwie wstrętnego włóczęgi w oberwanym surducie i pana Copal'a, teścia pana Ramille'a.

— Zaprosiłem pana Copal'a — rzekłem — był on świadkiem opowiadania o dramatycznych okolicznościach, przy jakich zięć jego śmierć poniósł, może więc wykazać mi omyłki, jeśli jakie popełniłem.

Pan Copal był rosłym i tęgim mężczyzną, atletą z wyglądu. Cieszył się opinią dobrego i szlachetnego człowieka i był w dobrych stosunkach ze swym zięciem, którego przypuścił do swych interesów. Córkę swoją uwielbiał i bez wahania zgodził się na jej małżeństwo z panem Ramille, chociaż ten był ubogim.

Po udzieleniu tych wstępnych objaśnień obróciłem się do pana Copal'a, który skinieniem głowy je potwierdził.

— Pan Copal był bardzo przywiązany do swego zięcia i między innemi posługami mu wyświadczonemi trzeba podkreślić zwyczaj odprowadzania go do domu po wyjściu z klubu. Blisko sześć miesięcy temu nabył pan Copal samochód i nauczył się sam nim kierować. Gdy znane są już nam te szczegóły, przystępuję teraz do tego, co się zdarzyło w tej nocy zabójstwa. Usilnie tylko proszę pana Copala o powstrzymanie mię, gdy zboczę na fałszywą drogę. Pan Ramille przegrał w klubie dwa tysiące franków, sumę dość wysoką, której w całości nie miał przy sobie, teść więc ją dopełnił. Poczem obaj panowie, wyszedłszy z klubu, wsiedli do samochodu. Przy wylocie placu Carrousel, samochód zatrzymał się. Przypuszczam, że stało się coś z hamulcem.

— W samej rzeczy — rzekł pan Copal — i dlatego to, jak już mówiłem, zamarudziłem z pięć minut czasu pod bramą mego zięcia dla poprawienia go.

— Ależ znamy wszystkie te szczegóły — rrzekł z pewną niecierpliwością dyrektor policyi i nie widzę, jaki to może mieć związek z zabójstwem pana Ramille'a.

— Otóż, podchwyciłem, jest to okoliczność, do której wielką przywiązuję wagę, ponieważ ona jest wiązadłem zbudowanego przezemnie rusztowania poszlak.

— Naprzykład — zaśmiał się dyrektor policyi.

— Pan Copal zatrzymał swój samochód, lecz zatrzymał go właśnie za pomocą hamulca.

To mówiąc, zwróciłem się do pana Copala.

— Z całą dokładnością pan mówi, lecz kto panu udzielił tych szczegółów?

— Niech pan nie zapomina, że na placu Carrousel jest posterunek policyjny. Zauważono, iż motor pańskiego samochodu z wielkim hałasem działał w dalszym ciągu.

— Zupełna prawda — rzekł pan Copal.

— Wtedy to — ciągnąłem — pan Copal wyjął z kieszeni rewolwer, przyłożył go do skroni swego zięcia i wystrzelił!

Zdawało się, że i ja w tej chwili wystrzeliłem, tak to zakończenie było niespodziane.

Dyrektor policyi zerwał się, rzucając mi pełne wymówki spojrzenie. Bladość śmiertelna pokryła twarz pana Copala. Próbował zapanować nad sobą; chrapliwy dźwięk wydobył mu się z gardła:

— Ja! — wybełkotał.

— Huk wystrzału zmieszał się z łoskotem maszyneryi samochodu. Pan Copal dojechał na ulicę Rennes, nie omieszkując na moście Saints-Peres rzucić do rzeki broń, przed chwilą użytą.

— Ja tam byłem — zawołał żałośliwie włóczęga. — Spałem pod tym mostem.

— Pan Copal zadzwonił. Drzwi się otworzyły, zaniósł trupa pana Ramille'a do przedpokoju. Wyszedł następnie i zamknął na dwa spusty drzwi za sobą. Ponieważ zaś drzwi od ulicy zostawił niedomknięte, wyszedł więc niezauważony przez nikogo. Drzwi te zostały zamknięte dopiero za wychodzącym narzeczonym pokojowej.

— A klucz? — spytał dyrektor policyi.

— Zauważył pan zapewne, że klucz ten był zupełnie płaski; z drugiej znów strony, szpara między podłogą a drzwiami umożliwiła wsunięcie go do mieszkania. Czyż nieprawda, panie Copal?

— Nie! nie! — szepnął on głosem coraz bardziej zmienionym.

— Pan dyrektor policyi aresztował służącego, posądzonego o morderstwo. Czy chcesz pan zostawić niewinnego w rękach sprawiedliwości?

Pan Copal podniósł się, odzyskał nagle panowanie nad sobą.

— Zięć mój — wyrzekł — był ostatnim nędznikiem. Nietylko, że nas oszukiwał, niemal skompromitował, nie tylko okradał moją kasę i oszukiwał przy grze w karty, lecz nad wyraz wszelki unieszczęśliwił moją córkę.

— I o tem wszystkiem dowiedziałem się również, — rzekłem — i dla tego też mam nadzieję, iż sędziowie okoliczność tę wezmą pod uwagę.

— I w istocie, przypominam sobie, — zawołał pan Sornet, — że pan Corpal został uniewinniony. Przypuszczam, panie Pontoux, że po tak znakomitem wyjaśnieniu sprawy, zwierzchnia władza państwa laurowym wieńcem ozdobiła głowę pana?

— Mało pan zna ludzi, — odparł łagodnie Pontoux, — przeciwnie, stałem się jucznem bydlęciem tych panów.

J. H. Rosny.

Czerwony znak.

5) Z włoskiego tłumaczył **A. P.**

— Powiem panu więc szczerze, — mówił Hamilton dalej, że chorobę pana poznałem oddawna. Symptoma zdenerwowania są widoczne, i wymienię panu zaraz ich przyczyny. Po pierwsze, panie Cevanci, czujesz się ogromnie przygnębiony faktem, że Alfredo Garcia, ów nieszczęśliwy człowiek, agent tajnego związku, zamordowanym został w twoim domu.

Stary Włoch zadrżał a twarz jego stała się nieomal siną. Milczał jednak ciągle, Hamilton zaś, widząc, jakie wrażenie wywarły słowa jego na nim, zaczął znowu po chwili:

— Garcia ściągnął na siebie podejrzenie a raczej niezadowolenie swoich towarzyszy i dla tego usunięto go na

zawsze. Pan wiesz o tem bardzo dobrze i tylko strach nie pozwolił ci wyznać prawdy wobec sędziego i prokuratora. Ale dla tych, którzy niegodziwą tę zbrodnię popełnili jest twoja znajomość wszystkiego bardzo niebezpieczną, z tego powodu musisz zniknąć z miejsca tragedyi. Otrzymałeś rozkaz opuszczenia Londynu — rozkaz bardzo energiczny, któremu na ślepo poddać się musisz. Gdybyś tu pozostał dłużej — nie czuliby się ci nędznicy bezpiecznymi — we Włoszech nie możesz im nic zrobić. I we Włoszech będzie im też o wiele łatwiej pozbyć się pana — jeżeli związek uzna za potrzebne popełnienie drugiej zbrodni dla zakrycia pierwszej!

— Na Boga! — jęknął Cevanci przerażony, — zkąd pan wiesz o tem?

— Zkąd wiem — o to nie chodzi tu wcale, — odrzekł Hamilton poważnie. — Ale wystarcza mi zupełnie, że pan uznajesz słuszność wymienionych przezemnie faktów. Mam teraz rozmaite plany co do przyszłości, a wykonanie ich może panu zapewnić bezpieczeństwo, lecz tylko pod tym warunkiem, że będziesz miał do mnie wszelkie zaufanie i że powiesz mi wszystko, o czem wiesz! Przedewszystkiem pokaż mi twoje ramiona — wybacz, że żądam tego, ale pod obecnemi warunkami muszę mieć pewność — jest to bardzo ważne!

Cevanci był niezmiernie zdziwiony, lecz nie namyślając się ani chwili, podniósł najpierw prawy, potem lewy rękaw surduta. Na ramionach jego nie było tatuowania.

— Dziękuję panu, — rzekł Hamilton, — wszystko w porządku. Spuść pan znowu rękawy — innym razem wytłomaczę ci powód mego żądania. A teraz opowiedz mi co wiesz o morderstwie popełnionem na Alfredzie Garcji!

Cevanci namyślał się przez chwilę, ale zaraz potem podniósł głowę i zaczął cicho, oglądającc się na wszystkie strony, jak gdyby się chciał przekonać, czy rzeczywiście nie ma kogoś innego jeszcze w pokoju.

— Przyznaję, że przybyłem do pana nie jako do doktora po radę lekarską, lecz jako do człowieka z prośbą o radę w mojem bardzo przykrem położeniu.... Pan jesteś jedynym z moich znajomych, o którym napewno wiem, że nie masz nic do czynienia z naszemi tajnemi związkami. Zresztą masz pan we wszystkiem słuszność! Od dnia, w którym nieszczęśliwy Garcia został zamordowanym w moim domu, nie ma życie moje najmniejszej wartości!

— Kogo się pan boisz teraz? Kto są ci ludzie, którzy mogą ci się stać groźnymi?

— Dokładnie znam tylko jednego, właśnie tego Greka, któremu imie Zanakis — jest to ten, który stoi na ulicy i pilnuje domu pana!

— Kto to jest ów Zanakis?

Cevanci umilkł znowu i zdawał się namyślać nad czemś, po chwili zaczął nieco śmielej:

— Nie uwierzysz mi pan może, ale to jest pytanie, na które odpowiedzieć nie mogę. Istnieje bowiem jedno wielkie stowarzyszenie tajne naturalnie, które się rozciąga w całej Europie a nawet i w Ameryce. Ale ten wielki związek rozpada się na mnóstwo drobnych, potocznych, a ja jestem członkiem jednego z tych mniejszych związków, zowiącego się „Radą dziesięciu“. Nasze stowarzyszenie nie stoi na stanowisku „Propagandy czynu“, tylko na stanowisku „propagandy słowa“.

— Więc Zanakis jest także członkiem Rady dziesięciu?

— Nie, on jest niejako pośrednikiem pomiędzy naszym i wielkim związkiem. Co pół roku jest obecnym naszemu zebraniu — udziela nam rozmaitych rad i wskazówek, wręcza nam rozkazy centralnego związku i odbiera od nas składki.

— Składki? Na co?

— Tego my nie wiemy, to wie tylko nasz prezydent! A chociażby i oprócz prezydenta jeszcze ktoś wiedział o czemś, co dla innych członków jest tajemnicą, to przysięga zmusza go do milczenia!

— Więc związek wasz daje członkowi, którego zna tylko z imienia, pieniądze na cele, których wcale nie znacie?

— Tak jest — odrzekł Cevanci otwarcie. — Dzieje się to wszystko na mocy przepisów naszego stowarzyszenia. Zanakis ma prawo odbierania od nas pieniędzy — dajemy mu wszystko bez żadnego zastrzeżenia. Są to sprawy komitetu, o których my nie wiele co wiemy. Członkowie związku mają obowiązek składania pewnej sumy, lecz nie wolno im się pytać, co się z temi pieniędzmi dzieje. „Rada Dwudziestu“ wydaje pewną ich część, Rada Dziesięciu zaś wyznacza wysokość tych sum. Na tem kończą się moje widomości. Prezydent i inni członkowie związku wiedzą może więcej niż ja, ale po nad prezydentem jest jeszcze dziesięciu wyższych! Tyle tylko wiem na pewno, że w Londynie nie ma trzech osób, któreby znały wszystkie tajemnice związku. Każdy z nas musi złożyć przysięgę i na nowo musi przysięgać, gdy go powołają na wyższe stanowisko. Teraz, gdy panu wszystko to powiedziałem, popełniłem krzywoprzysięstwo i gdyby się to wydało, stałbym się winnym śmierci. Nie czekanoby ani chwili z wypełnieniem wyroku.

— A mnie zawierzasz pan, że cię nie wydam? Wiedząc, że życiu twemu grozi niebezpieczeństwo?

— Tak, — odrzekł Cevanci ponuro, — właśnie dla tego, że wiem o tem! Dla tego, że chcą mnie zgubić, pomimo, że nie popełniłem żadnej winy, dla tego, że chcą mnie się pozbyć! Alfred Garcia przyszedł do mego domu. Przysięgam panu na Boga, że nie wiedziałem, że on jest na śmierć skazany. Nie wpuściłem morderców do jego pokoju i nie wiem do dziś, kto popełnił tę okropną zbrodnię. Ale cały sposób zamordowania go był mi dowodem, że umarł na rozkaz, chociażbym nie był otrzymał żadnych informacyi...

— Jakież to informacye otrzymałeś pan?

— Do drzwi poddasza, tam gdzie tej nocy spałem, przybito gwoździkiem kawałek papieru z znakiem, który większa część z nas zna bardzo dobrze!

— Jaki to znak?

Cevanci znów się zawahał. Zdawało się, że nie chce na to odpowiedzieć.

— Za wiele już mówiłem, — szepnął przygnębiony, — więcej mi doprawdy mówić nie wolno!

— Albo nic, albo wszystko, — odrzekł Hamilton energicznie. — Ustać na połowie drogi, to nie ma sensu! Życie pana zawisło jedynie od tego, czy będziesz miał zaufanie do mnie, czy nie.

— Więc powiem już wszystko! Znakiem tym jest litera S. i obok niej krzyż, który jednak wygląda tak jak sztylet.

— Co to znaczy w języku sprzysiężonych?

— Silentium — milczenie pod groźbą śmierci.

— Ah, dla tego nie powiedziałeś pan nic sędziemu?

— Tak, dla tego! Porzucony zielony miech, który policyanci znaleźli, był tylko podstępem — miało to wzbudzić podejrzenie, że złodzieje go przynieśli dla zabrania w nim skradzionych przedmiotów.

— Domyślałem się tego już wtenczas, — zauważył Hamilton. — Ponieważ jednak pan nic nie zeznałeś, tylko milczałeś, dla czego zagrożono ci potem...

— Ach, — przerwał Cevanci, — oni zawsze tak robią! Bo jestem przekonany, że policya tej sprawy nie za-

niechała, i że po cichu śledzi ją dalej. Zbrodniarze wiedzą, też o tem i nie czują się zupełnie bezpiecznymi. Przed tygodniem przyszedł ów Zanakis do mnie do składu. Nie dał mi żadnych wyjaśnień i ja też żadnych nie żądałem — przyniósł mi tylko rozkaz opuszczenia Londynu w przeciągu dwóch tygodni i przeniesienia się do Neapolu.

Więc to jest powód, dla którego pan wszystko sprzedajesz, bez względu na to, jaką stratę ponosisz.

— Zapewne. A dziś przed obiadem, gdy pan opuściłeś mój skład, przyjąłem propozycyę pewnego kupca i sprzedałem wszystko, co się w nim znajduje!

— Jest to także członek związku?

— Nie — jest to Anglik, panie doktorze. Zawarłem z nim zgodę na słowo — namyślałem się trzy dni nad tem...

— Jakie pan masz plany na przyszłość? — przerwał Hamilton.

— Po to właśnie przychodzę do pana! Postanowiłem bowiem nie wracać do Neapolu. Mam ważne do tego powody — dopóki Zanakis zna miejsce mego pobytu, nie jest życie moje warte ani złamanego grosza. Skoro policya znajdzie ślad morderców Garcji, padnę ja pierwszy ofiarą — zamordują mnie tak samo jak tego nieszczęśliwego.

— Masz pan zupełną słuszność, — zawołał Hamilton stanowczo. — Jeżeli wypełnisz dany ci rozkaz, pójdziesz do Neapolu po to, aby cię tam zamordowano!

— Dla tego przyszedłem do pana po radę. Nie dziwię się, że mnie śledzą i szpiegują, ale zadziwiłem się niezmiernie, gdy ujrzałem Zanakisa przed drzwiami domu pana. Przecież tego on nie mógł wiedzieć, że ja tu przyjdę! Więc jasna rzecz, że i pana szpiegują!

Hamilton pojął całą doniosłość tego faktu. Jeżeli dotychczas już go podejrzywano, to teraz, po bytności Cevanciego musieli być sprzysiężeni pewni, że z jego strony grozi im niebezpieczeństwo. Cevanci zaś narażał się więcej niż kiedykolwiek, przychodząc do mieszkania lekarza właśnie wtenczas, gdy obydwaj znajdowali się pod ścisłym dozorem członków tajnego związku. Obydwaj wiedzieli, co ich w danym razie czeka.

— Pozwól mi się pan namyśleć, — rzekł Hamilton wstając i przechadzając się po pokoju. Po chwili zbliżył się do Włocha i zapytał go:

— Mówiłeś pan, że sprzedałeś swój skład? Otrzymałeś już pieniądze?

— Tak, mam je przy sobie!

— I opuściłeś dom twój na zawsze?

— Tak, kuffy moje znajdują się na dworcu Charing-Gross.

— Muszą one tam chwilowo zostać — tam są bezpieczne. Nie powinieneś ich pan teraz pod żadnym warunkiem odbierać. Jeżeli mi się uda wyprowadzić pana niepostrzeżenie z tego domu — czy pójdziesz tam, gdzie ci iść radzę?

— Ach, i jak chętnie! — odrzekł Cevanci.

— Więc musisz się pan udać natychmiast do Szkocyi. Znam tam bezpieczne dla ciebie schronienie!

— Pójdę wszędzie, tylko nie do Neapolu! — zawołał Włoch.

— Musimy się więc pospieszyć. Pięć minut po dziewiątej odchodzi pociąg z St. Pankraz do Edynburga. Napiszę prędko list, który pan zabierzesz z sobą.

Hamilton usiadł przy biurku i napisał kilka zdań w szalonym pospiechu, potem złożył ćwiartkę i podał ją Cevanciemu.

— Jest to list do mego brata w Edynburgu. Jest on także lekarzem i wystara się panu o mieszkanie blizko swego domu. Koperta jest, jak pan widzisz, otwartą, gdy będziesz w wagonie, możesz przeczytać, co napisałem. Uważaj na wszystko, co przeczytasz, dokładnie i postępuj ściśle podług podanych ci wskazówek. Jutro o siódmej rano staniesz pan w Edynburgu — prosto z dworca idź do domu mego brata, adres jest na kopercie. Nie pisz do mnie prędzej, aż sam tego zażądam. Przez mego brata będę miewał wiadomości o panu.

— Panie doktorze — nie wiem doprawdy, jak panu podziękować, zawołał Cevanci wzruszony. — Jesteś pan nieskończenie dobrym! A ja przecież jestem panu obcy i nie będę się mógł nigdy w życiu odwdzięczyć za tyle dobroci.......

— Nie mów pan o wdzięczności, — przerwał Hamilton. — Musiałby człowiek nie mieć serca, gdyby nie pomógł bliźniemu, znajdującemu się w takiem jak pan, położeniu. Bo panu wielkie grozi niebezpieczeństwo! Jestem przekonany, że nieprzyjaciele twoi gotowi cię po tej bytności u mnie, dziś jeszcze zamordować, chociażby na ulicy! To zresztą, co mi opowiedziałeś, było mi już po części wiadomem!

Cevanci skamieniał z przerażenia. Nie tyle lękał się śmierci samej, jak nagłego napadu i ciosu zadanego niewidzialną ręką. Myśl o tem, przyprawia go poprostu o szaleństwo.

— Jeżeli mnie zakłują na ulicy, — szepnął drżącemi ustami, — to jakże mam opuścić mieszkanie pana?

— Mam już plan gotowy, — odrzekł Hamilton z tą spokojną stanowczością, która mu jednała sympatyą, i zaufanie pacyentów. — Wypij pan najpierw jeszcze jeden kieliszek wina, a ja przyniosę tymczasem mój paletot.

I poszedł do swego pokoju, a gdy wrócił, ujrzał już Włocha otulonego jego obszernym płaszczem, który albo umyślnie, albo przypadkiem nadawał się wybornie do okrycia drobnej i wątłej postaci Cevanciego tak, że trudno go było rzeczywiście poznać.

— Idź pan teraz za mną, — rzekł Hamilton. — Niech się lampa pali, nie zgaszę jej dla tego, aby ci, co na ulicy stoją i nas szpiegują, myśleli, że jesteśmy jeszcze tutaj! Nie mają wiedzieć, że opuszczamy dom!

Wyszli na kurytarz — Hamilton był zupełnie spokojny, Cevanci drżał z strachu.

Hamilton wszedł teraz do kuchni.

— Pani Brown, — rzekł do gospodyni, — chciałbym mieć klucz od furtki ogrodowej, którą o ile wiem, nikt nie wychodzi, więc klucz musi być tutaj!

— Dziwne doprawdy żądanie — odpowiedziała pani Brown, — ale czemu nie miałabym dać panu tego klucza!

Zdjęła z gwoździa duży, zardzewiały klucz i podała go doktorowi.

— Zamknę drzwi za sobą, — mówił Hamilton dalej, — i wrócę tą samą drogą. Nie wpuszczaj pani w czasie mej nieobecności nikogo do mego mieszkania, pod żadnym warunkiem! Nikogo, słyszysz pani? Lampy nie zgasiłem, i życzę sobie, aby się dalej paliła, aż wrócę. Gdyby się kto pytał o mnie, to powiedz pani, że jestem zajęty i że nie wolno mi przeszkadzać. Rozumiałaś pani wszystko dokładnie?

— O tak, panie doktorze! Uczynię wszystko jak mi pan kazałeś, ale to w każdym razie bardzo dziwnie, że......

— Dobra noc! — przerwał Hamilton żywo, skinął głową i zaraz potem wyszedł z Cevancim z domu.

Na dworze zupełnie już było ciemno. Zamek i klucz mocno były zardzewiałe, ale po kilku minutach zdołał Hamilton drzwi otworzyć i zaraz potem znaleźli się obydwaj na wązkiej, mało uczęszczanej ścieżce. Błoto sięgało im aż po kostki, ale szli pomimo to dosyć prędko, wiedząc, że nie mają ani jednej chwili do stracenia. Gdy znowu weszli na szeroką, oświetloną ulicę, byli przynajmniej o sto metrów oddaleni od domu Hamiltona, gdzie szpieg zapewne jeszcze stał i czekał na Cevanciego. Tuż przed nimi stała dorożka, wsiedli więc i kazali się zawieść na dworzec St. Pankraza.

Był też już najwyższy czas. Hamilton kupił bilet

i zaprowadził Cevanciego do wagonu, w którym się już kilka osób znajdowało.

— Dziękuję panu! Dziękuję — szeptał Włoch wzruszony, ściskając po raz ostatni rękę swego dobroczyńcy.

— Mam nadzieję, że jesteś pan teraz bezpieczny, — rzekł Hamilton. — Przeczytaj uważnie mój list, i postępuj tak, jak ci radzę. Przyjmij nazwisko, jakie ci tam wymieniłem — nie wyjawiaj nikomu, nawet memu bratu twego prawdziwego nazwiska, dopóki ci tego nie napiszę!

Drzwi wagonu zamknięto — jeszcze jedno skinienie ręką — potem dał się słyszeć przeraźliwy świst lokomotywy, i pociąg ruszył.

Hamilton wyszedł głównemi drzwiami i mimowoli spojrzał na zegar. Było właśnie dziesięć minut po dziewiątej.

— Piątek — wieczór, — pomyślał, — za kilka minut rozpocznie się tajemnicze posiedzenie związku!

Zatrzymał się na chwilę, lecz zaraz potem pospieszył naprzód. Miał już nowy plan gotowy.

— Raz przecież, — rzekł sobie w duszy, — muszę się czegoś dowiedzieć. Stawię czoło wszelkim niebezpieczeństwom!

I wskoczywszy do przejażdżającej dorożki, kazał się wieść w kierunku ulicy Oxford.

ROZDZIAŁ XII.

Jadąc układał sobie starannie w myśli wszelkie szczegóły powziętego zamiaru. Chciał on go już dawno wykonać, lecz zawsze stanęło mu coś na przeszkodzie, dziś za to postanowił nie zważać na nic i zbadać tajemnice związku o tyle, o ile to było możliwem.

Był to dziś piątek, a zatem dzień, w którym tajemniczy posłaniec zwoływał wszystkich członków związku na nocne zebranie w domu, leżącym w dzielnicy Soho. Albo dziś, albo nigdy mógł się dowiedzieć, o co tam właściwie chodziło. Bo musiał się odwołać na fakta, które mógł udowodnić, jeżeli się chciał zwrócić do policyi i wprowadzić ją na ślad morderców Garcyi. Nie obawiał się tego, że dyrektor policyi będzie uważał jego sprawozdania za niemożliwe i śmieszne, ale lękał się czujności sprzysiężonych, którzy wszędzie mieli szpiegów i którzy za zbliżeniem się żandarmów mogli zniknąć bez śladu!

Rozważał też nad tem, że obawa niebezpieczeństwa, które poznał Macropulo i należąca do niego kobieta może skłonić sprzysiężonych do chwilowego rozłączenia się. — Ostrzeżenie Cevanciego, że Macropulo w własnej osobie pilnuje domu Hamiltona, było dowodem, że nieprzyjemne wrażenie, jakie na nim wywarła owa kobieta w składzie Macropula, było zupełnie uzasadnione i że wszelkie jego usiłowania zmylenia jej pogoni były daremne. Ścigała go od domu chorych aż do jego mieszkania. Był również przekonany, że i Stella stoi pod dozorem morderców jej ojca, i że nie przestaną jej śledzić, dopóki nie opuści Anglii. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że sprzysiężeni wiedzieli bardzo dobrze, kiedy w towarzystwie lady Ravendale opuściła dom chorych i gdzie leżał pałac jej opiekunki! A nowy adres jej był na nieszczęście tym samym, który dał Grekowi dla odniesienia marmurowego biustu i słupa porfirowego!

Hamilton musiał sobie przyznać z gniewem, że wszystkie jego starania nie rozbudzenia podejrzenia, nie udały mu się, i że okrył się niezmierną śmiesznością. Osięgnął właśnie to, czego chciał uniknąć, bo owa kobieta wiedziała teraz napewno, że miał zamiar uciekania przed nią i zmylenia jej pogoni. A nadto nie wiedział, jak sprzysiężeni zapatrują się na to, że mieszkanie jego leży tuż obok domu, w którym mieszka towarzysz ich, pan Feliks!

Wszystkie te myśli, plątające mu się bezładnie po głowie, przejmowały go wielkim niepokojem. Dziś odbędzie się zapewne zwykłe tygodniowe posiedzenie, i dziś uradzą inny dzień oraz inne miejsce zebrania na przyszłość. Było to bardzo prawdopodobnem, a wtedy nigdy już nie będzie mógł prowadzić dalej swego rozpoczętego dzieła!

Każda minuta stawała się dla korzystnego wykonania jego planu, drogą. W obydwa ostatnie piątki dał zakapturzony posłaniec znak panu Feliksowi około dziesiątej, było więc jeszcze dosyć czasu, na udanie się na miejsce zebrania. Na szczęście miał dorożkarz, na którego Hamilton skinął, młodego i silnego konia, a że ulice o tej porze nie były zanadto ożywione, przeto zostało mu jeszcze przynajmniej dziesięć minut czasu, gdy wysiadł na jednej z ulic, sąsiadujących z dzielnicą Soho.

Minąwszy dwie lub trzy ulice, ujrzał przed sobą ów dom narożni, w którym się znajdowała wstrętna, podrzędna piwiarnia i zaraz potem stanął przed ciemnem podwórkiem ciemniejszem prawie, niż kiedykolwiek.

Hamilton wszedł na podwórko bez zawahania się. Był przygotowanym na to, że wpadnie w ręce sprzysiężonych, stojących tu na straży, i że będzie zmuszonym do odwrotu. Ale nie było tu żywej duszy, głęboka cisza panowała w około. Wyciągając ręce poczuł, że stoi blizko muru, i tak szedł dalej wolno, ostrożnie, aż napotkał belki, które, jak wiedział, zakrywały jakieś drzwi i znajdowały się naprzeciwko wejścia. Ciemno było tak, że drzwi dojrzeć nie mógł, wsunął się jednak szybko pod belki, o ścianę i odetchnął swobodniej.

Czuł się tutaj zupełnie bezpieczny i postanowił czekać na przybycie sprzysiężonych.

Nigdzie nie było widać światła, żaden szelest nie przerywał głębokiej ciszy. Jedna minuta upływała za drugą — na poblizkiej wieży kościelnej wybiła godzina dziesiąta. Ale nic się nie ruszało, nikt nie nadchodził, wszędzie panował spokój śmiertelny. Pomimo to stał Hamilton wytrwale pod belkami i nie tracił nadziei.

Nagle zadrżał. Ktoś wszedł na podwórko i biegł szybko, nie zatrzymując się, wzdłuż muru. Osoba ta musiała znać drogę bardzo dobrze, teraz stanęła — i Hamilton usłyszał tuż koło siebie trzy ostre, krótkie uderzenia, tak jak gdyby ktoś pierścionkiem lub monetą uderzył o drzewo. Odpowiedzi na to nie było żadnej. Potem nastąpiło pięć uderzeń, z krótkiemi przerwami i znów nastąpiła cisza. W końcu dało się słyszeć jedno stuknięcie i teraz nareszcie zadźwięczał łańcuch, spuszczany z drzwi na wewnątrz. Równocześnie prawie zgrzytnął klucz w zamku, drzwi uchyliły się na szerokość ręki i Hamilton ujrzał z swej kryjówki słaby promień lampki, przeciskający się przez odemkniętc drzwi. Ktoś wyrzekł jakieś słowo, inny głos odpowiedział — następnie otworzono drzwi zupełnie i nowo przybyły wszedł do domu.

I znów cisza i ciemność!

Hamilton widział, że gość miał czarną maskę, która mu zupełnie twarz zakrywała. Ale jakie słowo wyrzekł, jaki dał znak?

Lecz podczas kiedy się temi zajmował myślami, zbliżył się nowy członek stowarzyszenia. Znowu dały się słyszeć trzy stuknięcia, potem pięć, potem jedno — znów dźwięknął łańcuch, uchyliły się drzwi i błysnęło światło — potem jakiś znak, którego Hamilton dokładnie widzieć nie mógł — zapytanie — odpowiedź i sprzysiężony znikł za drzwiami. I ten miał czarną maskę — lecz tym razem zrozumiał Hamilton cicho szepnięte słowo.

Brzmiało ono „Omikron.“

— Ah! — pomyślał, — powinienem był to przewidzieć! Używają greckiego alfabetu jako słów przejścia!

I z natężeniem słuchał dalej.

Po upływie pięciu minut ukazał się trzeci mężczyzna i przy tej sposobności skorzystał Hamilton dwa nowe ob

jaśnienia. Pierwszem było to, że sprzysiężeni wymawiali oznaczone słowo i dawali sobie jakiś znak, drugiem było to, że poznał ów znak. Tym razem bowiem zrządził przypadek tak, że przybyły stanął nieco z boku i że Hamilton mógł zajrzeć przez uchylone drzwi w głąb sieni lub pokoju. Na konsolce, wiszącej na ścianie stała mała lampka i nowo przybyły wyciągnął właśnie w jej kierunku obnażone ramie tak, że Hamilton ujrzał na niem dobrze sobie znany znak tatuowany — czerwone koło i litery z krzyżem lub sztyletem! Osobą zaś, która się nad ramieniem pochyliła nie był nikt inny, jak owa kobieta z składu Macropula!

Zaledwie trzeci gość zniknął w głębi domu, gdy przybył czwarty. Znaki i stukania powtórzyły się znowu i Hamilton byłby mógł przysiądz, że teraz stał przy drzwiach sąsiad jego, pan Feliks. — Tak — ta postać wysoka, lekko pochylona — to tylko on mógł być!

Reszta sprzysiężonych przychodziła szybko po sobie, a otwierającą drzwi zawsze była owa kobieta. Hamilton widział nawet wyraźnie jej broszkę — głowę bożka wyciętą z białego kamienia.

— Jaka ona czynna, — pomyślał, — rano sprzedaje w sklepie, potem szpieguje ludzi, a teraz gra rolę odźwiernej!

Siódmy lub ósmy gość miał także ramie tatuowane i dosyć głośno wymówił słowo „Omikron.“ Było to więc to samo stowarzyszenie, do którego należał Cevanci i którego ofiarą padł niewinny Garcia.

Potem dłuższa nastąpiła pauza. Hamilton słuchał, lecz nie usłyszał już najmniejszego szelestu. Ale podczas kiedy się namyślał, czy wrócić teraz do domu, czy jeszcze tu czekać, rozległ się w ciszy nocnej lekki odgłos kroków i znów ktoś wbiegł pędem nieomal na podwórko.

Po zwykłem stukaniu uchylono drzwi i Hamilton poznał natychmiast ostatniego gościa. Był to sam Macropulo, bez maski na twarzy. Zamiast „Omikron“ zawołał „Angiolina“ poczem drzwi otworzyły się zupełnie szeroko.

— Są już wszyscy? — szepnął po włosku.

— Tak, — odrzekła kobieta — są wszyscy! Czy się co stało?

W głowie jej brzmiał niepokój i trwoga.

— Tak — stało się coś złego — nawet coś bardzo złego, — szeptał Macropulo bez tchu. — Wyjdź na chwilę — nie chcę, aby nas kto słyszał!

Kobieta wysunęła się zręcznie z odchylonych drzwi i stanęła obok Greka, który znajdował się tak blizko Hamiltona, że mogli sobie byli ręce podać.

— No i cóż, — zaczęła kobieta, — miałam słuszność?

—Tak, tak, niech go czarci porwą! Cevanci jest obecnie u niego! Przyszedł o wpół do ósmej i ciągle tam jeszcze siedzi! Musiałem ci to powiedzieć — starajmy się tylko o spokój pozorny — musimy dziś udawać swobodę, inaczej otrzymalibyśmy surową naganę.

— Kto stoi na straży?

— Ferrari. Był najpierw przed domem Cevanciego i szedł potem za nim aż do jego domu!

— Jeżeli bezpieczeństwo stowarzyszenia tego wymaga, to Cevanci musi umrzeć, rzekła kobieta uroczyście.

Ale Hamilton zauważył, że w głosie jej brzmiał jakiś żal i smutek.

— Może być, że nie pozostanie nam nic innego, — odpowiedział Macropulo. — Ale nie miałoby celu zabicia go teraz — razem z nim trzeba usunąć tego drugiego — tego doktora!

— Czegoż on się tam mógł dowiedzieć? Taka podrzędna figurka! O czem on wie? Co wie sam Cevanci? Nic ważnego, nic nadzwyczajnego!

— Ach, gdybym tylko przeczuwał, czego on się mógł dowiedzieć, — zgrzytnął Grek. — słyszałem, że to lekarz, ale prawdopodobniejszem jest, że to szpieg policyjny! Bo zkądżeby podejrzywał dziś rano, że go śledzisz?

— Tego nie wiem! Ale ja mu za wszystko zapłacę! — szepnęła kobieta z nieudaną zaciętością.

Hamilton zadrżał mimowoli. Jak okropną musiała być ta kobieta w swej nienawiści!

— Tak, — szepnął Macropulo, — wiemy, że „Anioł“ płaci sumiennie każdy rachunek.

— A zresztą nie wykryłeś nic, Zanakis, nic?

— Nie, to jest owszem, otóż, że on mieszka obok domu, w którym mieszka numer piąty!

— Ach! I cóż wnosisz z tego?

— Że numer piąty musi być pod dozorem!

— On nie jest zdrajcą!

— Nie, ja też tego nie przypuszczam, ale może nie był dosyć ostrożnym. Musiał uczynić coś, co zwróciło na niego uwagę tego doktora i zniewoliło go do szpiegowania nas!

— Więc uważasz położenie nasze za niebezpieczne?

— Nie ulega to żadnej wątpliwości, dziś jednak nie trzeba innym o tem mówić, bo pogorszyłoby to naszą sprawę. Musimy się najpierw trochę we wszystkiem rozpatrzyć.

— Zanakis, on ciebie podejrzewa! Dla tego przyszedł dziś do składu! Musisz być każdej chwili gotowym do ucieczki!

— Na to musimy wszyscy być przygotowani! Ale nie zyskamy nic, jeżeli przedwcześnie wzbudzamy popłoch. Farrasi będzie czuwał dziś nad Cevancim aż do jego powrotu do domu, ty zaś musisz jutro od samego rana stać przed domem doktora i gdy wyjdzie, nie odstępować go ani na krok! Ja zaś zasięgnę wiadomości o rodzinie, która przyjęła tę dziewczynę do siebie. Wymienił ci Jan adres? Wiedział, dokąd powóz z domu chorych pojechał?

— Nie. Gdzież ona jest teraz?

— W tym samym domu, w którym mam jutro oddać popiersie Caradiniego!

— Boże Wielki! Co to znaczy?

— Nie wiem! Wszystko to jest mi niewytłomaczoną zagadką, ale jutro dowiem się o co chodzi! Zaniosę sam to popiersie — nie może to się nikomu wydawać nadzwyczajnem, bo odpowiadam za wszelkie uszkodzenia, jakieby się zdarzyć mogły podczas transportu. Przekonam się wtedy najlepiej, jak rzeczy stoją!

— A gdyby przyszło do czegoś ważnego — w jaki sposób zamierzasz ostrzedz towarzyszy?

— Zapowiem dziś zebranie na jutro i uprzedzę ich, aby byli przygotowani jutro na coś nadzwyczajnego. — Gdyby się okazało potrzebnem, to można dać wszystkim jutro po obiedzie znak wielkiego niebezpieczeństwa. Wtedy wie każdy, jak ma postępować i gdy będziemy w Paryżu wyjaśnię im wszystko. Ale teraz musimy iść do nich, bo i tak już zbyt długo czekają na nas!

W następnej chwili znikli oboje w domu, a przy blasku lampki widział Hamilton — gdy otwierali drzwi, że Grek zawsze jeszcze nie miał maski na twarzy.

Ale nie miał teraz czasu do rozmyślania nad tem. — Macropulo sam tylko nie potrzebował zachowywać ostrożności — widocznem było, że jego znali wszyscy i dla tego nie używał maski — inaczej nie umiał sobie Hamilton tego wytłomaczyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Prosimy przy zamówieniach powoływać się na „Pracę".

Biblioteka Poetów Polskich

330

w 150 tomach

Pierwszy tom w druku. Prospekta wysela

Księgarnia Wydawnicza Polska

Sp. z o. p.

Berlin N. 24.

Z. Rittera proszek do prania bieli i konserwuje bieliznę!

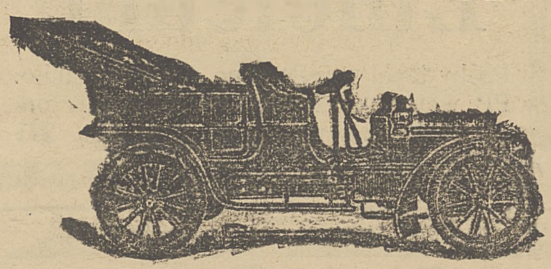


Praktyczne i rozsądne gospodynie używają do prania bielizny tylko Rittera proszek 66

„Lessive Albin."

Proszek ten pod gwarancyą bez kloru jest nieoceniony do prania i bielenia bielizny oraz materyałów wełnianych i bawełnianych, jedwabi, flanel i innych tkanin, również najtańszym i najlepszym środkiem do czyszczenia wszelkich sprzętów kuchennych, szkła, płyt marmurowych, garnków, drzwi, okien, podłóg i aparatów do piwa. Do nabycia w paczkach po 25 fenygów w drogeryach i handlach kolonialnych a gdzie nie ma na składzie wysyła się franko 8 paczek za 2 mk. Przy zakupnie proszę uważać na mój znaczek ochronny z moim podpisem, **Chemiczna fabryka Z. RITTERA Poznań, Św. Marcin 20.**

Samochody **osobowe i ciężarowe** najsławniejszych fabrykatów krajowych i zagranicznych poleca po cenach fabrycznych, **używane** oddaję **po nader przystępnych.** Utrzymuję 41



skład pneumatyków i przyborów.

Fachowy warsztat do naprawy.

Garage.

St. Brzeski

POZNAŃ, św. Marcin 64.

Telefon 1101.

Założony 1894.

Spółka Stolarska

Tischler-Rohstoff- u. Absatzverein e. G. m. b. H.

Poznań, ul. Jezuicka 5.

Telefon 207. poleca założona w r. 1894.

Wyprawy dla nowożeńców.

Specyalność: 525

wyprawy obywatelskie.

Meble stylowe.

tanio! wielki wybór!

Pismo jak **„PRACA"** powinno znajdować się w każdym domu szczerze polskim. Abonament kwartalny wynosi na poczcie tylko **1,25 mk.**

Oszczędności

przyjmuje płacąc 4% za kwartalnem, zaś 4½% za półrocznem wypowiedzeniem. 213

BANK LUDOWY

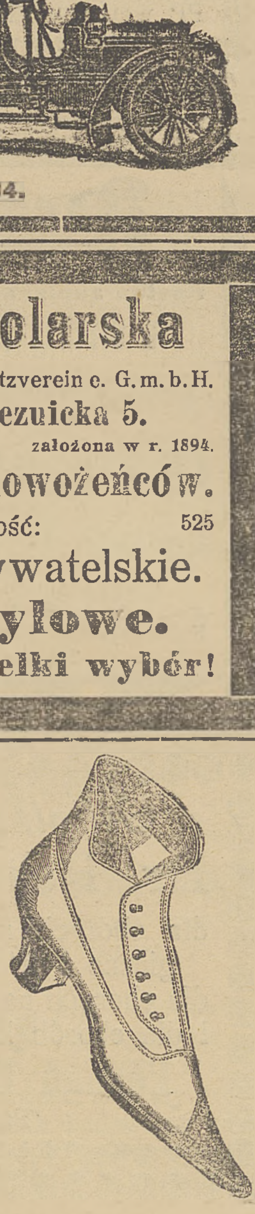
E. G. m. unb H

KCYNIA — EXIN.

Chwała Polski. Piękny obraz kolorowy przedstawia **Dzieje nasze** w umiejętnie ułożonych portretach. Są tam królowie, hetmani, uczeni, rycerstwo polskie, konstytucya 3 maja, legioniści i czasy Kościuszkowskie. Cena **1,50 mk.**, z przesyłką **1,70 mk.** 420

K. KOZŁOWSKI, wydawca, **Poznań**, ulica Długa 8.

„Talizman zdrowia i piękności" 80 fen. **Onanizm** (samogwałt) itp. 1,10 mk. Katech. zdrowotny dla małżeństwa 1 mk. Zwalczanie nerwowości 1,35 mk. Samopomoc w cierp. płciowych 1,85 mk. Życie płciowe i jego znaczenie 2,20 mk, Zielniczek lekarski (125 kol. obr.) 1,50 mk. Do nabycia w lepszych księgarniach lub wprost w eksp. „Przew. Zdrowia": *Czarnowski, Berlin N*, Weissenburgerstrasse 27. 113



Obuwie

damskie, męzkie i dla dzieci

na porę jesienno-zimową poleca **w wielkim wyborze** i po **cenach umiarkowanych** na każdem obuwiu wyznaczonych.

Specyalny zakład wytwornego obuwia

i pracownia do zamówień.

M. Zabłocki,

Poznań, Berlińska ul. nr. 16. — Telef. 2319.

Nowo otworzone! Nowo otworzone!

J. W. Maciejewski

ulica Nowa 11, narożnik Starego Rynku

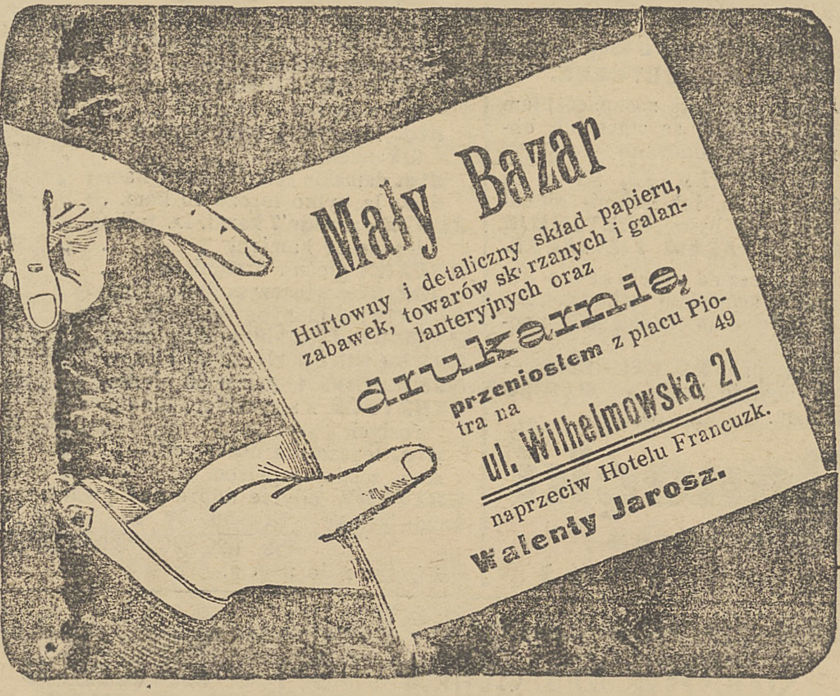
poleca w wielkim wyborze

kapelusze, bieliznę, krawatki, parasole, laski, rękawiczki kamizelki

i wszelkie inne artykuły mężkie. 543

Nizkie ceny! Nizkie ceny!

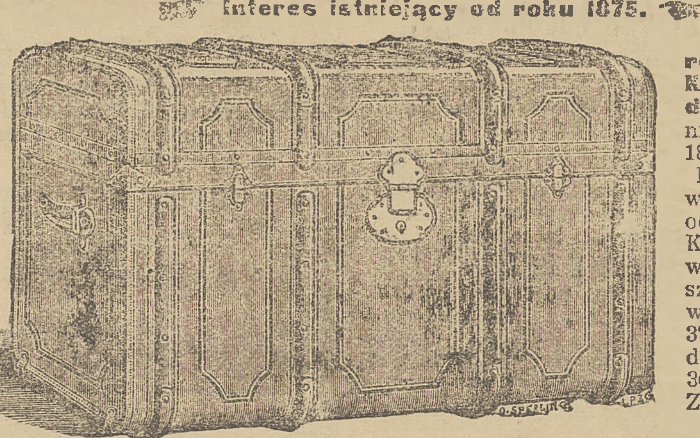
Usługa rzetelna! Usługa rzetelna!



Leon Pluciński, mistrz siodlarski

Poznań, św. Marcin 52/53.

Interes istniejący od roku 1875. 311



Wydział towarów do podróży: Kufry damskie i dla panów t. zw. niemieckie od 10, 15, 18, 21, 23 do 50 M. Kufry francuzkie wypukłe i watowane od 20, 25, 30—45 M. Kufry t. zw. trzcinowe, na których zaoszczędza się 50% na wadze od 20, 25, 32,50 37, 40—60 M., prawdziwe trzcinowe od 30 do 100 Mk. Zlecenia uskuteczniа się **odwrotnie.**

Znakomita książka kucharska

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych, z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież spiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur.

Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny. str. 360.

Cena bez oprawy 2,20 m.; z piękną oprawą 3,00 m.

Wysyłamy tylko za zaliczką, doliczając 30 fenygów na porto, adresować prosimy **Księgarnia Katolicka, Poznań ul. Jezuicka 5.**

Uwaga. Makary był jednym z najlepszych kucharzy polskich, który sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży po Europie, osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce podane nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte wyłącznie na własnem długoletniem doświadczeniu i dla tego każdy przepis jest bardzo dobry i zaspokoić może największe wymagania.

Specyalność: WYPRAWY.

W. JANASZEK, Poznań

ul. Jezuicka Nr. 1

(w narożniku Starego Rynku)

Magazyn wypraw.

Porcelana. Wielki wybór ozdobnych serwisów stołowych na 6, 12, 18 i więcej osób.

Serwisy do kawy.

Szkło kryształowe gładkie, rznięte, grawirowane.

Kieliszki, szklanki, salaterki, talerzyki karafki, zastawy etc.

Lampy gazowe 37

Lampy naftowe

Lampy spirytusowe.

Sprzęty kuchenne.

Emal. naczynia. — Stalowe i drewniane wyroby, szczotki, łóżka żelazne, umywalki, garnitury do mycia etc.

Stała wystawa. 12 okien wystawnych.

Cennik na żądanie bezpłatnie.

Restauracya

KISLINGERBRÄU

(Kaźmirz Krenz)

przy placu Wilhelm. **Poznań** w środku miasta, w pobliżu przystanku kolei elektrycznej.

Wyborne obiady

od godziny 12—3-ciej

po 1,25 mk., **w abonamencie 1,00 mk.**

Wielki wybór śniadań i kolacyi. 36

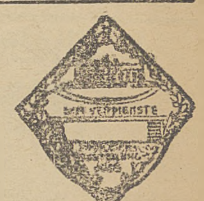
Uznana za najlepszą zimną ruską kuchnią.

Dobrze pielęgnow. piwa i wina. Dobra wentylacya.

Znakomita kuchnia.



Piegi



i wszelkie nieczystości skórne usuwa szybko i nadaje twarzy delikatną, białą płeć **„krem i balsam nowski“** 3 mk.

Na słaby porost włosów jedyny rzetelny i wdzięczny środek jest **„balsam cebulany nowski“** 3 mk. — Setki podziękowań za doskonały skutek w krótkim czasie odebrałem. Dalej za dobry skutek na t. roczn. wystawie w Wiedniu pod protektoratem arcyksięcia Eugena najwyższą odznakę honorową t. j. złoty medal i krzyż honorowy otrzymałem. 399

H. Smyczyński, aptekarz

Chełmno — Culm a. W.

Przedsiębiorstwo miernicze i melioracyjne

Jankalla & Krenz

Poznań, ul. Wiktoryi 2.

wykonuje wszelkie roboty w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące po najniższych cenach, a mianowicie:

1. Roboty drenarskie,

wykonanie projektów do zawiązania spółek drenarskich, ulepszenia łąk przez osuszanie i nawadnianie, 40

2. Pomiary przez mierników zaprzysiężonych jako to: parcelowanie większych i mniejszych majątków gospodarstw, regulacye granic, pomiary gruntów miejskich i podział na place budowlane itd.

Baczność Rodacy! 510

Darmo i franko wysyła na żądanie nowo wydany katalog na książki powieściowe, do nabożeństwa, obrazy, powinszowania, pocztówki narodowe itd.

Bardzo korzystny zakup!

I. **Mrówczyński, Rawicz** Rawitsch (Pr. Posen).

Kupcom

poleca **świeży**

olej siemienny

najtaniej 290

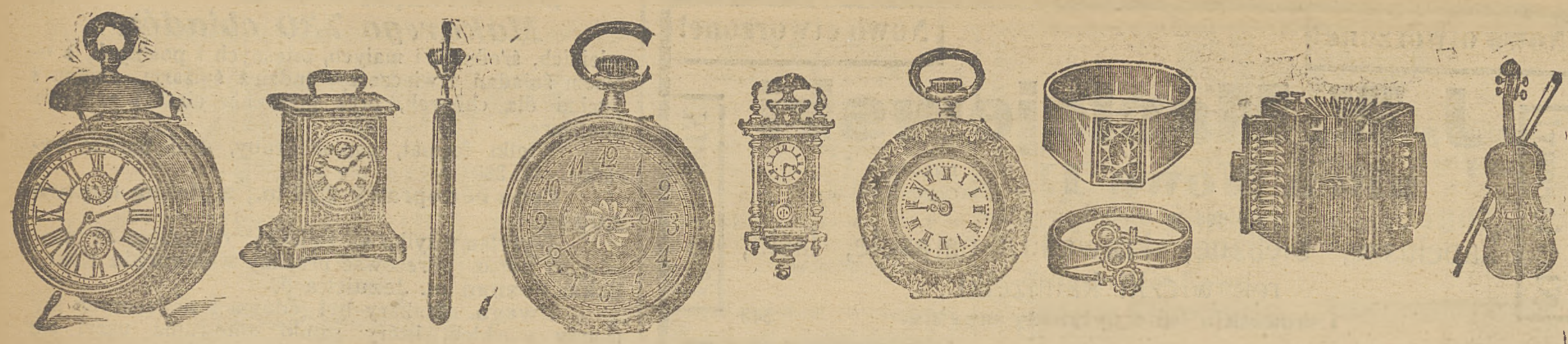
Artur Gustowski

Opalenica.

Bardzo piękny charakter pisma

posiadający **kupiec,** szuka zajęcia w kupiectwie lub w biurach bankowych albo adwokackich. Wymagania skromne. Wiadomości udzieli

Fr. Radomski, Nowy Rynek 13 III p.



PIERWSZORZĘDNY POLSKI

magazyn mebli

stylowych

Józef Sroczyński

Telefon 1290 POZNAŃ, BERLINSKA 8. **Telefon 1290**

Dobra i rzetelna usługa przy nizkich cenach.

Rysunki i kosztorysy bezpłatnie.

Najlepsze referencye. 51

Józef Stabrowski

GNIEZNO, Tumska Nr. 16.

WIELKI SKŁAD

Materyi, Garderoby męskiej i Kapeluszy.

Dobre i najtańsze źródło zakupu.

Pracownia eleganckiej garderoby podług miary.

Przewielebnemu Duchowieństwu polecam doskonały i znany dobry krój rewerend i płaszczy.

Łaskawe zamówienia wykonuje się jak najtroskliwiej, elegancko i według najnowszych żurnali. 119



Włosotwór

jedyny skuteczny środek

na porost włósów i wąsów.

Używany i polecany przez wiele osób. 326

Puszka 3 mk., 3 puszki 7,60 mk.

A. Dytkiewicz,

Berlin, Uhlandstrasse 145.

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego

Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 19

GNIEZNO, narożnik ulicy Horna i Nowe nr. 6. Filia **w WRZESNI,** ulica Pocztowa 192.

Zakład fotograficzny

P. Gdeczyk,

z d. **Eitner,**

założony 1879 r.

poleca 267

wszelkie nowości modne, powiększenia artystyczne, zdjęcia architektoniczne.

Korzystna sposobność nabywania lub sprzedawania

majątków większych, 39

folwarków i gospodarstw

oraz regulowania hipotek

które uskuteczniam szybko, sumiennie i tanio.

G. Ritter, Poznań

Wodna ul. 27. Telefon Nr. 62.

Interes zbożowy, parcelacyjny i finansowy.

Zwracam szczególną uwagę na to, że mam każdego czasu do oddania **5 procentowe pierwszo miejscowe hipoteki** (pupilarnie pewne) na większych i mniejszych gospodarstwach zapisane.

Oszczędności i wkłady

przyjmujemy i płacimy: 183

przy wypowiedzeniu kwartalnem 5 procent,

" " półrocznem 5½ "

" " całorocznem 6 "

od dnia złożenia pieniędzy, obliczając procenta co pół roku. **Pewność zupełna.**

Kujawski Bank Parcelacyjny,

E. G. m. b. H.

w Inowrocławiu (Inowrazlaw).

Pomocnik handlowy

szuka posady, którąby objąć mógł zaraz lub od **1-go 10.**

Warunki skromne. O zgłoszenia prosi:

W. STROJNY.

POZNAŃ, Grobla 27 a.

Makulaturę

ma tanio do oddania

Drukarnia „Pracy."

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bydgoszcz.

W. Sowiński

ul: Fryderykowska nr. 29. Pracownia eleganskiej garderoby męskiej na miarę. Skład sukna, nowości w materyach krajowych i zagranicznych. Przewielebnemu Duchowieństwu polecam dobry krój rewerend i płaszczy

Gniezno.

Książki wszelkiego rodzaju, nuty i artykuły piśmienne poleca i wysyła na zamówienie odwrotną pocztą

J. WISNIEWSKI,

Księgarnia — ul. Tumska 3.

Kępno.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.

Edmund Karłowski.

Jedyny POLSKO-KATOLICKI

magazyn mebli w miejscu poleca się łaskawym względom Szanownej Publiczności Kępna i okolicy.

Leon Mozdrzanowski.

Kościan

ul. Małej kolejki kościańsko-gostyńskiej

Stanisław Augustyniak

Handel drzewa budulcowego belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.

Skład dzwon bukowych.

Papy na dachy.

Kostrzyn.

H. Andruszewski

Hôtel Victoria

Pierwszorzędny hotel, pokoje świeżo urządzone restauracya, bilard, kręgielnia. Handel towarów kolonialnych, delikatesów, win, cygar i destylacya. Skład farb. Ceny niskie, usługa skora.

Michał Woźny

poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.

Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Pleszew.

Skład kół i maszyn do szycia, również wszelkie części rezerwowe do takowych, z pierwszorzędnych renomowanych firm poleca **St. Ostojski,**

Pobiedziska.

M. Koczorowicz

w rynku poleca obuwie od najpojedeńszego do najwykwintniejszego, oraz wszelkie reparacye wykonuje starannie po cenach umiarkowanych.

Swój do swego!

Smigiel.

J. Karpiński.

Pracownia gard. mezkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Strzałkowo.

Nawjiekszy dom towarowy

W. Ziarniaka

poleca materye wełniane i na suknie płótna, towary krótkie, garderoby mezką w najnowszych fasonach gotową i podług miary.

Równocześnie polecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

Antoni Matczyński

poleca swój hurtowny skład **piwa, fabrykacyę wody selterskiej** oraz **skład kolonialny i delikatesów** łaskawym względom Szan. Publiczności.

Szan. Publiczności Strzałkowa i okolicy donoszę, iż otworzyłem **magazyn mebli i trumien.** Wielki wybór. Ceny wyjątkowo tanie proszę o gorliwe poparcie.

W. Bogacki

JAN BOGACZYK

poleca swój bogato zaopatrzony skład w **materyach** na suknie i wszelkich **towarach** łokciowych, **krótkich** galanteryjnych, **garderobie** męzkiej i artykułach dewocyjnych, prosząc o łaskawe poparcie.

Srem.

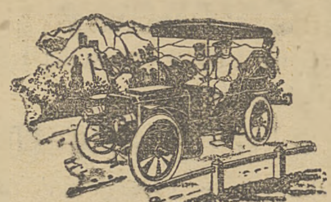
TADEUSZ SZRAJBER.

Skład zegarmistrzowski, maszyn do szycia i kołowców. Poleca się przy zakupnie *maszyn do szycia, kołowców,* tak na spłaty częściowe jako też za gotówkę.

Cenniki gratis i franko.

A. Zwierzchowski,

pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.



AUTOMOBILE

Koehler & Co.

Największe warsztaty reparacyjne

z zapędem elektrycznym.

Przystanek szklanny dla samochodów, stacya benzyny, oliwy, pneumatyków.

Poznań, ul. Wiktoryi 17. Telefon 1993.

Gen. repr. firmy

Rex Simplex, Ronnenburg S.-A.



Brzytwy

jedynie najlepsze z angielskiej dyamentowej stali; znane z dobroci i pod gwarancyą już obciągane i gotowe do użycia. — Wymienię każdą sztukę, jeśli nie będzie dobrą. Piękny mocny futeryał darmo.

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	2,75	3,75
a następne nr.		0	1	2	3	4

bez gwarancyi po 55, 60, 70, 80 i 90 f.

Pędzelek 40 fen., nikl. **miseczka** 40 fen., **mydło** 10 fen.

Paski do ostrzenia po 0,80, 1,00 1,50 i 2,00 mk.

Nożyczki kute stalowe po 40, 60 i 90 fen.

Noże kieszonkowe tylko mocne po 20, 25, 30 fen.

Noże kieszonkowe o 2 nożykach i grajcarku po 40, 50 60 fen.

Odsprzedającym rabat. **Cenniki** wielkie, około 2000 illustracyi wysełam darmo i franko. 200

M. Danecki,

Miejska Górka (Görchen in Pos.)

ZWIĄZEK ZIEMIAN

E. G. m. b. H.

TELEFON NR. 1615.

w Poznaniu ul. Wiktoryi 2.

przyjmuje depozyta i płaci zależnie od czasu wypowiedzenia 3½, 4 i 4½ %, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy, 94

podejmuje się regulacyi hipotecznej,

pośredniczy w sprzedaży i wydzierżawianiu majątków,

podejmuje się administracyi majątków ziemskich

prowadzi rachunki bieżące z członkami tak zwane „Conto Corrente".

Książki do nabożeństwa, książki ludowe w wielkim wyborze. **Krzyże pod szklanym dzwonem** 30 cm., wysokie, od 4,50 mk. począwszy. **Klosze** szklane, okrągłe dzwony do pokrycia figur i innych przedmiotów. **Kandelabry, świeczniki, lichtarze, lampki** do stania i zawieszania. **Medaliony, medaliki, krzyże, krzyżyki** różnej wielkości. **Obrazy M. B. Częstochowskiej** na drzewie malowane w różnych oprawach. **Wielki wybór obrazów olejodruków, olejograwur, stychów francuskich** w oprawach i bez opraw. **Naszyjniki** z prawdziwych korali z medalionikiem lub krzyżykiem poleca

Księgarnia Nowa, **FR. BŁAZEK. (Kwaśniewski).**

założona 1878 roku. 263

Poznań, Jezuicka ul. 12, (Posen Jesuitenstr. 12.)

Sprzedającym wysełamy na żądanie cennik.

Fr. Jaworowski

Poznań, Szeroka ulica nr. 15.

TELEFON 701. tylko poleca TELEFON 701.

Smalec berliński

topiony i surowy 310

jeszcze po starej cenie.

Skład garderoby męskiej

i dla chłopców

S. Brzeskiego

Stary Rynek 61, telefon 603

bogato zaopatrzony

w nowości jesienne i zimowe

poleca:

Gotowe paletoty zimowe od **15** marek (na dobrej ciepłej podszewce).

Gotowe ubrania już od **13** marek.

Eleganckie ubrania szewiotowe lub gładkie od **21** do **48** marek.

Jopy, burki, płaszcze, szynele.

Kamizelki szwedzkie do polowanie.

Liberye i ubrania dla leśniczych.

Peleryny i płaszcze gumowe.

Ubiorki i paletociki dla chłopców i dzieci w najelegancciejszych fasonach i modelach po bardzo umiarkowanej cenie.

Rewerendy i togi.

Wykonalnia na miarę ubrań i paletotów z krajowych i zagranicznych materyi pod gwarancyą dobrego kroju.

kapelusze, krawaty, rękawiczki.

Ceny nadzwyczaj tanie i stałe. 554

Prosimy odciąć. i zanieść na pocztę.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das IV. Vierteljahr 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für M. 1,25 (mit Abtragegeld **M. 1,37.**)

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige M. erhalten zu haben, bescheinigt

................................, den ....

Kaiserl. Post ....